

KOŚCIÓŁ I RESTAURACJA – W DRODZE DO SZPITALA

Wojciech Cejrowski zdradza,
co robił podczas kwarantanny



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 29/434 19-25 LIPCA 2021

ANALIZA „DO RZECZY”

Bolesne pytania

w sprawie
kardynała Dziwisza

Wszystkie teorie na temat
przyczyn powrotu
Tuska do Polski

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE
W TOKIO

– DYSCIPLINY,
W KTÓRYCH
POLSKA
MA SZANSE
NA MEDALE



O co chodzi w grze o TVN

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

**NA WWW.DORZECZY.PL
PRZECZYTACIE ARTYKUŁ
O UNIJNEJ STRATEGII
BIORÓŻNORODNOŚCI
I ZAGROŻENIACH
JAKIE ZA SOBĄ NIESIE
DLA POLSKICH LASÓW**

UWAGA! KONKURS!
Szczegóły na stronach akcji.

ZAPRASZAMY NA WWW.DORZECZY.PL

PARTNER SEKCJI **MAGICZNE WAKACJE
W POLSCE** NA WWW.DORZECZY.PL





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie idźmy drogą Macrona

Nie wiem, czy decydując się na wystąpienie tuż przed 14 lipca – kolejną rocznicą zburzenia Bastylii i dniem święta narodowego Francji – prezydent Emanuel Macron celowo wybrał tę datę. Niezależnie od tego, jakie były jego motywy, trudno nie zauważyć swoistej przełomowości, chciałoby się powiedzieć – rewolucyjności jego słów.

Francuski prezydent ogłosił, że osoby niezaszczepione (o ile nie są ozdrowieńcami) nie będą mogły udać się do restauracji, centrum handlowego, placówki medycznej, nie będą mogły także jeździć pociągami, korzystać z parków rozrywki oraz ośrodków kultury. W tym samym wystąpieniu prezydent Macron ogłosił wprowadzenie obowiązku szczepień pracowników systemu ochrony zdrowia. Jest to jak do tej pory najdalej idąca próba wymuszenia powszechnych szczepień w państwie Unii Europejskiej. Zresztą wprowadzenia takiego obowiązku w przyszłości francuska głowa państwa nie wykluczyła.

Oświadczenie prezydenta Macrona pozostaje w jaskrawej sprzeczności z jego wcześniejszymi wypowiedziami z listopada i grudnia 2020 r., kiedy to przyrzekał, że „szczepienia nie będą obowiązkowe”. Dokonując zwrotu, prezydent powołał się na rosnące zagrożenie, wynikające z szerzenia się wirusa Delta. Według niego dostępne we Francji szczepionki (Pfizer, Moderna, AstraZeneca i Janssen) są całkiem skuteczne i chronią Francuzów przed wzrostem zakażeń i hospitalizacją. Jak można przeczytać, bezpośrednim efektem słów prezydenta była rejestracja miliona Francuzów, którzy postanowili się zaszczepić.

Czy to sukces? Nie wiem. Wiem natomiast, że prezydent Macron przekroczył bardzo niebezpieczną

granice. Prawa i wolności obywatelskie nigdy nie były tak zagrożone jak wskutek tej decyzji. Wiem też, że wielu w Polsce chętnie poszłoby jego drogą. Warto zatem podzielić się kilkoma wątpliwościami.

Po pierwsze, czy była to decyzja racjonalna? Zdaniem prezydenta powszechność szczepień ma uchronić ludzi przed nowymi wariantami wirusa, w tym przed mutacją Delta. Jak to jednak możliwe, skoro dwa państwa, w których statystycznie zaszczepiono największą liczbę obywateli – Izrael i Wielka Brytania – notują w ostatnim okresie największy wzrost liczby zakażeń? To pierwsze zastanawia się nawet nad przywróceniem wszystkich wcześniejszych obostrzeń oraz wprowadziło obowiązkową kwarantannę również dla zaszczepionych.

Po drugie, sami przedstawiciele firmy Pfizer twierdzą, że dla pełnej skuteczności potrzebna będzie zapewne trzecia dawka, tzw. przypominająca. Oznacza to, że osoby, które zaszczepiły się w styczniu, lutym czy marcu, będą musiały wkrótce znowu poddać się zabiegowi. A potem zapewne kolejnym. Jest to, przypominam, sprzeczne z wcześniejszymi zapowiedziami przedstawicieli tych koncernów i wspierających je rządów. Jakże zatem można mieć zaufanie do ich innych obietnic?

Po trzecie, nie bardzo wiadomo, dlaczego, jak to wynika ze słów zwolenników powszechnych szczepień, osoby niezaszczepione stanowią dla zaszczepionych tak wielkie zagrożenie, że tym drugim odmawia się prawa do korzystania ze wspólnej przestrzeni publicznej?

Po czwarte, jak wiadomo, medycyna nie jest i nie była nauką ścisłą, zawsze jest sztuką. Dlatego często chorzy udają się z prośbą o konsul-

tację do różnych lekarzy. Oznacza to, że również w przypadku wirusa covidowego mogą znaleźć się przypadki ludzi, dla których konkretna forma szczepienia jest niebezpieczna. Pobieżne wcześniejsze konsultacje w tej sprawie to za mało.

Dlatego po piąte, i jest to najważniejsze, powstaje pytanie o moralne prawo państwa do nakładania na dorosłych obywateli tego typu powszechnego obowiązku. Nawet zwolennicy powszechnej akcji szczepionkowej przyznają, że obecne w użyciu lekarstwa nie zostały w pełni przebadane i ich dopuszczenie do obrotu ma charakter eksperymentalny. Więcej – zgadzają się oni, że w pewnej liczbie przypadków, chociaż wyjątkowo małej, szczepionka może być przyczyną niedogodności, choroby, a nawet, w skrajnej postaci, śmierci.

Oznacza to zatem, że zobowiązując wszystkich członków danej grupy do przyjęcia szczepionki, abstrahując od ich indywidualnego stanu zdrowia i osobistej sytuacji, państwo aprobejuje sytuację, w której jakaś grupa obywateli musi w imię wyższego dobra stracić własne zdrowie, a może i życie. Niech to będzie nawet kilkanaście, kilkaset czy kilka tysięcy przypadków – czy państwo demokratyczne ma do tego prawo? Czy może wymuszać na wszystkich zachowanie, które w niektórych, choćby nielicznych przypadkach, może prowadzić do katastrofalnych dla danej osoby skutków? Czy godząc się na to, nie otwieramy prawdziwej puszkii Pandory i nie godzimy się na przekraczanie dalszych granic, które zawsze będzie można uzasadnić troską o ogół? To bardzo, bardzo niebezpieczna ścieżka.

Cóż, widząc falę psychozy, nie sądzę, żeby te wątpliwości zahamowały proces „szczepienia całego świata”. Trzeba jednak o nich wspominać. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
**GORZKIE PODZWONNE
DLA KARDYNAŁA**
Bolesne pytania w sprawie
kardynała Dziwisza

OPINIE

48 ROZMOWA Z DR. MARCINEM ROMANOWSKIM
UE KONTRATAKUJE
Sądy we Francji i w Niemczech
potwierdzały wyższość
konstytucji narodowych
nad prawem europejskim

52 JAN FIEDORCZUK
Z NIEMIECKĄ PRECYZJĄ

HISTORIA

54 SŁAWOMIR KOPER
**KIJOWSKIE TAJEMNICE
NINY ANDRYCZ**
Gwiazda i jej sekrety

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
BUNT PRZECIW BIDENOWI
W Ameryce zaostrza się ideologiczna wojna

62 OLIVIER BAULT
**WINNE PAŃSTWO,
A NIE KOŚCIÓŁ**

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI
DYKTAT TIMMERMANS
Polska dopłaci do biznesu innych

SPORT

70 ŁUKASZ MAJCHRZYK
TOKIO BIAŁO-CZERWONE
Polskie szanse medalowe

O ZDROWIU

74 ROZMOWA
Z PROF. ANNĄ KOSTERĄ-PRUSZCZYK
PRZEWROT KOPERNIKAŃSKI
Rdzeniowy zanik mięśni (SMA)

„DO RZECZY” NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
LIPIWIEC – TURMA HERETYKÓW
10 najwspanialszych zamków Polski

KRAJ

20 ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM
**POWAŻNA SŁABOŚĆ
NOWEGO LIDERA PO**
Kto weźmie na siebie uderzenie Tuska?

22 PIOTR GOCIEK
KTO GRA TUSKIEM

25 KAMILA BARANOWSKA
LEX TVN

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**SLD W KRZYSIE
WIEKU ŚREDNIEGO**

30 ŁUKASZ WARZECHA
BANAŚ, CZYLI OPOZYCJA

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
**STALINIZM
WIECZNIE ŻYWY**

34 FRAGMENT KSIĄŻKI
„PIĄTKA U SEMKI”
ERA MŁODYCH

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
**KRWAWA ZEMSTA
NA RODZINIE**

KULTURA

38 ROZMOWA
Z DR. ŁUKASZEM NAWROCKIM
**ODDAŁEM POLAKOM
„PORTRET MŁODZIEŃCA”**
Rekonstrukcja utraconego dzieła

40 PIOTR GOCIEK
RUSKA ROBOTA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

FELIETONY: SEMKA (6), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repeutowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Toraniński,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk,
Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian**
Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Dziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobos, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Artur Widak/NurPhoto/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

NR indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy
– listy@dorzeczy.pl – i zapraszamy
do dyskusji.

„Jak Nowy Ład przedłużył kryzys”, Tomasz Cukiernik, „DRz” 22/2021

Tomasz Cukiernik [...] przedstawił wielo-
stronną i na ogół krytyczną opinię dotyczą-
cą amerykańskiego programu ekonomicz-
nego i społecznego New Deal prezydenta
Franklina Delano Roosevelta. [...]

1. New Deal został przygotowany przez
ekipę wybranego w listopadzie 1932 r.
z ramienia Partii Demokratycznej prezy-
denta F.D. Roosevelta, którego głównym
celem było przezwyciężenie szalejącego
od października 1929 r. wielkiego kryzysu
gospodarczego. Był to w zasadzie program
państwowego interwencjonizmu, na który
obok serii ustaw składały się działania ini-
cyjujące państwowe programy inwestycyjne.

Sztandarowym stał się Tennessee Valley
Authority (TVA), który miał na celu zago-
spodarowanie ubogiego w infrastrukturę
komunikacyjną i hydrologiczną dorzecza
rzeki Tennessee przez planową i pokaźną
rozbudowę sieci połączeń kolejowych i dro-
gowych, inwestycje w gospodarkę wodną
oraz elektryfikację. Należy tu dodać, że ten
program inwestycji był jednak w niemałym
stopniu kontynuacją hydroenergetycznego
zagospodarowania znacznego obszaru
w Górach Skalistych, rozpoczętego przez
poprzednią republikańską ekipę prezyden-
ta Herberta Clarka Hoovera (zaangażowa-
nego w amerykańską pomoc żywnościową
dla Polski po 1918 r.), czego wizytówką
w czasach obecnych jest Tama Hoovera
w stanie Kolorado. Nadmienmy jeszcze, że
TVA dostarczył dobrych wzorców i roz-
wiązań do budowy i konstrukcji systemów
zabezpieczeń przeciwpowodziowych
rzek Missisipi i Missouri po wojnie przez
saperski, można powiedzieć, Army Corps of
Engineers w czasach ponownej republikań-
skiej prezydentury Dwighta Eisenhowera.

2. Skutkiem wielkiego kryzysu było
13-milionowe bezrobocie w 1932 r. (to
było więcej niż 10 proc. całej ludności USA)
i uderzyło ono w amerykańską Polonię
z większą siłą niż w kilka innych dużych
grup narodowościowych. Toteż zatrudnienie
przy nowych inwestycjach państwowych
bądź w organizowanych wtedy robotach pu-
blicznych zostało dobrze zapamiętane przez
wielu Amerykanów polskiego pochodzenia.
Wspomnę jeszcze, że na przełomie lat 30.

i 40. do zmniejszenia bezrobocia przyczynił
się forsowany przez prezydenta Roosevelta,
wbrew jego pacyfistycznym deklaracjom
i oficjalnej politycznej neutralności, rozwój
przemysłu zbrojeniowego.

Środowiska polonijne poparły też zde-
cydowanie wprowadzenie w okresie New
Deal powszechnych emerytur państwo-
wych oraz ubezpieczeń przed bezrobociem,
o czym wspomnieli autor omawianego
artykułu w „Do Rzeczy”. Warto przy tym
napomknąć o obozach rządowych dla
migrującej bezrobotnej ludności, których po-
zytywny literacki obraz w „Gronach gniewu”
pozostawił John Steinbeck.

Reprezentująca środowiska polonijne
przez wiele kadencji senator z Partii De-
mokratycznej w stanie Maryland Barbara
Mikulski, czyli Mikulska, wspomniła, że
w sklepie prowadzonym przez jej rodziców
był zawieszony portret prezydenta Roose-
velta. Ale gdy opinia publiczna dowiedziała
się o oddaniu przez niego w Jalcie Polski
Stalinowi, portret natychmiast został zdjęty.
Niestety, podobnie zareagowali wtedy
jedynie nieliczni mieszkający w USA Polacy.
Teraz też wiemy, że F.D. Roosevelt sprzeciwił
się propozycji udzielenia przez aliantów po-
mocy wojskowej powstańcom warszawskim
na większą skalę. I dlatego św. Jan Paweł
II w homilii na pl. Zwycięstwa w czerwcu
1979 r. mówił, że Warszawa walczyła
„opuszczona przez sprzymierzone potęgi”,
używając liczby mnogiej. I dopiero prezydent
Donald Trump w przemówieniu na pl. Kra-
sińskich w 2017 r. w sposób bezapelacyjny
odał cześć warszawskim powstańcom.

Tomasz Cukiernik w „Do Rzeczy” nie
odniósł się do zajmujących skrajne stanowi-
ska wobec zjawiska New Dealu najbardziej
znanych w świecie ekonomistów: w pełni
aprobowującego ten program Johna Kennetha
Galbraitha oraz jego bezkompromisowego
krytyka noblisty Milтона Friedmana.

Pierwszy, który w czasie wojny zyskał
opinię i przydomek trzymającego w ryzach
inflację „bankiera Roosevelta”, w książce
„The Affluent Society” (po polsku, niezbyt do-
słownie, „Społeczeństwo dobrobytu”) starał
się przekonać czytelników, że amerykański
dobrobyt po drugiej wojnie światowej był
możliwy przede wszystkim dzięki Roosevel-
towskiemu New Dealowi. Drugi, który jest
uważany za guru ultraliberalnych tzw. Chi-
cago Boys, twierdził, że Rooseveltowskie
regulacje spowolniły bogacenie się Amery-
kanów, i uważał, że amerykański państwo-
wy system emerytalny jak najwcześniej
powinien być zostać sprywatyzowany. [...]

dr hab. Janusz Czyż

NA PIERWSZY OGIEŃ

Komuniści a polskie wojsko



PIOTR SEMKA

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Spośród 250 tys. żołnierzy walczących na Zachodzie w pierwszych latach powojennych do Polski wróciło 105 tys., głównie szeregowych. Te powroty można zrozumieć: większość szeregowych nie jechała zapisywać się do „ludowego” wojska, ale chciała wrócić do bliskich. Im wyższy był stopień, tym silniejsza zazwyczaj była świadomość całkowitej sowieetyzacji armii w kraju. To dlatego zupełnie inaczej wyglądały proporcje np. w korpusie generalskim. Spośród 126 generałów w służbie czynnej lub w stanie spoczynku przebywających na Zachodzie tylko 20 uległo zachętom ambasady bierutowskiej władzy w Londynie do powrotu. Już w lipcu 1944 r. władze PKWN ogłosiły, że każdy z polskich żołnierzy na Zachodzie może

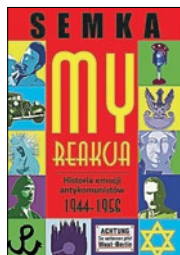
liczyć na życzliwe przyjęcie w szeregach „odrodzonego” Wojska Polskiego. Pierwszym i najbardziej żenującym przykładem zauroczenia Polską lubelską był gen. Lucjan Żeligowski, niegdyś dowódca śmiałej akcji odzyskania Wilna w 1922 r. [...]

Rząd z Warszawy po uznaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przez Wielką Brytanię postanowił iść za ciosem i zażądał od Londynu oddania pod komendę gen. Karola Świerczewskiego władzy nad wszystkimi oddziałami na Zachodzie. Aby przekonać polskich żołnierzy na Zachodzie, że armia w kraju niczym nie różni się od tej przedwojennej, szefem Polskiej Misji Wojskowej w Londynie mianowano gen. Izzydora Modelskiego, do grudnia 1944 r. formalnie drugiego wiceministra obrony narodowej w rządzie emigracyjnym, a prywatnie zwolennika Stronnictwa Pracy.

Tym razem komuniści przesadzili ze swoją beczelnością. Nawet Brytyjczycy zrozumieli, że próba narzucenia

sowieckiego oficera żołnierzom, którym zrabowano Wilno i Lwów, zakończy się buntem. W rezultacie władze brytyjskie podporządkowały Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie swojej władzy. Warszawa zareagowała na decyzję Londynu z furią i 17 lutego 1946 r. Rząd Tymczasowy ogłosił, że Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie nie będą uznawane za jednostki Wojska Polskiego. Do armii polskiej podległej komunistom swój akces zgłosili też dowódcy, którzy wojnę spędzili w niemieckich obozach jenieckich, tacy jak gen. Franciszek Herman, gen. Bronisław Prugar-Ketling, Jerzy Kuropieska czy gen. Juliusz Rommel. [...]

Dziś – oprócz przykładów ewidentnego pójścia na służbę ubecji – nie sposób ustalić, ile z powrotów było naiwnością, a ile cynizmem. Jednak niezależnie od przesłanek powrotu „przedwojenni” od razu dostawali się w mechanizm komunistycznej tresury. Stawali się niewolnikami swoich decyzji i szybko uczyli się zginać kark przed nowymi władcami. @@



POLSKA KUPI NAJLEPSZE CZOŁGI

Wicepremier Jarosław Kaczyński i minister obrony Mariusz Błaszczak ogłosili w ubiegłym tygodniu rozpoczęcie programu wieloletniego, mającego na celu zakup 250 czołgów M1A2, a więc najlepszych czołgów świata w supernowoczesnej wersji. – Nasza armia w krótkim czasie – pierwsze dostawy, jeśli wszystko dobrze pójdzie, już w przyszłym roku – wzbogaci się o dużą liczbę najnowocześniejszych w tej chwili na świecie czołgów Abrams – zapowiedział wicepremier Kaczyński. Wartość programu wyceniono na 23,3 mld zł. (jap) @@



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O futbolowej psychoterapii

Gdy w rzutach karnych decydowały się losy finału Euro 2020, Rzym wydawał się miastem wymarłym. Świdrującą ciszę przerywał tylko ponury jęk albo wrzask radości, gdy piłka wpadała do bramki. Kiedy włoski bramkarz odbił decydującego karnego, miasto eksplodowało hukami petard, na niebie wykwitły fajerwerki,

Tak było wszędzie od Triestu do Palermo. Do białego rana.

Dwuminutową depeszę dla Polskiego Radia nagrywałem po pierwszej w nocy przez 20 minut w krótkich odcinkach w przerwach między eksplozjami. Montaż był katorgą, ale nie żałuję. Po raz pierwszy od początku pandemii, a w takich rozmiarach po raz pierwszy od 15 lat, gdy Italia wygrała mundial w Niemczech, widziałem szeroko uśmiechniętych Włochów w stanie euforycznym, zjednoczonych wspólną radością i dumą.

Znawcy włoskiej narodowej psychy tłumaczą, że eksplozja radości była tak gwałtowna, bo Włosi równocześnie, choć podświadomie, świętowali wyzwalenie spod jarzma ograniczeń sanitarnych i zwycięstwo nad zarazą. Tym wyjaśnieniem towarzyszy optymistyczna obserwacja, że potwornie skłócony politycznie i ideologicznie naród zapomniał o kłótniach i radował się wspólnie, ponad podziałami. Chciałoby się rzec, „żeby tak u nas...”.

Futbolocentryczny kraj bije teraz pokłony przed trenerem Roberto Mancinim, bo ten miał odwagę kompletnie zmienić pobudowaną na ostrożności i nie zawsze uczciwym sprycie włoską filozofię futbolu, w której jak w zwierciadle miał się odbijać włoski charakter narodowy. Chodzi o przewrót kopernikański. Squadra azzurra gra teraz odważny, atakujący i spektakularny futbol. Optymiści i pięknoduchy liczą, że naród weźmie przykład. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Wojna dwutygodniowa i wnioski fałszywe

Na przykład polityka – polityka, proszę Państwa – to taki świat na odwrót. Jak ktoś coś mówi na przykład w polityce, to jest bardzo prawdopodobne, że on lub ona myśli zupełnie inaczej. Oczywiście generalizuję, są tacy politycy, u których nie ma sprzeczności między słowami a myślami. Najczęściej wynika to z faktu, że ci politycy akurat nie myślą, więc sprzeczność nie jest możliwa co do zasady. Och wiem, słowa moje wysoce są niesprawiedliwe. Ale czy są fałszywe?

Na TT miała miejsce wojna dwutygodniowa.

Nieco ponad dwa tygodnie temu w PiS doszło do głośnego, groźnego rozłamu. Troje posłów odeszło mówiąc, że PiS to nic dobrego. Było w tym wiele żalu, a może nawet trochę słuszności. Informacja o rozłamie pojawiła się najpierw na TT.

Rozłamowców społeczność ćwierkająca oceniała awersorewersowo. W sumie, że wymagają szacunku i potępienia za podłość. Wypowiedzi posłanki Janowskiej i posła Czarotorskiego również pojawiły się na TT i wynikało z nich, że PiS to zło, zło, zło. Co myśleli jednak, wypowiadając słowa głębokiej krytyki wobec partii? Nie wiadomo. Po tygodniu poseł Czarotorski stwierdził, że wraca do PiS. Po kolejnym tygodniu posłanka Janowska stwierdziła, że wraca do PiS. I wtedy na TT, proszę Państwa, ci, którzy uważali wcześniej rozłamowców za zdrajców, teraz twierdzili, że są cacani, a ci, którzy chwalili ich za odejście, uznali ich za sprzedawczyków. Osobiście nie wiem jeszcze, co o sprawie myśleć, więc mogę powiedzieć wszystko, co się akurat opłaca.

A teraz temat, że się opłaca wyciągać mylne wnioski. Weźmy Tuska Donalda. W związku z tym, że nasz Trybunał Konstytucyjny uznał, iż TSUE nie bardzo może ingerować w sprawy regulowane polską konstytucją, Donald Tusk napisał na TT: „To nie Polska, tylko Kaczyński ze swoją partią wychodzą z Unii. I tylko my, Polacy, możemy skutecznie się temu przeciwstawić. Bo wbrew pisowskiej propagandzie, nikt nikogo w Unii nie trzyma na siłę”. Niestety, Donald Tusk wie, że to bezsens, bo przecież sądy w wielu krajach Unii Europejskiej, w tym w Niemczech, dokładnie uważają tak samo jak polski TK, a chyba mało kto twierdzi, że Merkel i Niemcy chcą wyjść z Unii. Niemniej pan Donald wie, bo czytał badania, że opłaca się straszyć swój elektorat wyjściem z Unii, więc straszy... ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

To jak tam, Doniek?
Działasz z tymi Polakami?
Bo separagi
guija...



c e z z t y e t y j z t o o z

a z okien i balkonów zagrzmiały trąby. Proboszcz kościoła Santa Maria delle Grazie pod naszym domem kazał uderzyć w dzwony. Zaraz potem rzymianie wylegli tłumnie na ulice i padli sobie w ramiona. Do białego rana po mieście krążyły rozstrąbione samochody i skutery, a na placach tysiące ludzi spowitych we włoskie flagi krzyczało: „Jak pięknie dziś być Włochem!”.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polexit z asystą

Chyba najlepszym podsumowaniem politycznej awantury wokół orzeczeń TSUE i polskiego Trybunału Konstytucyjnego jest propozycja wysunięta pod adresem opozycji przez rzecznika rządu, Piotra Müllera, że PiS odkupi od niej koszulki, znaczki i inne gadżety z napisem „Konstytucja”. W istocie protagoniści wojny polsko-polskiej zamienili się stronami i narracjami. Zwolennicy PiS z lubością kolportują dziś w Internecie stare nagrania, np. Kamili Gasiuk-Pihowicz krzyczącej z sejmowej trybuny, że „wyroki Trybunału Konstytucyjnego są ostateczne, mają moc powszechnie obowiązującą i nikt nie ma prawa ich oceniać”, albo pismo Grzegorza Schetyny z czasów, gdy był marszałkiem Sejmu, stwierdzające nadrzędność polskiej konstytucji

nad prawem unijnym. Sam włączyłem się w ten trend przypominieniem podręcznika Stanisława Biernata „Prawo Unii Europejskiej. Zagadnienia systemowe” z 2009 r., dowodzącego, że – podobnie jak inne autorytety prawnicze – prof. Biernat uczył zawsze prawa diametralnie innego od tego, co głosi w ostatnich tygodniach.

Zkolei zwolennicy PO i posłuszeństwa wobec Unii przeszli na pozycje politycznego pragmatyzmu i, tak jak kiedyś PiS-owcy, głoszą wyższość politycznych interesów kraju nad literą prawa. Bo co do litery polemizować trudno – orzeczenie Trybunału z zeszłego tygodnia potwierdziło tylko bodaj osiem poprzednich, właśnie z czasów Biernata, Rzeplińskiego i Safjana. Podobnie jak w sprawie aborcji

eugenicznej okazuje się, że dla obozu liberalno-lewicowego konstytucja jest ważna tylko do momentu, gdy nie okaże się niesłuszna. Na przykład – prowadząc do „prawnego polexitu”. Zważywszy, że identyczną zasadę jak polski Trybunał (prawo UE nie jest nadrzędne nad krajowymi poza konkretnymi dziedzinami, w których kraj delegował swe kompetencje do Unii) przyjęły trybunały Niemiec, Francji i sześciu innych krajów, ten polexit odbywa się w całkiem szerokiej asyście.

W istocie zaś w całej sprawie najmniej chodzi o prawo; każdy ma swoje. Ważniejsze okaże się to prawo, które poparte zostanie skuteczną egzekucją. „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie” – jak uczył Gerwazy z „Pana Tadeusza”. ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Rewolucja (nie)czułości

O możliwości wydania przez papieża radykalnych ograniczeń dotyczących Mszy w tradycyjnym rycie rzymskim mówiło się już od dawna. Miesiąc temu bardzo cennie pokazywał jej ewentualne, a teraz już spełniające się konsekwencje młody włoski salezjanin, o. Marco Begato: „Zadanie kłamu »Summorum Pontificum« – na dodatek za życia Benedykta XVI – będzie nie tylko nieczystym ciosem w liturgię, lecz przede wszystkim wielkim uderzeniem w autorytet. [...] Czyż nie wywoła wrażenia, że bepośrednie decyzje papieża są bardzo wątpliwe, ważne najwyższej na parędziesiąt lat i łatwo odwoływalne? W tym sensie podważenie »Summorum Ponti-

ficum« podważy wiarygodność samego Ojca Świętego i hierarchii, naruszy ich autorytet. [...] A jeśli wola i intencje przełożonych nie są jasne, jeśli ich decyzje wynikają ze zmiennej równowagi kurialnej i mód społecznych, a nie ze zdefiniowanych i stałych założeń teologicznych – dlaczegoż mielibyśmy ich słuchać? [...] Nie chodzi tu o reakcję psychologiczną, ale o poważną trudność moralną. Mamy obowiązek słuchać tych, którzy w sposób pewny przekazują nam Wolę Bożą”.

Gwarancją zarówno wiary, jak i wolności w Kościele była zawsze niezmiennosc definicji dogmatycznych, pietyzm wobec sakramentów i granice autorytetu, który w katolicyzmie ma charakter służebny.

„Nawet najwyższy autorytet w Kościele nie może dowolnie zmieniać liturgii; może to czynić jedynie w posłuszeństwie wiary i w religijnym szacunku dla misterium liturgii” – mówi art. 1125 Katechizmu św. Jana Pawła II.

Tymczasem dziś, w trakcie „rewolucji czułości”, przychodzi uderzenie we wspólnoty dające – jak zaświadcza „Summorum Pontificum” – dowody „miłości i zaangażowania”, potwierdzone na nowo teraz, gdy zaraza opustoszyła tyle świątyń. Benedykt XVI, pisząc, że Mszał tradycyjny nigdy nie był odwołany, przypominał bezprawie, którego Tradycja była ofiarą. Kiedyś często bywało bezwiedne, dziś wznawiane jest świadomie. ©©

Szok w PiS! Na pierwszym posiedzeniu Komitetu Politycznego partii w nowym składzie brylował niejaki Bartłomiej Wróblewski. Ogłosił się znieńacka przywódcą frakcji konserwatywnej oraz złożył aż trzy propozycje w ramach wolnych wniosków. Szok wywołało nie tylko samowywyższenie się Bartłomieja, lecz także fakt, że pierwszy raz od lat na komitecie ktoś składał jakiegokolwiek wolne wnioski.

Szok w PiS – część 2.! Na tymże posiedzeniu Komitetu Politycznego partii brylowały niespodziewanie liczne debutantki – głównie mniej znane panie posłanki, które bardzo chętnie zabierały głos. One jednak, w odróżnieniu od Bartłomieja, nie ogłosiły się nikim ani nie zgłaszały wniosków wolnych lub niewolnych. Wystarczyło im brylowanie.

Szok w PiS – część 3.! A właściwie nie tyle szok, ile mocne wku....., znaczy zatroskanie. Uchwałą sanacyjną, nepotyczną czy antysitwową, jak zwał, tak zwał. Działacze burzą się, że tłuste koty, z którymi trzeba walczyć, to nie szeregowi posłowie czy działacze, którzy mają rodziny w spółkach, lecz rozleniwieni lokalni baronowie, którym nie chce się zasuwać przy codziennej partyjnej robocie. O wyborach nie wspominając. Spokojnie, po to właśnie szeregowy wicepremier Kaczyński szykuje nową strukturę partii.

Jeszcze o PiS. Nastąpił, jak wiecie, sezon powrotów do klubu PiS. A to posłanka Małgorzata Janowska, a to poseł Lech Kołakowski. Żli ludzie opowiadają na ten temat niestworzone rzeczy. Otóż posłanka Małgorzata miała postawić tylko jeden warunek dotyczący powrotu – dymisję pewnej nieulubianej pani ze stanowiska szefa pewnej spółki w Bełchatowie. A poseł Kołakowski – odkryć w sobie talent doradcy. Kto wie, może nawet w banku? Nie, nie chodzi o doradcę klienta. Wieści te wydają się nam tak nieprawdopodobne, że cytujemy je tylko po to, aby je zdementować.

Szok w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana! W ostatnim tygodniu mistrzostw Europy w piłce kopanej objawił się tam wywalony z kancelarii Marcin Kędryna, zwany też „tym trollem z brodą”. I to nie na jeden dzień! On tam siedział i siedział! A siedząc, oglądał

mecze wraz z Andrzejem Sebastianem, Krzyśkiem Szczerskim i innymi ważnymi osobami! Nic więc dziwnego, że po pałacu poszła plotka „Kędryna wraca!”.

Plotka o powrocie Kędryny do pałacu jest jednak nieprawdziwa, gdyż ma on już nową robotę. Został wice-naczelnym „Gazety Lubuskiej” (Polska Press). Przyznacie sami, że lepsze to niż pisanie felietonów w „Gazecie Krakowskiej” (Polska Press) za parę ziko tygodniowo. Jesteśmy ciekawi szczegółów działalności Kędryny, gdyż pamiętamy go jeszcze z czasów, jak w tygodniku „Ozon” zarządzał działem foto. Było to o tyle proste, że dział był jednoosobowy. Składał się tylko z Kędryny.

Wracając do pałacu Andrzeja Sebastiana. Na dobre ewakuuje się stamtąd Krzysiek Szczerski zmieniający do Nowego Jorku na stanowisko ambasadora przy ONZ. I tu smutek. Plan był bowiem taki, że jego prawa ręka – Witek Dzielski – zostanie ambasadorem w Waszyngtonie. Ale planu nie udało się zrealizować. Dla Dzielskiego w najlepszym wypadku została jedynie opcja rezerwowa: placówka w Ottawie.

Jako że Witek Dzielski nie zostanie ambasadorem w Waszyngtonie, to znów wzrosły szanse Marka Magierowskiego (obecnie Tel Awiw). Pisaliśmy w zeszłym tygodniu, że pałac (za sprawą Szczerskiego) rzuca mu kłody pod nogi. Tymczasem, jak się okazuje, ostateczna

decyzja w tej sprawie jeszcze się waży. Tak czy inaczej, o Magiera jesteśmy spokojni. Zna tyle języków, że – jak głosił tytuł jednego z Bondów – dla niego „Świat to za mało”.

Tymczasem w Strasburgu. Przyszła wiekopomna chwila – chętni na szczepienia przeciw COVID-19 eurodeputowani mogli przyjąć od ręki dawkę na miejscu, w siedzibie PE. Jakież było ich zdziwienie, gdy odkryli, że szczepień nie dokonują ani lekarze, ani pielęgniarki, tylko francuscy strażacy. Szczególnie jeden, taki dwumetrowy, budził powszechne zainteresowanie oraz zabobonny lęk.

Tymczasem w wyższych sferach. Olek Aleksander Kwachu Kwaśniewski bawił był ostatnio na kolacji z byłym kanclerzem Austrii. Nazwisko tego ostatniego trzymane jest w sekrecie, ale damy sobie uciąć rękę, że był to Christian Kern. Wcale nas to nie dziwi, wszak kilka firm austriackich za czasów rządów Kwacha w Polsce ubiło spore interesy, by wymienić tylko Strabaga, Kapscha czy Novomatica. A Kern, choć socjalista, był nazywany towarzyszem – tyle że nie robotników, lecz dyrektorów.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Cieplice-Zdrój na Dolnym Śląsku to ciche i spokojne uzdrowisko odwiedzane przede wszystkim przez emerytów szukających ukojenia po różnego rodzaju urazach. Nic dziwnego, że zawiątał tam w ubiegłym tygodniu także Borysław Budka, który w ogródku jednej z restauracji przy głównym deptaku z zapalem przekonywał świętę lokalnych działaczy, że „jeszcze wróci”.

Niestety, szczęście naszych wiewiórek przysłuchujących się tym przechwałkom nie trwało długo. Nagle pojawił się Grzegorz Schetyna, zwany Szablozębnym lub Skorpionem. Ma on nawyki starego konspiratora, więc zawiątał całe towarzystwo z deptaka do lochu w hotelu Caspar. Ta część spotkania była już dla naszych wiewiórek niedostępna. Jednak już sama konfiguracja: Grzegorz z Borysławem podpowiada nam, że Donald może być z tego powodu bardziej nieszczęśliwy niż nasze wiewiórki. ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

WAKACJE Z KAMPEREM

Małgorzata i Radosław Majdanowie wypadli na absolutnie genialny pomysł – wybrali się kamperem na wakacje do Szwecji i relacjonują na bieżąco swoje zmagania z życiem na luksusowym biwaku. Na wyprawę pojechali z trojgiem dzieci i czterema psami. Codziennie Małgorzata wrzuca kilkadziesiąt filmików na Instagram o tym, jak aktualnie spędzają czas. Ludzie to klikają, lajkują, oglądają, komentują, a Majdanowie się cieszą. Tak to się robi w show-biznesie. Plan był prawie doskonały, ale niestety wakacje w kamperze przerosły nieco naszą Perfekcyjną Małgorzatę, która już po kilku dniach była zmęczona tym koczowaniem. Dlatego postanowiła zabrać Radzia, dzieci oraz psy i wybrać się na wycieczkę do Sztokholmu i przy okazji przenocować w normalnym hotelu. Oczywiście cała podróż także znalazła się na Insta. – Hotel nie chciał nas przyjąć z czterema psami. Powiedzieli, że z dwoma mogą przyjąć, nie mają jednak polityki przyjmowania gości z większą ilością psów – relacjonowała poszukiwanie hotelu. Wreszcie jednak się udało! – Po znalezieniu parkingu, co nie jest wcale łatwe, i po opłaceniu miejsca parkingowego na ten dłuższy czas, co jest nie najtańsze, idziemy poszukać czegoś do zjedzenia – poinformowała fanów. Słuchając i oglądając perypetie Majdanów, można rzeczywiście stwierdzić, że lekko nie mają. Bo czy można wyobrazić sobie większy problem niż to, jak zaparkować kamper w Sztokholmie?

JAK ONA SIĘ NIE PRZEJMUJE

Tymczasem Agnieszka Włodarczyk wróciła do domu po urodzeniu dziecka i oczywiście relacjonuje swoje pierwsze dni w Internecie. Zaczęła od tego, że postanowiła sprawdzić, ile waży po porodzie. Filmik z pierwszego ważenia po porodzie trafił oczywiście na Insta. – A teraz z ciekawości zobaczmy, ile spadło kilo – buduje napięcie celebrytka. – Bez ciśnienia, ale jestem ciekawa po prawie tygodniu od porodu. Spadło 8 z prawie 20 kg „nadwagi” – poinformowała świat. A następnie oddała się zapewnieniom, że zupełnie, ale to wcale się swoją wagą nie przejmuje. – Ja tylko z ciekawości chciałam zobaczyć, jak to schodzi, bo lekarz powiedział, żebym na początku się nie ważyła, bo tak kropelki i coś tam. Żeby wróciła do domu i na spokojnie się zważyła. Więc wyszło

8 i wcale mnie to nie martwi, żeby była jasność – przekonywała celebrytka. – Mówicie do mnie, że nie ma co się dołować 8 kg, ale ja się w ogóle nie dołuję! – zaprzecza. No wiadomo przecież, że jak ktoś się nie przejmuje swoją wagą, to wrzuca do Internetu relację z ważenia, a następnie przez kilkanaście minut z przejęciem o tym opowiada. Wy tak nie macie?

OSTRYGĄ W KOLEŻANKĘ

Celebrytka Julia Wieniawa postanowiła zrobić na złość innej celebrytce – Annie Musze. Otóż Mucha kilka dni temu oburzyła się w mediach społecznościowych na jedną z warszawskich knajp, gdzie zjadła drogie (za 700 stówek, jak poinformowała) ostrygi, które na dodatek jej nie smakowały, i w ogóle wszystko było złe, bo siedziała tyłem do okna. Niestety, jej traumatyczne przeżycia nie wzbudziły współczucia rodaków, którzy najwyraźniej w świecie ją wyśmiali. Jakby tego było mało, do skrytkowanej przez Muchę knajpy wybrała się Wieniawa. I co? I wszystko jej smakowało. – Oh yes! Najlepsze ostrygi w Warszawie – zachwyciła się Julka, która zamówiła ostrygi z sorbetem cytrynowym i imbirem i na żywo relacjonowała proces ich konsumpcji. – Mmmmm... To jest z lodami? To jest z sorbetem, genialne to jest. Fusion ostrygi, polecam! – mówiła uradowana Wieniawa. Okrutny ten nasz show-biznes i brutalny! Bo kto to widział, żeby tak ostrygą w starszą koleżankę po fachu?

UMYSŁ SIĘ LICZY

Edzia Górniak nieustannie szuka wielkiej miłości i znaleźć nie może. W najnowszym wywiadzie dla portalu Pomponik zdradziła, jaki jest jej ideał mężczyzny i dlaczego tak trudno go znaleźć. – Typ urody fizycznej... Na to nie zwracam uwagi w sumie tak bardzo. To, co mnie ujmuję w mężczyznach, to przede wszystkim intelekt i poczucie humoru. Ja jestem osobą, która żyje bardzo intensywnie przez większość życia. Przeżyłam ogromnie dużo, widziałam bardzo dużo, dużo podróżuję, pracuję w show-biznesie, jako kobieta wychowuję dziecko sama. Moja głowa, poprzez wrażliwość na muzykę, na ludzi, jest tak aktywna, że zatrzymać moją uwagę w rozmowie nie jest tak łatwo – wyznała piosenkarka. – Nie chcę powiedzieć, że się szybko nudzę. Ale lubię rozmawiać z mężczyzną, który staje się dla mnie interesujący w czasie rozmowy. To musi być ktoś, kto ma wiele odsłon. To jest główny punkt zaczeplenia mojej uwagi. Dopiero potem zauważam, że ma ładne oczy, tak przysłowiowo mówiąc, bo oczywiście zwracam uwagę na inne rzeczy – opowiada gwiazda. – Jestem estетка, ale dla mnie najważniejszy jest umysł człowieka – podsumowuje. Ciężko sprostać wymaganiom Edzi, oj ciężko. Zwłaszcza jeśli idzie o dopasowanie umysłów. Drugiego takiego jak Edzi to przecież ze świecą szukać! ☺☺



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FOTUM

FOT. PAWEŁ GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zakończyły się mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Jak być może wiecie, chociaż of kors nie macie takiego obowiązku, zwyciężyła w nich reprezentacja Włoch.

Jesteśmy bardzo mocno zaniepokojeni, iż okazało się, że jest to reprezen-

Dlatego postulujemy, iżby w kolejnych mistrzostwach nie dopuszczać do gry tych reprezentacji, które nie posiadają parytetu rasowego. I nie ma znaczenia, czy na przykład na takiej Islandii są pigmentoosoby uprawiające futbol i posiadające obywatelstwo islandzkie.

To strasznie przykre, iż przez tę narodową butę, egoizm i pychę, która popycha nas do zabawy atomem, zasmucamy Niemców i zabieramy im spokój.

Dla porządku powinniśmy wszystkie projekty energetyczne – czy to węglowe, czy atomowe – konsultować z Niemcami. A nawet wiatrowe, bo nie chcemy chyba, żeby im za mocno wiało.

A skąd więc ten kraj miałby brać energię? – pytacie. Z entuzjazmu i radości milionów serc obywateli, którzy odrzuciwszy wiatr, węgiel i atom, poczuła wreszcie, że gdzieś tam zasługują na miejsce we wspólnej Europie.

Zbombardujemy ich jak w 1939!!
Albo nie, zrezolucjonujemy
ich na śmierć w PE!!!



C e z a + y e k y j z t o p e

tacja wstydliwie monoetniczna. Posiada co prawda w składzie zawodników pochodzenia brazylijskiego, ale żadnego ewidentnie uposażonego pigmentalnie.

Na ten problem zwróciły już uwagę zachodnie media. Przyłączamy się do tych głosów pełnych oburzenia, iż pamiętamy dobrze, że także reprezentacja tego kraju jest niezwykle prymitywna pod kątem etnicznym.

Zasady muszą być wymagające (ale of kors nie dla nas xD).

Czytamy, iż znów siara przed Niemcami, a konkretnie przed niemieckimi Zielonymi.

Otóż są oni bardzo zaniepokojeni perspektywą budowy elektrowni atomowej w tym kraju – tzn. of kors w Polsce.

Widzieliśmy wyniki badań, wedle których 80 proc. Polaków każdego dnia odczuwa stres. Of kors w ogóle nas to nie dziwi, iż Polacy przez większość czasu się smucą, denerwują lub kogoś nie lubią.

Pamiętajmy tylko, iż stres ma różną jakość i wynika z różnych pobudek i potrzeb. Czym innym jest nasz stres, iż nie ma neta, jest mało lajków pod zdjęciami czy barman pomylił kawę – to wynika z braku możliwości samorealizacji.

Takim osobom jest w tym kraju wyjątkowo trudno, iż mało kto je rozumie. Polacy w większości stresują się bowiem sprawami niższego rzędu, bytowymi, więc nie rozumieją naszych wyższych potrzeb :(☹☹



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Wyjątek

Mateusz, musisz spowodować pilnie zmiany w tym projekcie mandatowym, zanim go prześlemy do Sejmu.

Moment, Jacek, jakie znowu zmiany?

Ja wszystko rozumiem, surowe kary, walka z piratami – okej. No ale przecież mogą też mnie na

przykład złapać. Ja czasem sam prowadzę.

A jak naszego posła złapią? Wszyscy są cały czas wkurzeni o tę obniżkę pensji, a tu będzie miał gość zapłacić trzy albo pięć patyków?

Rozumiem... Ale jak ty byś to chciał rozwiązać?

Trzeba zrobić jakiś wyjątek, taki jak w ustawie covidowej.

Czyli?

Tam masz, że kto zwalcza COVID, ten nie odpowiada, co nie? No

to tutaj trzeba by zapisać, że kto jedzie w ważnych sprawach państwowych, ten nie odpowiada. A jak będzie do domu jechał?

Też się liczy. Poseł musi jechać do domu, żeby wypocząć, żeby potem był gotowy pracować dla dobra państwa, rozumiesz.

A opozycja? Ich to też obejmie?

Żartujesz? Oni z zasady żadnych ważnych spraw państwowych nie załatwiają. Mącą tylko. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli Kaczyński chce z Ziobrą, Przyłębską, Piotrowiczem, Pawłowicz i innymi iść na Wschód, to krzyż na drogę, droga wolna”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze





NIEMCY: NAJWIĘKSZA POWÓDŹ OD 300 LAT

Co najmniej 95 osób zginęło, kilkaset zostało rannych, a ponad tysiąc uznaje się za zaginione po powodzi w zachodnich Niemczech. Najbardziej ucierpiały Nadrenia Północna-Westfalia oraz Nadrenia-Palatynat. Po nawałnicach wylały lokalne rzeki. Żywiół spustoszył wiele miejscowości, niszcząc drogi, tory kolejowe, domy, szkoły, sklepy, piekarnie i warsztaty. Wyjątkowo ulewne opady deszczu – w niektórych miejscach w ciągu dwóch dni odnotowano nawet ponad 200 litrów deszczu na metr kwadratowy – sprawiły, że do wielu zabudowań można było dotrzeć wyłącznie łodzią lub śmigłowcem.

– Jestem zszokowana skalą tej katastrofy – oznajmiła kanclerz Angela Merkel, obiecując rządową pomoc w odbudowie zniszczonych terenów.

– Rozmawiałem z wieloma mieszkańcami, którzy stracili wszystko praktycznie z dnia na dzień – ubolewał również kandydat chadecji na następcę Merkel Armin Laschet. Zarówno skala zniszczeń, jak i liczba ofiar śmiertelnych są bezprecedensowe – w 2002 r. w wielkiej powodzi w Niemczech zginęło 21 osób.

W czwartek i w piątek dziesiątki ludzi wdrapywało się na dachy swoich domów, oczekując na podjęcie przez ekipy śmigłowców ratunkowych. W regionie rozmieszczono również oddziały wojska. Na zachodzie Niemiec zamknięto szkoły. (jap) © ©

FOTO: BUNDESROESSLER/DW/PAP



FOT. ARTUR WIDAK/NUROPHOTO/GETTY IMAGES

Pewien ksiądz, gdy usłyszał niedawno, że będę pisał o kard. Stanisławie Dziwiszu, ostrzegł mnie, że to za wcześnie dla czytelników „Do Rzeczy”, że w Polsce katolicy wciąż kojarzą go z Janem Pawłem II i że te postacie są w zasadzie nierozłączne. Temat ten miałby być jego zdaniem zarezerwowany na razie raczej dla mediów liberalnych, które mają większą swobodę. Tak zrozumiałem tę wypowiedź i przyznam, że mnie ona zaskoczyła. Sądzę bowiem zupełnie inaczej – media katolickie czy konserwatywne nie powinny chować głowy w piasek

Jak można milczeć w sytuacji, gdy wobec kard. Stanisława Dziwisza, najbliższego współpracownika św. Jana Pawła II, toczy się watykańskie śledztwo, które – co słyszymy – jest zakrojone szerzej, niż wskazywałby tylko polski horyzont spraw. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski – pytany przez media o przesłuchanie, któremu został poddany przez kard. Angelo Bagnasco, szefa specjalnej watykańskiej komisji badającej zarzuty stawiane Dziwiszowi – odpowiedział, że rozmawiano z nim nie tylko o sprawach znanych z mediów. Przyznał wręcz, że niektóre z poruszanych przez śledczego kwestii nie były mu wcz-

rozmów z kard. Bagnasco ks. Isakowicz-Zaleski.

Po opublikowaniu raportu poświęconego sprawie byłego amerykańskiego kardynała Theodore’a McCarricka sugerowałem na falach Polskiego Radia 24, że potrzebny by był analogiczny – tylko lepszy – raport dotyczący postaci, która wielu wydaje się – przynajmniej historycznie – potężniejsza, czyli kard. Dziwiszowi. Przypomnijmy: liczący dziś 91 lat McCarrick był jedną z najbardziej wpływowych osobistości w Kościele katolickim w czasach pontyfikatów Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Jego wpływy trwały aż do 2017 r., gdy wreszcie doszło do skutecznej akcji przeciwko niemu po potwierdzeniu informacji nie tylko o praktykach homoseksualnych z jego udziałem, lecz także pedofilskich. McCarrick najpierw został pozbawiony godności kardynalskiej, a potem całkowicie wykluczony ze stanu kapłańskiego.

CO MOŻE PAPIESKI SEKRETARZ

Zaangażowanie Stanisława Dziwisza w sprawę McCarricka także oczekuje na opisanie. Nie znaczy to, że jest ono na pewno karygodne, ale takim wyjaśnianiem powinni być objęci wszyscy ludzie Watykanu, którzy mieli coś do powiedzenia w sprawach kadrowych lub znajdowali się blisko sprawy demonicznego purpurata i kolejnych nominacji stawiających go coraz wyżej w hierarchii kościelnej. W raporcie o McCarricku nie znajdziemy szerszego opisu działań ani kard. Tarcisio Bertone, ani kard. Angelo Sodano, którzy przewodząc watykańskiemu Sekretariatowi Stanu, mieli możliwość prowadzenia szerzej zakrojonych działań. Jednocześnie bywają kojarzeni z akcją ukrywania przestępstw niesławnego chilijskiego ks. Karadimy i lawendową mafią. Nawet jeśli informacje te pochodzą z książki „Sodoma” Frédérica Martela, to tym bardziej wymagałyby weryfikacji. A przecież to właśnie Sekretariat Stanu opublikował wspomniany raport, który ma tak wiele braków. Dla dobra Kościoła powszechnego, Kościoła w Polsce, a także dla samego kard. Dziwisza i pamięci o Janie Pawle II byłoby dobrze, gdybyśmy się dowiedzieli, dlaczego list Theodore’a McCarricka mający rozwiązać wątpliwości, które żywił na jego temat papież, trafił do ks. Stanisława Dziwisza. Czy popierał on awans popularnego Wujka Teda, czy, jak uważa prawnik kanonista dr Michał

Gorzkie podzwonne dla kardynała



Tomasz Rowiński

Watykańskie śledztwo dotyczące kard. Stanisława Dziwisza nie powinno zakończyć się publikacją przez nuncjaturę apostolską w Polsce lakonicznej notki informującej o winie lub niewinności, tak jak to się działo w wypadku innych biskupów. W tej sprawie potrzebny jest raport, który pomoże odpowiedzieć na pytanie, kim jest najbliższy współpracownik św. Jana Pawła II

i oddawać głosu w sprawach kościelnych tym, którzy, co do zasady, są Kościołowi niechętni. Zamiast oddawać się pseudopobożnym czy antyklerykalnym narracjom, winniśmy stale zabiegać o to, by mówiona była prawda. Docieranie do niej jest często procesem przedzierania się przez wiele uprzedzeń, przez teksty i wypowiedzi, w których prawda miesza się z błędem lub też celowym nadużyciem czy też przemykaniem oczu na argumenty, które nie pasują pod z góry założone tezy. To, że w Kościele w ostatnich dziesięcioleciach zbyt często nie mówiono prawdy, jest jedną z przyczyn dzisiejszego kryzysu.

śniej znane. Trzeba koniecznie przywołać jeszcze jeden szczegół dotyczący tego wydarzenia. O toczącym się śledztwie nie został poinformowany Kościół krakowski, a informację o przesłuchaniu ks. Isakowicz-Zaleski przekazał przełożonym dopiero po tym, jak do niego doszło. To bardzo wymowny znak ograniczonego zaufania. Podobnie wymowna jest opinia znanego ze swojej nieustępliwości w dochodzeniu do prawdy kapłana z Radwanowic, którego zdaniem Bagnasco nie zajmuje się tylko samym kard. Dziwiszem. „Kilka było spraw łącznie, także ja dodałem do tych spraw również listę osób, które napisały do mnie” – scharakteryzował przedmiot

Skwarzyński, autor analizy „Raport McCarricka – Komentarz do »sensacyjnych« zarzutów medialnych wobec Kardynała Dziwisza”, zagrano na lojalności prywatnego sekretarza Jana Pawła II, by obejść procedury kurii rzymskiej? Według Skwarzyńskiego, gdyby McCarrick podał swój list tradycyjnie, poprzez urzędy watykańskie, nigdy zapewne nie trafiłyby on w papieskie ręce, ale zostałyby rozpatrzone na poziomie odpowiedniej kongregacji. McCarrick zaś napisany po angielsku list przekazał nieznanemu angielskiego ks. Dziwiszowi, licząc, że ten w pełnym zaufaniu, którym darzył Jana Pawła II, przekaże go papieżowi.

Skwarzyński w swoim dość obszernym i udokumentowanym tekście w ogóle podważa możliwości ks. Dziwisza, jeśli chodzi o prowadzenie jakiejś szerszej polityki z pozycji prywatnego sekretariatu papieża. „Sekretarz Papieża jest ciągle z Janem Pawłem II, nawet na 2-dniowym wypoczynku w górach. Kiedy zatem logistycznie miał przeprowadzić skomplikowaną operację usuwania dokumentów, prowadzenia rozmów z wieloma dostojnikami, żeby »wsadzić« McCarricka, którego Sodano i Ratzinger nie chce? Proszę wskazać konkretne dni, kiedy logistycznie miał działać ks. Dziwisz. Jego kalendarze, kalendarze Papieża i »L'Osservatore Romano« wykażą, że to po prostu niemożliwe” – pisze Skwarzyński. „Sekretariat Prywatny nie gromadzi dokumentów, wszystko odsyła do Sekretariatu Stanu. Tylko tam było to możliwe logistycznie, aby taką operację przeprowadzić” – podsumowuje wątek prawnik z Katolickiego Uniwersytetu Jana Pawła II.

W tym też kontekście warto byłoby dowiedzieć się, jak wyglądało – czy w ogóle miało miejsce – zaangażowanie ks. Dziwisza w tzw. zesłanie abp. Juliusza Paetza na stolicę biskupią w Łomży. „Abp Paetz miał naprawdę wysokie stanowisko w Watykanie i do Łomży pojechał na zesłanie. To był podstawowy błąd, bo te jego skłonności [homoseksualne] zostały już rozpoznane w Watykanie. Watykan chciał się go pozbyć. To był jeden z motywów nominacji” – mówił redaktor naczelny KAI Marcin Preciszewski podczas Ogólnopolskiego Forum Młodych we Wrocławiu na początku grudnia 2019 r. To pociąga za sobą dalsze pytania o relacje pomiędzy sekretarzem Jana Pawła II a nuncjuszem apostolskim w Polsce, abp. Józefem Kowalczykiem, który z racji pełnionej wiele lat funkcji w rzeczywisty sposób kształto-

wał osobowy skład polskiego episkopatu. Naprawdę warto, by wreszcie ktoś zbadał, czy ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski ma rację, gdy pisze na Twitterze: „Większość skandali w #Kościeł #Polska tuszowali skutecznie abp Józef Kowalczyk, nuncjusz apostolski, a późniejszy prymas @prymasowska, oraz osobisty sekretarz #JPiI, a później metropolita @ArchKrakowska, kard. Stanisław Dziwisz. Vide: sprawa abp. J. #Paetz.a i J. Wesołowskiego”. Tweet ten powstał 28 lipca 2020 r.

Warto przy tej okazji od razu zbić argument mówiący, że śledztwo przeciwko kard. Dziwiszowi ma po prostu charakter politycznej ustawki – o co podejrzewa się twórców raportu ws. McCarricka. Kardynał Angelo Bagnasco nie jest dziś przedstawicielem żadnej z frakcji w Kościele. Trudno go w ogóle zaklasyfikować. Ten emerytowany arcybiskup Genui był wieloletnim przewodniczącym Konferencji Episkopatu Włoch. Jest kojarzony jeszcze jako człowiek papieża Benedykta XVI, którego nie sposób poważnie oskarżać o udział w knowaniach zdemoralizowanych grup duchownych. Bagnasco może być pamiętany raczej jako osoba sprzyjająca kursowi tradycjonalistycznemu w formie, którą proponował papież emeryt. Mówi się o nim także jako o uczniu kard. Giuseppe Siriego, jednego z konserwatywnych liderów katolickich w czasach soboru watykańskiego i po nim, papabile z roku 1963, a także pierwszego z dwóch konklawe roku 1978. Sam kard. Bagnasco został wymieniony przez cenionego amerykańskiego liberalnego watykanistę Johna Allena Jr. jako kandydat na Stolicę Piotrową w roku 2013. „Widać jego ogromny profesjonalizm i obiektywność, bo bardzo wnikliwie dopytywał o pewne szczegóły. Widać było, że on chce poznać prawdę, bo przecież na tym to polega, że trzeba solidnie zbadać sprawę. Przecież to nie jest wyrok. To jest dopiero badanie tej sprawy” – tak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski opisał w mediach watykańskiego śledczego, z którym się spotkał. Nie ma powodu, by ten opis podważać.

POWAŻNE OSKARŻENIA

Najlepiej udokumentowanym dziś oskarżeniem wobec kard. Stanisława Dziwisza pozostaje sprawa Janusza Szymika oraz ks. Jana W. z diecezji



bielsko-żywieckiej. Ksiądz W. został skazany na kary kościelne dopiero dzięki zaangażowaniu w sprawę aktualnego biskupa tej diecezji Romana Pindla. Proces ruszył w roku 2013, gdy na emeryturę odszedł poprzedni ordynariusz, bp Tadeusz Rakoczy. Janusz Szymik pierwszy raz do bp. Rakoczego zwrócił się już w roku 1993 i wtedy poinformował go, że był molestowany przez proboszcza z Międzybrodzia Bialskiego. W tym samym czasie złożył także zawiadomienie do prokuratury, która jednak sprawę umorzyła, co można było niestety potraktować jako akt podważający wiarygodność ofiary. Drugą próbę skłonienia bp. Rakoczego do reakcji Janusz Szymik podjął w roku 2007, ale ona także nie była skuteczna. W roku 2008 poszkodowany zwrócił się z prośbą o pośredniczenie w sprawie do ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Ksiądz Isakowicz-Zaleski w roku 2012 przekazał kard. Dziwiszowi, wtedy metropolicie krakowskiemu, list dotyczący nadużyć homoseksualnych księży wobec nieletnich w diecezji krakowskiej. Do tego listu dołączył szczegółowy opis sprawy Janusza Szymika napastowanego wielokrotnie przez ks. W. w latach 80.

Działanie to – próba interwencji u metropolity krakowskiego – nie było przypadkowe. Diecezja bielsko-żywiecka jest częścią metropolii krakowskiej, a zatem kard. Stanisław Dziwisz był przynajmniej w pewnym zakresie przełożonym Tadeusza Rakoczego. Istnieje wyraźna potrzeba, by kościelne śledztwo rozstrzygnęło kwestię odpowiedzialności kardynała za zaniedbania, które miały miejsce w diecezji bielsko-ży-



wiekiej. Przywoływany już dr Skwarzyński argumentuje w swoim raporcie, w którym przeważają przede wszystkim wątki prawne, że nawet gdy kard. Dziwisz w roku 2012 dowiedział się o sprawie Janusza Szymika, nie miał żadnych narzędzi, by przystąpić bp. Rakoczego do działania. To po stronie diecezji bielsko-żywieckiej miał leżeć obowiązek przeprowadzenia sprawy w pierwszej instancji. Skwarzyński pisze w swojej analizie, że nie ma żadnych informacji na temat tego, by kardynał wiedział o tuszowaniu sprawy Szymika przez bp. Tadeusza Rakoczego.

Jednak ks. Isakowicz-Zaleski inaczej zapamiętał tę sprawę: „Historia własnoręcznie opisana przez p. Szymika zrobiła na mnie wielkie wrażenie”. „Wszystko, co otrzymałem w tej sprawie, przekazałem kardynałowi. Biorąc pod uwagę powagę zarzutów sformułowanych w liście oraz fakt, że kardynał jest bliskim przyjacielem bp. Rakoczego, założyłem, że od razu zostaną podjęte działania, dlatego w 2012 r. uznałem, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc p. Szymikowi. Nigdy więcej jednak w tej sprawie się nie kontaktowałem ani z kardynałem, ani pokrzywdzonym” – mówił w grudniu 2020 r. prezes Fundacji św. Brata Alberta. Kardynał miał na opis krzywd p. Szymika zareagować słowami: „To sprawa bielska, ale zajmę się tym”. Dlaczego zatem w wywiadzie,

którego udzielił Piotrowi Kraśce w październiku 2020 r., powiedział: „Nie wiem, jak to wyglądało wszystko w Bielsku. [...] To jest inna diecezja i ja nie mogę za to odpowiadać. [...] Poza tym ja nie wiedziałem, że p. Janusz chodził z tym do bp. Rakoczego. Chciał przerzucić na mnie odpowiedzialność, a ja ani wiedzy, ani odpowiedzialności nie miałem”.

JAKA JEST PRAWDA?

Sprawa nie jest prosta. Rozstrzygnięcie, czy kardynał kłamie, czy po prostu – np. z racji wieku – rzeczywiście doszło u niego do zatarcia pamięci, nie będzie łatwe. Doktor Michał Skwarzyński, który z emerytowanym metropolitą krakowskim – jak pisze – rozmawiał, uważa, że kardynał rzeczywiście sprawy nie pamiętał, a pierwotnie błędnie podana przez ks. Isakowicza-Zaleskiego data przekazania listu, czyli 21 kwietnia 2012 r. – zamiast 24 kwietnia – zmyliła hierarchę lub tych, którzy w jego imieniu przeszukiwali archiwum diecezji. Istotniejsza jest jednak sprawa odpowiedzialności w świetle prawa kościelnego. Czy kard. Dziwisz – niezależnie, czy kłamał, czy też zapominał – zwrócił się do bp. Rakoczego, by ten zareagował w sprawie ks. Jana W.? Jeśli nie zrobił tego lub zareagował tylko nieformalnie, to będzie to oczywiście działało na

o sprawie dowiaduje się na marginesie zagadnień dotyczących własnej diecezji w 2012 r. W 2013 r. Biskup Tadeusz Rakoczy osiąga wiek emerytalny. Następnie w 2014 r. pokrzywdzony zgłasza sprawę ks. W. oficjalną drogą obecnemu Biskupowi Romanowi Pindlowi i ks. W. jest praktycznie natychmiast usunięty z parafii, zaczyna się wobec niego proces kanoniczny. Na jakie zatem zaniechania miał reagować Kardynał? Kiedy miał podjąć reakcję, który z Biskupów z perspektywy lat 2012–2014 pozostawał w zwłoce? Pomiędzy 2012 rokiem a 2014 rokiem i usunięciem ks. W. do Kardynała nie wpływają żadne informacje dotyczące księdza W., który jest jednak kapłanem innej diecezji. Poprzedni biskup odszedł na emeryturę, obecny wszczął postępowanie kanoniczne wobec ks. W. Chronologia w tej sprawie jest ważna. Nie sposób oceniać zachowania Kardynała z wiedzą »z dziś« wobec chronologii i wiedzy z czasu działania”.

Trzeba jednak pamiętać, że opis sprawy z roku 2012 był według świadectw bardzo dokładny, a zatem zawierał także, jak można zrozumieć, historię obojętności bp. Rakoczego. Skwarzyński powiedział, że nie widział załącznika do listu ks. Isakowicza-Zaleskiego przedstawiającego sprawę Janusza Szymika, gdy pisał swoją analizę. „Komentarz naukowy sporządzałem w oczywistym zakresie wg metodologii naukowej nauk prawnych, więc do sporządzenia mojej analizy nie jest potrzebne opisywanie wszystkiego,

Istnieje wyraźna potrzeba, by kościelne śledztwo rozstrzygnęło kwestię odpowiedzialności kardynała za zaniedbania, które miały miejsce w diecezji bielsko-żywieckiej

jego niekorzyść. Śledztwo kard. Bagnasco powinno zatem szczególnie pochylić się nad kanoniczno-prawną odpowiedzialnością kard. Dziwisza. Kwestia dotyczy rozumienia i wykonania kanonu 436 § 1 Kodeksu prawa kanonicznego, który brzmi: „W diecezjach sufragalnych metropolie przysługuje: 1. czuwać nad właściwym zachowaniem wiary oraz dyscypliny kościelnej i powiadamiać Biskupa Rzymskiego o nadużyciach, jeśli jakieś są”.

Doktor Skwarzyński w swoim opublikowanym 19 listopada 2020 r. raporcie sprawę widzi w taki sposób: „Kardynał

co jest dostępne. Tak prowadzi się badania metodą historyczną, że przedstawia się całość dokumentacji” – powiedział dziennikarzowi Onetu, który dopytywał o treść analizy. Wydaje się jednak, że ta okoliczność znacznie osłabia wywód kanonisty z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

„Gdyby kardynał zaraz po otrzymaniu listu od ks. Isakowicza-Zaleskiego zgodnie z kompetencją przekazał sprawę bp. Rakoczemu, a w późniejszym okresie dowiedział się, na jakim ona jest etapie, i wtedy okazałoby się, że nie została

W pełni wyjaśniona, uzyskałby jasną informację o nadużyciach biskupa diecezji, która wchodzi w skład metropolii, na czele której stoi. Wtedy powinien był zgłosić to jak najszybciej do Watykanu” – miał powiedzieć pod koniec zeszłego roku anonimowy „kanonista, wieloletni kanclerz jednej z diecezji” Onetowi. „Najważniejsze jest to, co hierarcha zrobił po tym, gdy otrzymał rzeczony list o zaniechaniach w Kościele. Czy podjął jakieś działanie? Jeśli tak, to powinien nam wyjaśnić, co dokładnie zrobił. Muszą być przecież na to jakieś dowody, więc warto, by ujrzały one światło dzienne. Wiem, że w sprawie ks. Stefana D., o którym również go informowałem w 2012 r., nic do Stolicy Apostolskiej nie zostało wysłane. Sprawa ruszyła dopiero, gdy sam zawiadomiłem Kongregację Nauki Wiary” – w tym samym materiale mówił cytowany już ks. Isakowicz-Zaleski.

POTRZEBNY JEST RAPORT

Co działo się zatem pomiędzy kwietniem 2012 r. a listopadem roku 2013, gdy bp Rakoczy został zdymisjonowany ze względu na ukończenie 75. roku życia? Czy zacytowany fragment kanonu 436 obciąża kard. Dziwisza, czy też nie, czy jest do tego w ogóle podstawa? Odpowiedzi na te pytania oczekiwałbym od działań kard. Bagnasco.

Można się tylko obawiać, że badanie to zakończy się publikacją przez nuncjaturę apostolską w Polsce kolejnej lakonicznej notki informującej o winie lub niewinności. Tak jak to działo się w wypadku innych biskupów. I dopiero dziennikarze będą dochodzić, „co Stolica Apostolska miała na myśli”. Powtórzę: w sprawie kard. Dziwisza potrzebny jest raport. Nawet jeśli będzie on tak słaby jak ten przygotowany przez Sekretariat Stanu w sprawie McCarricka, to jego treść może zadziać oczyszczająco. Teksty takie mówią często równie przekonująco zarówno treściami, które w nich zostały zawarte, jak i tym, czego w nich nie napisano.

Trudno mi uwierzyć w sugerowaną przez dr. Skwarzyńskiego polityczną bezradność kard. Dziwisza, jego brak czasu i możliwości wpływu. W książce „Chodzi mi tylko o prawdę” ks. Isakowicz-Zaleski opisuje dość szczegółowo, z jaką agresją atakowano go w diecezji w roku 2006, gdy przygotowywał pierwszą w Polsce monografię o współpracy duchownych z bezpieczeństwem PRL. „Problemy zaczęły się w momencie, gdy pojawiały się poważne

Zapewne marzeniem świętej głowy jest nadzieja, by śledztwo kard. Bagnasco rzuciło światło na kontakty ks. Stanisława Dziwisza z przestępcą seksualnym, którym okazał się Marcial Maciel Degollado, założyciel Legionu Chrystusa

akta już nie wiejskich proboszczów, ale osób z bliskiego otoczenia Stanisława Dziwisza, a także biskupów” – mówił ks. Isakowicz-Zaleski na łamach wspomnianej książki-wywiadu. Zachowanie kard. Dziwisza i kurii wyglądało na grę psychologiczną z autorem. Z jednej strony metropolita prowadził z prezesem Fundacji św. Brata Alberta rozmowy, które wydawały się łagodzące, a z drugiej pojawiały się sankcje. Kardynał nie powstrzymał także bezpośredniej presji, którą wywierali na ks. Isakowicza-Zaleskim niektórzy wpływowi księża diecezji. Także sama kuria straszyła, swojego w końcu, księdza procesami o zniesławienie, których ostatecznie nie było.

30 sierpnia 2006 r. kard. Dziwisz odwiedził ks. Isakowicza-Zaleskiego, by powiedzieć mu, że pogodził się z tym, iż książka powstanie (co nie oznaczało wcale końca szykan wobec autora), dodał jednak do tego prośbę, by nie pojawiły się w niej sprawy dotyczące homoseksualizmu księży. Tej prośbie ks. Isakowicz-Zaleski się podporządkował, rezygnując w swojej książce z wątków obyczajowych. „Mnie się wydaje, że głównym powodem sprzeciwu kurii krakowskiej wobec ilustracji nie były informacje o tym, że jakiś ksiądz poszedł na współpracę, ale obawa przed ujawnieniem przyczyn, dla których tych księży udawało się rejestrować. W tych dokumentach zobaczyłem potężne podziemie homoseksualne w Kościele” – podsumowywał sprawę duszpasterz polskich Ormian. A przecież podziemie to samo się nie ukształtowało. To oznacza, że wracamy do pytania o wpływ ks. Dziwisza – w czasach Jana Pawła II – na skład osobowy polskiego wyższego duchowieństwa, które z kolei jest odpowiedzialne za formację duchowieństwa – mówiąc w uproszczeniu – parafialnego.

Zapewne marzeniem świętej głowy jest nadzieja, by śledztwo kard. Bagnasco rzuciło światło na kontakty ks. Stanisława Dziwisza z przestępcą seksualnym, którym okazał się Marcial Maciel Degollado, założyciel Legionu Chrystusa. Nie jest bowiem czymś bez znaczenia, czy te kompromitujące kontakty miały charakter nieroztropności – szczególnie mam na myśli czasy, gdy przeciw Degollado już toczyło się kościelne postępowanie – czy wyrachowania, gry podtrzymującej jakiś polityczny wewnętrzkościelny zdegenerowany układ. Natomiast pilne wydaje się wyjaśnienie relacji pomiędzy kard. Dziwiszem a ks. Mirosławem Królem, rektorem likwidowanego właśnie po 136 latach polskiego seminarium w Orchard Lake. Wobec Króla sformułowane są twarde oskarżenia o napaśtowanie na tle seksualnym, nie mówiąc o szerszym problemie niemoralnego życia. Ksiądz Król jest absolwentem seminarium w New Jersey. Ukończył je w czasach, gdy diecezję przewodził Theodore McCarrick. Reportaż przygotowany przez TVN oskarża Dziwisza o wspieranie wyboru ks. Króla na rektora Orchard Lake w roku 2017. Obaj duchowni współpracowali już wcześniej – Król był prezesem Fundacji Jana Pawła II, którą założył razem z kardynałem. Angelo Bagnasco powinien wyjaśnić, czy kardynał wiedział o „stylu życia” rektora, a także czy homoseksualne wątki nie pojawiają się zbyt często w kontekście byłego sekretarza Jana Pawła II.

KIM JESTEŚ, KARDYNALE?

Zakończmy wątkiem niedawno opublikowanych zdjęć, na których kard. Stanisław Dziwisz w stroju kąpielowym brodzi w wodach Adriatyku. Trzymany za rękę – może podtrzymywany – przez swojego sekretarza, Włocha, który w sekrecie został wyświęcony na diakona w kwietniu 2019 r. z pominięciem zwykłej drogi formacyjnej. Jest w tych zdjęciach coś niepokojącego. Zawstydzającego. Patrząc na nie, zastanawiam się, czy wielcy mężowie w dziejach Kościoła – kapłani – byli skłonni do podobnej nieskromności i rzucania stroju duchownego. Na jednym ze zdjęć kardynał zdaje się lekko uśmiechać. Myślę o tym, kto na mnie patrzy poprzez obiektyw paparazziego. Próbuje zrozumieć, co mówi mi ta twarz, którą wciąż kojarzymy ze świętym obliczem Jana Pawła II. Kim jesteś, kardynale? Odpowiedź na to pytanie jest ciągle przed nami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zaburzony ładu przestrzenny



Urszula Hofman



Przemysław Dziąg

Wszystkie uchwalane plany miejscowe, a w przypadku ich braku – decyzje o warunkach zabudowy i zagospodarowania terenu – powinny wskazywać w swojej treści maksymalną i minimalną intensywność zabudowy, rozumianą jako wskaźnik powierzchni całkowitej zabudowy w odniesieniu do powierzchni działki budowlanej. W skrócie oznacza to stosunek powierzchni wszystkich budynków do powierzchni terenu, na którym się one mają znaleźć.

Jest to jeden z najważniejszych wskaźników urbanistycznych, bo to na jego podstawie można oszacować dopuszczalny stopień pokrycia danego terenu zabudową. Opierając się na nim, można określić maksymalną możliwość wykorzystania danej działki pod zabudowę, czyli ile metrów powierzchni użytkowej możemy wybudować.

Pojęcie intensywności zabudowy zdefiniowano w ustawie o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym dopiero w 2010 r. i w zasadzie od tego momentu nie było również wątpliwości, że składowa tego wskaźnika, czyli powierzchnia całkowita zabudowy, to suma powierzchni wszystkich kondygnacji nadziemnych budynku. Wynikało to głównie z normy PN – ISO 9836, która wskazywała, że powierzchnia zabudowy może być liczona wyłącznie z uwzględnieniem powierzchni kondygnacji nadziemnych.

Przykładowo, jeśli powierzchnia całkowitej zabudowy wynosi 1000 m², a powierzchnia działki wynosi 2000 m² to wskaźnik intensywności zabudowy wynosi 0,5. I w taki właśnie sposób wskazuje się parametry intensywności zabudowy w miejscowych planach zagospodarowania przestrzennego lub w decyzjach o warunkach zabudowy.

Taka praktyka przez wiele lat nie budziła wątpliwości, stanowiąc jednolity punkt wyjścia dla praktyki sądów i organów administracji, ale również działań urbanistów i architektów.

Nieoczekiwanie jednak w ostatnim czasie zaczęła się pojawiać nowa, błędna i zaskakująca interpretacja w orzecznictwie administracyjnym, zgodnie z którą zaczęto nakazywać, by do intensywności zabudowy wliczać powierzchnię kondygnacji podziemnych, jak również powierzchnię balkonów i tarasów. Zbiegło się to również z obszerną nowelizacją prawa budowlanego, która weszła w życie 19 września 2020 r., wprowadzając również nową normę PN – ISO 9836 z 2015 r.

Takie stanowisko zaczęło pociągać za sobą gwałtowne ograniczenie możliwości zabudowy działek budowlanych. Inwestorzy w takiej sytuacji zostali bowiem zmuszeni do rezygnowania z większej liczby miejsc postojowych czy zmniejszania lub ograniczania powierzchni i liczby balkonów, czy też coraz bardziej popularnych zielonych tarasów na dachach. Co istotne, taka zmiana podejścia organów zaczęła się w momencie trwającej epidemii COVID-19, która wpłynęła na zmianę preferencji zakupowych Polaków. Obecnie bardzo dużym zainteresowaniem cieszą się mieszkania z dużymi tarasami czy balkonami, stanowiącymi dodatkowo kawałek własnej przestrzeni na świeżym powietrzu. Objęcie powierzchni tych elementów wskaźnikiem intensywności zabudowy powoduje, że inwestorzy nie są chętni wprowadzać ich do projektów budowlanych.

Największym zainteresowaniem naszych Klientów cieszą się stosunkowo małe mieszkania, koniecznie z balkonem czy tarasem. Spółki Grupy Inwest realizują obecnie inwestycje w Warszawie i Poznaniu. W sprzedaży mamy teraz

mieszkania w pięciu inwestycjach i wszędzie jest dokładnie tak samo – pierwsze sprzedawane są małe mieszkania. Nowe regulacje spowodują konieczność zmniejszenia liczby miejsc parkingowych, a co za tym idzie, realizowane będą większe niż obecnie mieszkania z ograniczoną powierzchnią balkonów. Mieszkania małe będą bardzo trudno dostępne, co spowoduje wzrost ich ceny. Po raz kolejny powstają nowe regulacje prawne, które bardzo niekorzystnie będą oddziaływać na rynek. Pytanie tylko o zasadność tego typu działań administracji.

Intensywność zabudowy to wskaźnik urbanistyczny, a tym samym nie powinien on być odnoszony do tego, co jest pod ziemią. Z punktu widzenia ładu przestrzennego istotne jest tylko to, co znajduje się nad ziemią i jest widoczne. Kluczowe znaczenie ma tu przestrzeń, która oddziałuje na każdego człowieka i to, co rzeczywiście na jej kształt wpływa. Niestety, brak jasnych przepisów, różne wykładnie i urzędowe interpretacje wprowadzają coraz większy chaos w tym obszarze.

Konieczne są więc zmiany legislacyjne, które mogłyby ten problem wyeliminować. W tym celu Polski Związek Firm Deweloperskich, wspólnie z Business Centre Club, Stowarzyszeniem Architektów Polskich i Towarzystwem Urbanistów Polskich, złożył w tym miesiącu w Ministerstwie Rozwoju Pracy i Technologii stanowisko wskazujące na konieczność podjęcia prac nad zmianą przepisów Ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz ujednoliceniem, a także prawnym usankcjonowaniem prawidłowego w aspekcie planowania przestrzennego sposobu obliczania wskaźnika intensywności zabudowy, która przede wszystkim powinna być liczona z wyłączeniem kondygnacji podziemnych oraz powierzchni balkonów i tarasów.

Brakuje bowiem uzasadnienia dla regulowania w aspekcie planistycznym gabarytów zabudowy podziemnej, czyli tego, co faktycznie przestrzeń nie obejmuje. Czy rzeczywiście głębszy garaż podziemny, ogrodzony taras na dachu lub szersze balkony mogą zakłócać ład przestrzenny?

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD



go wyizolowała i nie wiadomo, jakie nowe pomysły polityczne na budowanie wizerunku swojego lidera ma jego otoczenie doradcze. Jestem przekonany, że zaplecem Tuska nie będą politycy Platformy Obywatelskiej, którzy kierują klubem parlamentarnym tego ugrupowania. Podczas niedawnej Rady Krajowej Platformy Tusk utrwalił swój negatywny, konfliktowy wizerunek. Widzimy to choćby w badaniu CBOS, z którego wynika, że Tusk jest najbardziej nielubianym politykiem. To pokazuje, że bez zmiany wizerunku Tusk nie ma szans, żeby być politykiem realnie zagrażającym Prawu i Sprawiedliwości.

Jaka kalkulacja u pana ocenie stała za tym, że Tusk reaktywował się na scenie politycznej akurat teraz?

Moim zdaniem te kalkulacje były proste. Come back przed sezonem urlopowym był prawdopodobnie zaplanowany. Jego wejście do krajowej polityki musiało się teraz dokonać. Proszę sobie wyobrazić, że gdyby ono się dokonywało na przełomie sierpnia i września, już po wakacjach, poparcie sondażowe dla Platformy plasowałoby się pewnie poniżej 10 proc.

Kontestowanie Borysa Budki jako przewodniczącego Platformy także prowadzi do wniosku, że musiało się dokonać swego rodzaju przesilenie. Być może rzeczywiście Rafał Trzaskowski chciał, żeby Tusk w tak szybkim tempie nie wracał do polskiej polityki, i gotowy był przyjąć obowiązki przewodniczącego Platformy Obywatelskiej.

Trzaskowski przed decydującym starciem twierdził w wywiadach, że jest gotowy stanąć do wyborów przeciwko Tuskowi. Są jeszcze inne czynniki, które zapewne zdecydowały o tym, dlaczego Tusk wrócił akurat teraz. Jednym z nich jest zapewne perspektywa czwartej fali pandemii.

Czy analizując motywy powrotu Tuska na krajową scenę polityczną, powinno się uwzględnić także zewnętrzne inspiracje jego kroku?

Zdecydowanie bym tego nie wykluczył. Kwestia, kto będzie rządził Polską po 2023 r., jest kluczowa dla kilku najważniejszych państw w Europie. W pierwszej kolejności dla Niemiec i Rosji, ale nie tylko. Polska przy ogromnych pieniądzach, które zostaną wydane z naszego budżetu oraz unijnych funduszy w najbliższych latach, jest bardzo

 Z prof. Waldemarem Paruchem, politologiem, twórcą i byłym szefem Centrum Analiz Strategicznych rozmawia Ryszard Gromadzki

Poważna słabość nowego lidera PO

RYSZARD GROMADZKI: Czy Donald Tusk jest w stanie skonsolidować opozycję i odsunąć od władzy Prawo i Sprawiedliwość?

PROF. WALDEMAR PARUCH: Taki scenariusz jest prawdopodobny, acz nie byłbym pewny, że się zrealizuje. Z racji tego, że liderzy innych ugrupowań będą wnikliwie analizowali po pierwsze – wyniki sondaży i to, co Polacy sądzą na temat Donalda Tuska, oraz po drugie – jego

poruszanie się w pluralistycznej przestrzeni medialnej. Te dwie kwestie będą kluczowe dla oceny efektywności strategii politycznej Tuska pokonania PiS i Jarosława Kaczyńskiego.

Natomiast zasadne jest inne pytanie: Czy Tusk potrafi właściwie odczytywać zmiany, które dokonały się w Polsce po 2015 r.? Wątpię w to. Ta „klatka bruksejska”, że użyję takiego określenia,

ważnym kontrahentem dla rozlicznych inwestycji na naszym terytorium. Tym bardziej że gospodarka wykazuje dobre cechy makroekonomiczne i nic nie wskazuje na to, żeby ten trend miał się zachwiać. Dodajmy do tego kilka inwestycji i projektów gospodarczych bardzo niebezpiecznych z punktu widzenia naszych sąsiadów. Mówię o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Rozpoczęcie tej inwestycji teraz w ogromnej skali sprawi, że później trudno będzie ją wygasić. Ukończenie gazociągu Baltic Pipe jako dodatkowego połączenia zasilającego Polskę w gaz, przekopie Mierzei Wiślanej, a także wielu inwestycji infrastrukturalnych, które mają zniwelować różnice między Polską metropolitalną a powiatową.

Czy powrót Tuska oznacza „unieważnienie” projektu politycznego Szymona Hołowni?

Dla mnie zawsze projekt Polska 2050 był projektem marynistycznym – budowaniem tratwy ratunkowej dla wyborców i liderów Platformy Obywatelskiej. W momencie, kiedy wraca Donald Tusk – faktyczny patron działań opozycji – to inicjatywa Hołowni w naturalny sposób wygasa jako odpowiedź na konflikt PiS-PO. Polska 2050 może w wersji okrojonej zagospodarowywać młodych wyborców, z czym Platforma ma ogromny problem, czyli docelowo 8–10 proc. elektoratu.

Hołownia dysponuje o wiele mniejszymi zasobami niż Tusk, jeśli chodzi o budowanie swojej pozycji na wewnętrznej arenie w Polsce, tym samym stanie się „dodatkiem” dla Platformy Obywatelskiej. Być może projekt partii Polska 2050 będzie realizowany w formule zmodernizowanej Koalicji Obywatelskiej, czyli politycznego wehikułu dla PO, ale wtedy straci swoją główną cechę dającą jej poparcie na poziomie ok. 20 proc.

Reaktywacja Tuska to dobra wiadomość dla Prawa i Sprawiedliwości? Oto wraca stary, dobrze znany przeciwnik... Wejście Tuska do gry może być czynnikiem mobilizującym dla PiS?

Paradoksalnie sytuacja wcale nie jest prosta. Donald Tusk ma opinię polityka, który doskonale mobilizuje elektorat prawicowy, ale nie tylko, przeciw Platformie Obywatelskiej.

Z kolei będący w mniejszości elektorat kontekstowy, sytuacyjny nie byłby w stanie zagłosować na Tuska bez żadnej re-

alnej oferty ze strony Platformy Obywatelskiej, której ta partia prawdopodobnie wobec niego nie złoży. Wiele będzie zależało od tego, jak Prawo i Sprawiedliwość będzie się zachowywało wobec Tuska, na ile mu pozwoli. Mamy sytuację o tyle korzystną, że dzisiaj w odróżnieniu od roku 2015, a na pewno od roku 2011, mamy pluralizm w mediach. Tusk nie potrafi się odnaleźć w mediach, które zadają mu „trudne pytania”, zresztą większość polityków Platformy nie umie w takich warunkach medialnych funkcjonować. To jest poważna słabość Tuska, której nie ma chociażby Hołownia. On nie ucieka od zadawanych mu pytań, po prostu generalnie milczy. Pod tym względem Tusk ma mniejsze zasoby. Inne pytanie brzmi:

Bez zmiany wizerunku Donald Tusk nie ma szans, żeby być politykiem realnie zagrażającym Prawu i Sprawiedliwości

Kto przyjmie na siebie główne uderzenie ze strony Tuska? Czy będziemy mieli do czynienia z odtworzeniem sporu Tusk-Kaczyński? Pamiętajmy, że dzisiaj mamy do czynienia z inną sytuacją niż w 2007 r. Teraz ważnym graczem na scenie politycznej jest premier Mateusz Morawiecki. Moim zdaniem PiS powinien być bardzo zainteresowany tym, żeby włączyć Tuska w spory merytoryczne. Z tego prawdopodobnie Tusk będzie uciekał w styl rozumienia polityki, który zaprezentował podczas ostatniego posiedzenia rady krajowej Platformy. Podkreślimy, że jego wystąpienie podczas tego wydarzenia było kolejnym utrzymanym w tym samym duchu. Widać, że Tusk naprawdę nie przewartościował swojego myślenia o polityce, sprawując stanowiska w Unii Europejskiej.

Sukces planu Tuska zależy od skutecznego podważenia strategii Prawa i Sprawiedliwości. Jej filarami są program Polskiego Ładu i akcja szczepień przeciw COVID-19. Realizacja obydwu tych przedsięwzięć wiąże się z poważnym ryzykiem. Polski Ład może pod jakimś pretekstem zablokować Komisja Europejska, np. nie ratyfikując Krajowego Planu Odbudowy. Z kolei akcja szczepień wyraźnie wyhamowała, bo Polacy nie chcą się szczepić. Czy sytuacja,

w której Komisja Europejska zatrzyma mityczną rzekę pieniędzy na realizację Polskiego Ładu, może doprowadzić do kryzysu, a w konsekwencji do poważnego przewartościowania na polskiej scenie politycznej?

Ewentualne zablokowanie przez Unię pieniędzy europejskich uniemożliwi realizację części projektów zawartych w Polskim Ładzie. Wiemy też, że Polski Ład nie spowodował w ostatnich tygodniach skokowego wzrostu poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości. Wzrost jest umiarkowany – w granicach 1–2 proc., a nie 7 czy 8 proc. Prawo i Sprawiedliwość nie przekroczyło w sondażach poziomu 40 proc. poparcia. To znaczy, że tę partię i jej liderów, przede wszystkim Jarosława Kaczyńskiego, czeka mocna praca w terenie przynajmniej do czasu, w którym ewentualnie nie pojawi się czwarta fala pandemii.

Po pierwsze po to, żeby odkłamywać założenia Polskiego Ładu, ale po drugie także, aby budować narrację opartą nie na jakichś sloganach, że Polska ma dogonić Zachód w perspektywie 10 lat. Polski Ład w komunikowaniu politycznym powinien być zdecydowanie przełożony na konkretne, realizowane w najbliższych miesiącach projekty czytelne w kontekście społecznym i gospodarczym. Tu potrzebne są ściśle określone oferty, które mogłyby pozyskiwać określone, jasno zdefiniowane grupy wyborców czy wręcz większość wyborców. Nie do końca też inwestycje będą tym lewarem podnoszącym poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości. Moim zdaniem newralgicznym polem rozgrywki będzie służba zdrowia. Jeżeli pojawiłaby się czwarta fala pandemii, to zarządzanie służbą zdrowia musi być znacznie skuteczniejsze niż podczas drugiej czy trzeciej fali. O ile w dotychczasowych wyborach obowiązywała standardowa ocena, że koncentrując się na służbie zdrowia, nikt jeszcze w Polsce wyborów nie wygrał, o tyle teraz pandemia zdecydowanie dowartościowała politycznie ten problem. Dotyczy on prawie wszystkich Polaków w sposób bezpośredni. Obóz rządzący będzie uważnie obserwowany przez wyborców, którzy dadzą mu szansę na przekroczenie progu 40 proc. poparcia, jeśli zaopiekuje się na odpowiednim poziomie ochroną zdrowia. Brak decyzji, decyzje mgliste lub nierealizowanie zapowiedzi, które są składane, będą Prawo i Sprawiedliwość bardzo dużo kosztowały.



Jak nauczał Antoine de Saint-Exupéry: „Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”. Nic więc dziwnego, że powrót Donalda Tuska do polskiej polityki wywołał falę spekulacji na temat jego ukrytych motywów oraz celów, sojuszników, może nawet mocodawców. Niektóre teorie można odrzucić od razu. Na przykład tę, wedle której obawiał się, że wreszcie „odpowie za Smoleńsk”, nie miał więc innego wyjścia, jak tylko wrócić do kraju i „powstrzymać PiS”. Cóż, przy

stwie sąsiednim, szczególnie gdy uważają je za kraj ważny dla swoich interesów.

Zamiast się obrażać na takie zjawiska (można się też obrażać na to, że deszcz pada) albo deprecjonować je jako „teorie spiskowe”, warto raczej zadbać o to, by samemu w podobny sposób dbać o bezpieczeństwo, wpływy i wizerunek własnego kraju za jego najbliższymi granicami. Z tym Polska zawsze miała kłopot. Proszę porównać skalę działań Instytutu Goethego czy Fundacji Konrada

Z Waszyngtonu płyną podobne sygnały (ale trwa tam jeszcze spór na temat kierunku zmian). USA, według części dyplomatów, wojskowych i naukowców, miałyby zrezygnować z kosztownego i nieskutecznego modelu rozlokowania swoich wojsk na całym globie, oddając lokalne sprawy w ręce najważniejszych sojuszników. W przypadku Europy mieliby to być Niemcy. Koniunktura, którą stworzyła dla Polski kadencja Donalda Trumpa – który wobec niechęci ze strony Berlina widział w roli lokalnego hegemonu Polskę – właśnie dobiegła końca.

Kluczowy dla nas projekt Trójmorza także miałby stać się elementem budowy nowego systemu bezpieczeństwa nadzorowanego przez lokalne mocarstwo: Niemcy. Skąd o tym wiemy? Ano choćby z artykułu autorstwa trójmora Dan Fried, Georgette Mosbacher i Iana Brzezinski opublikowanego na portalu Trimarium.pl. Autorzy postulują w nim de facto odebranie krajom wschodniej flanki NATO tego projektu – odebranie pod pozorem współpracy. Sekretariat Trójmorza miałby ich zdaniem powstać w Berlinie albo Brukseli (może w Amsterdamie lub Londynie) – co w swojej polemice prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski komentował słowami: „Utworzenie siedziby administracji jakiejś struktury poza jej terytorium byłoby bezprecedensowym posunięciem w historii ludzkości”. Amerykańscy reformatorzy sugerują też rozszerzenie Trójmorza, czyli jego rozmycie. Teraz skupia ono współpracujące ze sobą kraje wewnątrz UE i NATO. Powiększone o Ukrainę, Białoruś, Turcję, Bałkany Zachodnie zamieniłoby się w coś w rodzaju Partnerstwa Wschodniego bis.

DOPOMÓC KRYZYSOWI

Niektórzy komentatorzy (jak redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki) pytają z kolei, czy nie jest przypadkiem Donald Tusk częścią innego planu: wymiany władzy w Polsce przeprowadzonej pod nadzorem i w interesie Brukseli. Na ile interesy Berlina i Brukseli są zbieżne – tę dyskusję zostawmy na inną okazję. Zauważmy natomiast, że podobna ingerencja (i z podobnych pobudek) nie byłaby niczym nowym. Oczywiście łatwo przeprowadzić ją, kiedy kraje, których dotyczy wymuszana zmiana, są pogrążone w kryzysie gospodarczym. Tak było w przypadku Grecji i Cypru objętych nadzorem unijnym oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Uczestnicy odbywających się wówczas na ulicach Aten czy Nikozji protestów

Kto gra Tuskiem



Piotr Gociek

Próżny, bezwzględny, szukający rewanżu za wszelką cenę – w polityce bardzo łatwo wykorzystać takie figury do własnych celów. Komu się uda?

obecnym tempie prowadzenia śledztwa smoleńskiego i przy wciąż niechętniej postawie partnerów NATO, którzy nie spieszą się z przekazywaniem danych niejawnych, Tusk może czekać na zarzuty jeszcze pół wieku. Zaś co do odpowiedzialności politycznej – to akurat powrót do Polski przybliżyłby go do takiej.

Doktor Jerzy Targalski (w czasach drugiego obiegu w PRL publikujący – pod pseudonimem Józef Darski – bardzo ciekawe analizy geopolityczne i polityczne) stwierdził w Polskim Radiu 24, że powrót Tuska odbywa się „na rozkaz Berlina” i może być „jednym z elementów szerokiej operacji niemieckich służb specjalnych”. Czy akurat niemieckich służb i akurat „szerokiej operacji”, tego nie wiem, ale wiem, że nie byłaby niczym zaskakującym i unikatowym sytuacja, w której władze jednego państwa próbują rozmaitymi sposobami wpływać na sytuację w pań-

Adenauera w Polsce ze skalą podobnych działań prowadzonych przez agendy polskiego państwa u naszych sąsiadów.

NIEMCY – LOKALNY STRAŻNIK?

Na pewno warto natomiast wsluchać się w argumenty Targalskiego, bo zbieżne są z tym, co słyszymy w dyskusjach wpływowych amerykańskich think tanków. Niemcy zamierzają „wykorzystać sytuację związaną z oddaniem im przez prezydenta USA Joe Bidena władzy w Europie” – mówi Targalski. „Biden zgodził się na tandem niemiecko-rosyjski, mając nadzieję, że Niemcy przystąpią do antychińskiej koalicji. Niemcy tego nie zrobią. Muszą natomiast wykorzystać ten czas na umocnienie własnej pozycji”.

Profesor Stephen M. Walt, wpływowy politolog z Harvardu, wzywał niedawno na łamach „Foreign Policy” do pozostawienia Europie troski o własne bezpieczeństwo.

■ często pytali, jakim prawem decyzje o przyszłości ich krajów podejmowane są przez wysłanników, którzy w żaden sposób nie odpowiadają przed wyborcami tych krajów ani nie zostali przez nich wyłonieni. Prawo silniejszego wygrało.

Kiedy kłopoty gospodarcze są niewystarczające, by system rządów się załamał, można w takim załamaniu pomóc. Tu wspomnieć trzeba obalenie we Włoszech rządu Silvia Berlusconi. Nie dlatego, że żyjemy ku niemu jakąś sympatię, ale dlatego, że chodzi o zasady. A te zostały wówczas brutalnie złamane. W roku 2014 w książce „Stress Test” Timothy Geithner – amerykański sekretarz skarbu w czasach Obamy – ujawnił, że już w roku 2011 Bruksela oczekiwała od USA pomocy w obaleniu legalnie wybranego rządu Włoch. „Skontaktowali się z nami europejscy urzędnicy, przedstawiając plan zmuszenia premiera Berlusconi do oddania władzy. Chcieli, abyśmy odmówili im wspierania idei pożyczki Międzynarodowego Funduszu Walutowego dla Włoch do chwili jego odejścia” – pisał Geithner. USA odmówiły. Ostatecznie to Niemcy manipulacjami finansowymi zatopili rząd Berlusconi.

Czy Bruksela życzyłaby sobie końca rządów PiS w Polsce? Bez wątpienia tak. Czy powrót Donalda Tuska do polskiej polityki mógłby w tym pomóc? Zapewne tak, zwłaszcza gdyby wojna – i tak prowadzona dotąd na dwa fronty, czyli naciskami zewnętrznymi oraz rokoszem tzw. totalnej opozycji w Polsce – została przedstawiona jako „rozsądny wybór”. Że niby jeśli Polacy dalej chcą otrzymywać pieniądze unijne, być ponownie szanowani, „w Europie” itd., to powinni powierzyć władzę osobie w Europie znanej i szanowanej, a tą akurat, tak się składa, jest Donald Tusk.

Taka retoryka nie różni się zbyt od tego, co liderzy opozycji i ich medialna orkiestra mówili w Polsce przez minione lata, ale z ust Tuska te same argumenty mają brzmieć w sposób bardziej wiarygodny. Tenże Tusk od chwili powrotu gra ostro na zaostrenie polaryzacji, które przynieść ma nie tylko mobilizację dawnych zniechęconych wyborców PO, którzy rozpięchli się po innych projektach. Obliczone jest także na zmobilizowanie wyborców nowych, przede wszystkim młodych, czyli byłoby to powtórzenie manewru z roku 2007. Przypomnijmy – PiS w przedterminowych wyborach zdobył wówczas więcej niż w roku 2005, więc nie można mówić, że Polacy się od tej partii odwrócili. Jednak Tusk

i Platforma wygrali mobilizacją pospolitego ruszenia „wszyscy na Kaczyńskich”. I nigdy już tego sukcesu nie powtórzyli.

Jest jeszcze jedna przesłanka wskazująca na próbę doprowadzenia do powtórki z roku 2007. Otóż wbrew medialnej histerii rządu PiS w latach 2005–2007 wiązały się z rozwojem gospodarczym. Było więc co dzielić. Tusk sprytnie grał wtedy kartą „będziemy lepszym PiS-em”, sugerując, że kierunek zmian się nie zmieni, ale dojdzie do zmiany stylu. Że odąd dobre rzeczy będą robione nie przez ludzi skompromitowanych (choćby współpracą z Giertychem i Lepperem w rządzie), ale ludzi rozsądnych. Dziś Donald Tusk zaczął od opowieści o tym, że nikt nie będzie zabierał nikomu programów społecznych wprowadzonych przez PiS, co więcej, że właściwie „500+” było wymyślone przez PO i Ewę Kopacz. To jest przesłanie na czas prosperity: jest dobrze, ale mogłoby być jeszcze lepiej – bez PiS.

KONGLOMERAT BIZNESOWO-MEDIALNY

Dlaczego wrócił? Dlaczego teraz? Jaki jest jego cel? Rozważając rozmaite teorie i zastanawiając się, co może się dziać za kulisami, pamiętajmy także o sytuacji wewnętrznej w obozie opozycji oraz w potężnym konglomeracie biznesowo-medialnym, który wciąż ją wspiera. Ten konglomerat nie jest jednolity, ścierają się w nim różne grupy interesów, rozmaite sojusze powstałe w różnych etapach rozwoju III RP. Łączy je jednak niechęć do PiS i jego polityki. Grupy te w ostatnich dwóch dekadach rozdarły były między dwoma kalkulacjami. Z jednej strony Tusk i PO wspierani byli jako jedyny skuteczny „anty-PiS” (w końcu tak skuteczny, że rządził dwie kadencje). Z drugiej strony pewna niesterowność Tuska w niektórych kwestiach oraz kłopoty PO po jego odejściu skutkowały poszukiwaniem kandydatów na nowych liderów opozycji i gwarantów zmiany (w tym wypadku – zmiany oznaczającej powrót do status quo). Nigdy na poważnie takim kandydatem nie był Janusz Palikot – choć jako broń przeciw PiS okazywał się pożyteczny. Poważnie rozważano natomiast niedgryz kandydaturę Ryszarda Petru, a teraz – Szymona Hołowni.

Te rozterki nie są niczym nowym w owym konglomeracie. Wspomnijmy, jak latem roku 2007 do ostatniej chwili wahano się, w którą stronę wajcha winna być przestawiona: Czy gwarancję triumfu

nad Jarosławem Kaczyńskim daje odnowiona lewica pod patronatem Aleksandra Kwaśniewskiego (Lewica i Demokracji), czy jednak Platforma Obywatelska pod wodzą Donalda Tuska? Dopiero na ostatniej prostej wszystkie zasoby poparcia rzucone zostały na rzecz tego ostatniego. Dzisiejsze kalkulacje muszą wyglądać podobnie. Być może to jeden z powodów, dla których Tusk w nieoficjalnych rozmowach opowiada, że daje sobie rok na próbę zmiany układu sił. Jeśli mimo jego obecności i aktywności okaże się, że w tym czasie nie udało się doprowadzić do przełomu w sondażach, to kwestia, „kto ma być nowym i skutecznym liderem obozu anty-PiS”, zostanie otwarta na nowo.

PRZEJŚĆ DO HISTORII

Niezależnie od tego, który z rozważanych scenariuszy jest właśnie przeprawiany, do wszystkich idealnie pasuje motywacja samego Tuska, człowieka który marzy o tym, by przejść do historii. Tylko że jego osiągnięcia są wymazywane przez Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS ograł Tuska dwakroć w roku 2005 i zniszczył jego marzenie o prezydenturze oraz premierowaniu. Rewanż w roku 2007 udało się wygrać, ale przeciwnik nie został zneutralizowany. Co więcej, po roku 2010 Jarosław Kaczyński odbudował swój obóz i poprowadził go do zwycięstwa. Dziś PO nie może się już chwalić mianem jedynej partii, która rządziła przez dwie kadencje. Obecnie dawna „zielona wyspa” Tuska okazuje się drobiazgiem w porównaniu z czasami prosperity rządów PiS. Kaczyński zapisuje się w dziejach jako twórca kolejnych koalicji i rządów, namaszczaający kolejnych premierów i prezydentów (w końcu wykreował ich trzech!). Dla Tuska bój to jest ostatni. Nie o wpływy, nie o nowe stanowisko, nie o sutą emeryturę, nie o pokłask zaprzyjaźnionych mediów. To bój o miejsce w podręcznikach historii. O to, by nie zostać w nich skompromitowaną figurą drugiego planu. Walka o wszystko.

Trudno się dziwić, że Tusk chciałby wykorzystać nadarzającą się okazję. Ale ten kij ma dwa końce – jego marzenie o zemście może być okazją dla innych. Ludzi takich jak Tusk: o tak rozbuchanym ego, tak przekonanych o swojej wielkości i tak bezwzględnych; ludzi o takich motywacjach i ambicjach łatwo wykorzystać w rozmaitych scenariuszach pisanych ponad ich głowami. Dla wygranej zrobią wszystko. A resztę? Resztą niech martwią się inni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Suski na podkomisji nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego projektu ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawy o kinematografii. FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

Lex TVN



Kamila Baranowska

Skąd wziął się w PiS pomysł, by uderzyć w TVN przepisami, co do których wiadomo było, że nie mają szans na uchwalenie i że wywołają polityczną burzę? Kto za tym stał i co?

Jedni mówią o „wielkim blefie PiS”, drudzy alarmują, że wręcz przeciwnie – Kaczyński naprawdę chce likwidacji TVN i zrobi wszystko, by dopiąć swego. Jeszcze inni tłumaczą, że chodzi o dyplomację i pośrednie naciski na USA,

a jeszcze kolejni tajemniczo puszczają oko, że sprawa ma drugie i trzecie dno. Tymczasem, jak to w polityce zazwyczaj bywa, prawda jest o wiele bardziej prozaiczna, niż by się mogło wydawać. I jak zwykle więcej w tej całej awanturze

przypadku niż spiskowych działań oraz strategicznego planowania.

Poszło o projekt nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji, który kilkanaście dni temu złożyła w Sejmie grupa posłów PiS z Markiem Suskim jako przedstawicielem wnioskodawców. Projekt zakłada doprecyzowanie przepisów dotyczących przyznawania koncesji radiowo-telewizyjnej stacjom należącym do kapitału zagranicznego. W skrócie chodzi o to, że tak jak dotychczas koncesję na nadawanie będą mogły uzyskać podmioty z Europejskiego Obszaru Gospodarczego, jednak pod warunkiem, że nie będą zależne od podmiotów spoza EOG.

Nikt nie ma wątpliwości, że tak sformułowany zapis miał uderzyć w telewizję TVN, której właścicielem jest amerykański koncern Discovery, który zarządza stacją za pośrednictwem spółki, zarejestrowanej w Holandii. Zwłaszcza że w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji cały czas toczy się proces rozpatrywania wniosku o przedłużenie koncesji dla TVN24. Czasu jest coraz mniej, bo dotychczasowa koncesja na nadawanie TVN24 wygasa 26 września.

WALKA NA EKSPERTYZY

Kiedy tylko projekt pojawił się na stronach sejmowych, rozpętała się polityczna awantura. Opozycja uznała, że to zamach na wolne media i że celem PiS jest likwidacja nieulubianej stacji.

W podobnym tonie wypowiedział się zarząd TVN, a chwilę później także władze amerykańskiego Discovery. „Pod pozorem walki z obcą propagandą próbuje się ograniczyć wolność mediów. Nie ugnieśmy się pod żadnymi naciskami i pozostaniemy niezależni, działając w imieniu naszych widzów” – czytamy

Nic dziwnego, że w tej sytuacji zaczęło pojawiać się pytanie: Po co PiS złożył projekt, co do którego z góry wiadomo, że w Sejmie nie ma szans? Wśród całej masy teorii, które powstały w poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie, ta, która wydaje się być najbliższa rzeczywistości, jest najmniej atrakcyjna.

Z naszych informacji wynika bowiem, że projekt ustawy złożony przez Suskiego miał służyć głównie jako tzw. podkładka prawna dla Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, która uważa, iż telewizja TVN24 już na gruncie obowiązujących przepisów koncesji dostać nie powinna, ale boi się wydać jednoznaczną decyzję w tej sprawie.

TVN zamówił trzy własne ekspertyzy prawne (zostały opisane przez „Dziennik Gazetę Prawną”), z których wynika, że TVN w obecnej strukturze właścicielskiej spełnia wymogi ustawowe. KRRiT z kolei dysponuje trzema własnymi ekspertyzami, które nie pokrywają się z tymi zleconymi przez TVN. – Wnioski formułowane w niezależnych ekspertyzach zamówionych przez KRRiT stoją w sprzeczności

Z naszych informacji wynika, że projekt ustawy złożony przez Suskiego miał służyć głównie jako tzw. podkładka prawna dla Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, która uważa, iż telewizja TVN24 już na gruncie obowiązujących przepisów koncesji dostać nie powinna, ale boi się wydać jednoznaczną decyzję w tej sprawie

w oświadczeniu zarządu TVN. „Przeglądamy się uważnie sytuacji i będziemy bronić naszego biznesu przed nasilającymi się przekroczeniami kompetencji organów regulacyjnych, działaniami na szkodę odbiorców oraz wszelką niepewnością co do sytuacji na rynku, która mogłaby negatywnie wpłynąć na biznes w Polsce, jego rozwój i przyszłość gospodarczą” – to z kolei fragment oświadczenia koncernu Discovery.

Projektem zaskoczeni byli koalicjanci PiS ze Zjednoczonej Prawicy, z którymi nikt niczego nie konsultował, a także większość posłów samego PiS, która o sprawie dowiedziała się z mediów. Jarosław Gowin i Porozumienie natychmiast zdystansowali się od tego pomysłu. Sam Gowin stwierdził, że „trudno byłoby jego partii poprzeć rozwiązanie, które mogłoby być wykorzystane do jakiegokolwiek ograniczania pluralizmu mediów”.

z tezami opisanymi w artykule „Dziennika Gazety Prawnej” – mówiła Wirtualnym Mediom rzeczniczka KRRiT Teresa Brykczyńska. Opinie prawne, powstałe na zlecenie TVN, nie są dla Rady wiążące. Własnych opinii Rada na razie jednak nie upubliczniła. – Ekspertyzy są częścią dokumentacji w prowadzonych postępowaniach i dlatego udostępnimy je w całości w stosownym czasie – tłumaczyła Brykczyńska.

ZROBILI PO SWOJEMU

– Witek Kołodziejski [szef KRRiT – przyp. red.] z Markiem Suskim wymyślili, że zrobią poprawkę do ustawy i doprecyzują przepisy tak, żeby Krajowa Rada nie miała wątpliwości i żeby była w stanie obronić potem swoją decyzję w sądzie. I uradzili, z nikim nie konsultując i nikomu nic nie mówiąc, uznając, że to tylko niegroźna nowelizacja. Wyszło

jak zawsze – załamuje ręce jeden z polityków PiS z rządu. Dopytujemy jednak dalej, jak to możliwe, że na takie rozwiązanie zgodził się prezes PiS, który musiał zdawać sobie sprawę z tego, jakie będą skutki takiej nowelizacji.

– Powiedzieli, że to trzeba uregulować, bo jest problem i będzie jeszcze większy, jeśli nasze media będą chcieli wykupić Rosjanie czy Chińczycy, i że da się temu łatwo zapobiec. Prezes posłuchał i powiedział: „Róbcie”. I wtedy zawsze zaczyna się problem, bo każdy to „róbcie” rozumie po swojemu. Więc oni zrobili tak, że cichaczem w nocy wrzucili projekt nowelizacji, licząc, że jakoś przejdzie. No to już wiedzą, że nie przejdzie – śmieje się nasz rozmówca z PiS.

Generalnie politycy PiS od dawna narzekają na to, że masa w sumie sensownych i zasadnych pomysłów rozbija się o fatalne przygotowanie i wykonanie. – To jest pokusa władzy. Po co się bawić w jakieś niuanse, robić nieformalne konsultacje, kombinacje itd., skoro można uderzyć otwarcie i z grubej rury zrobić ustawę i już? – tłumaczy jeden z polityków PiS. – Jeśli ktoś rozgryzłby to, dlaczego PiS co jakiś czas na własne życzenie ładuje się w takie nieprzeżyłane, bezsensowne i z góry przegrane akcje, i byłby w stanie to ukrócić, to PiS miałoby 50 proc. w sondażach – dodaje.

Dziś losy projektu nowelizacji wydają się być raczej przesądzone. I choć nawet premier Mateusz Morawiecki przekonuje, że takie przepisy są potrzebne, właśnie żeby bronić się przed wpływami zewnętrznymi (głównie rosyjskimi), to sprawa została zbyt mocno uwikłana w bieżący spór polityczny i zbyt mocno skojarzona z koncesją dla jednej stacji. Przyznaje to sam szef KRRiT Witold Kołodziejski.

– Bardzo bym chciał, żeby to było odłączone od procesu koncesyjnego TVN24 dlatego, że to odium polityczne – mam nadzieję – wtedy by zniknęło. Ale niestety to wszystko się połączyło – ubolewał po fakcie w Polskim Radiu 24. – Istota problemu nie jest związana z konkretną koncesją i konkretną procedurą, tylko z samą sytuacją własności mediów w Polsce – wskazywał. I dodał, że całe zamieszanie wokół nowelizacji ustawy odczytuje w kategoriach prób nacisków na KRRiT w sprawie koncesji dla TVN24. – Nie ma nacisków politycznych wywieranych na Radę, ale oczywiście są próby takich nacisków, chociażby cała

sprawa z ambasadą amerykańską. My jednak dość twardo stoimy na stanowisku, że decyzja koncesyjna jest autonomiczną decyzją regulatora – stwierdził.

WĄTEK AMERYKAŃSKI

Kołodziejski nawiązuje do słów Bixa Aliu, chargé d'affaires ambasady USA w Polsce, który stwierdził, że „USA z rosnącym niepokojem obserwują procedurę związaną z koncesją TVN oraz nowy projekt zmian ustawy medialnej”. – Wolna prasa ma kluczowe znaczenie dla demokracji – podkreślił.

Wątek amerykański w tej sprawie pojawia się zresztą od początku. Pośród wielu teorii opisujących przyczyny powstania kontrowersyjnej nowelizacji pojawiła się i ta, że nowe regulacje mają być dyplomatycznym środkiem nacisku i kartą przetargową w relacjach z nową administracją amerykańską, z którą Polska ma dość chłodne relacje. „W obozie władzy powstała koncepcja, by przy okazji dyskusji o nowych przepisach o radiofonii i telewizji domagać się od Amerykanów m.in. wysłania do Polski ambasadora oraz złagodzenia kursu” – donosił portal Wirtualna Polska. – Rzeczywiście to jest sprawa, którą Amerykanie bardzo się interesują, której pilnują i w której lobbują, gdzie mogą – opowiada polityk znający kulisy sprawy. – Tylko że oni też potrafią liczyć i od początku wiedzą, że nie będzie większości do uchwalenia takiego prawa, więc ten środek nacisku nie jest tak skuteczny, jak mógłby być, gdyby taka większość realnie istniała – zauważa jeden z polityków Zjednoczonej Prawicy. Faktem jest jednak, na co zwracają uwagę politycy prawicy, że biznes lubi spokój i tego typu zawirowania oraz kontrowersje mu nie służą. Dlatego, jak słyszymy w PiS, nie jest tak, że ten środek nacisku jest całkiem bez znaczenia, przy czym jego skuteczność jest trudna do zweryfikowania.

WIELKI BLEF...

Łatwiejsze do oceny są za to inne teorie spiskowe, które przy okazji „lex TVN” pojawiły się w debacie publicznej. Wśród najczęściej pojawiających się teorii była ta o wielkim blefie PiS. Otóż Jarosław Kaczyński od początku miał wiedzieć, że projekt jest bez szans, ale z jakiegoś powodu zależało mu na politycznej awanturze i wywołaniu emocji. Być może chodziło o przykrycie tematu nepotyzmu w spółkach Skarbu Państwa, być może o przykrycie powrotu Donalda Tuska,

Prawo uderzające w media jest jak gorący kartofel, którym politycy wołą sobie nie parzyć rąk

być może o mobilizację własnego elektoratu. A może wszystko naraz. W tej teorii jest ziarno prawdy, bo – jak wskazuje nam jeden z polityków – w sytuacji, gdy ma się chybliwą większość w Sejmie i potężne napięcia wewnątrz klubu, co jakiś czas trzeba dopieszczać poszczególne frakcje i łagodzić wewnętrzne napięcia. A najlepiej robi się to za sprawą wspólnego wroga, na którym mogą się skupić wspólne emocje i który wyzwala mobilizację. TVN nadaje się do tej roli idealnie. – Do prezesa ciągle przychodzą jacyś politycy ze swoimi pretensjami i tekstami, że w końcu trzeba się z kimś rozprawić, a to z mediami, a to z sędziami, a to z kimś jeszcze innym i że jak nie teraz, to kiedy. Co jakiś czas prezes im ulega i zwykle są z tego same nieszcześcia – mówi poseł PiS.

... CZY CHĘĆ LIKWIDACJI?

Na drugim biegunie znalazła się z kolei teoria o tym, że szczerym pragnieniem Jarosława Kaczyńskiego jest likwidacja TVN i że postanowił wykorzystać sytuację, by do tego doprowadzić. „Na Nowogrodzkiej zapadła decyzja o ostrym kursie wobec TVN, o wiele ostrzejszym, niż proponowała Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Pacyfikacja tej telewizji jest głównym celem i może mieć też związek z perspektywą przyspieszonych wyborów parlamentarnych” – napisała w „Gazecie Wyborczej” Dominika Wielowieyska. Politycy Zjednoczonej Prawicy śmieją się jednak, gdy słyszą podobne opinie, i tłumaczą, że gdyby prezes zdawał sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje pomysłów duetu Kołodziejski-Suski, to pewnie by się na to wszystko nie zgodził, bo umie liczyć i wie, że dzisiaj do żadnych poważniejszych zmian nie ma sejmowej większości. A wiadomo, że prawo uderzające w media jest jak gorący kartofel, którym politycy wołają sobie nie parzyć rąk. Jarosław Gowin, co było do przewidzenia,

od razu zapowiedział, że nowelizacji nie poprze. Solidarna Polska oficjalnie głosu nie zabrała, ale też nie jest pewne, czy zechce przykładać rękę do utrudniania życia mediom. – Ani Gowin, ani Ziobro nie będą podcinać gałęzi, na której siedzą. Obaj wiedzą, że wystarczy jedno pstryknięcie palcem i znikają z dnia na dzień z mediów publicznych, obaj już to przerabiali i wtedy ich jedyną szansą na obecność w mediach są media prywatne – słyszymy w koalicji. Także na Konfederację PiS nie ma w tej sprawie co liczyć. – Nie podoba nam się ta ustawa – powiedział Krzysztof Bosak, tłumacząc, że choć jest zwolennikiem polskiego kapitału w mediach, to przy takiej atmosferze i w kontekście uderzenia w konkretną stację nie chce brać w tym udziału.

Jarosław Gowin zapowiedział jeszcze zgłoszenie poprawki, która ma być testem dla intencji PiS, czy rzeczywiście chodzi o szersze uregulowanie właścicielskie czy uderzenie w nieulubiany TVN. Poprawka zakłada, że mediami w Polsce zarządzać nie mogą „kraje spoza OECD”, a nie – jak dzisiaj – „kraje spoza EOG”. – Na mocy takiej poprawki wszystkie obecnie funkcjonujące telewizje w Polsce mogłyby działać – zaznaczył Jan Strzeżek z Porozumienia.

CIEMNA PRZYSZŁOŚĆ

Marek Suski, czyli jeden z głównych winowajców całego zamieszania wokół „lex TVN”, nie ma większych złudzeń co do przyszłości swojej nowelizacji.

– Przyszłość nowelizacji maluje się w ciemnych barwach. Bo jeżeli nie mamy nawet we własnym obozie politycznym poparcia dla takiego rozwiązania, to raczej uchwalić się go nie da – komentował w telewizji Republika. Stwierdził, że jego projekt „nie ma szans, bo wszyscy inni chcą brylować w TVN i chcą być tam zapraszani”. – Cała opozycja oczywiście rzuca nam kłody pod nogi niezależnie od tego, czy to jest w interesie Polski, czy jakiegokolwiek innego kraju europejskiego, czy innego kraju pozaeuropejskiego, bo tego rodzaju ustawa miała nasz rynek medialny chronić i dawać równe szanse polskim mediom – stwierdził Suski, dziwiąc się, że tak się sytuacja rozwinęła, bo przecież intencje były dobre.

Ciekawe, ile razy jeszcze politycy PiS muszą się boleśnie sparzyć, by zrozumieć, że dobre intencje to w polityce za mało. O wiele za mało.



Włodzimierz Czarzasty, aktualny szef SLD (z lewej), i Leszek Miller, były szef Sojuszu FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

SLD w kryzysie wieku średniego



Rafał A. Ziemkiewicz

Na lewicy toczy się bój. Czy SLD zbliży się do PiS i zachowa tożsamość, czy rozpułynie się w „zjednoczonej koalicji”?

Jeżeli lewica nie będzie nakierowana tylko na najbardziej skrajne zachowanie i nie będzie obciążona lewactwem, to spokojnie możemy przekroczyć 20 proc. poparcia – mówił kilka miesięcy temu Marek Dyduch, były sekretarz generalny SLD w wywiadzie dla RMF. Był to jeden z pierwszych słyszalnych na zewnątrz odgłosów walki, która rozgrywała się wewnątrz... No właśnie, określenie, wewnątrz czego, już jest problemem: wewnątrz partii Nowa Lewica, powstałej oficjalnie w grudniu 2019 r., ale dopiero ostatnio zarejestrowanej przez sąd, czy może jednak wewnątrz Sojuszu Lewicy Demokratycznej, oficjalnie od tej samej daty nieistniejącego, ale stanowiącego faktyczną treść wypełniającą nową fasadę i nazwę. A może po prostu wewnątrz lewicy – pisanej małą literą – bo spór, jak cytowane słowa Dyducha wskazują, toczy się po części pomiędzy różnymi jej nurtami.

W istocie, wydaje się, nakłada się na siebie wiele konfliktów dla ludzi z zewnątrz trudno czytelnych. Spór między „nową lewicą” (małymi literami), wyznającą swego rodzaju „radykalizm apokaliptyczny” (trzeba być maksymalnie radykalnym i odrzucać wszelkie kompromisy, bo świat obecny i tak zaraz runie, a wtedy oni wezmą pełnię władzy i dokonają rewolucji na całym świecie), a tą „starą”, zirytowaną, że zadała się z krzykliwą gówniażerą odstraszać wyborców, to tylko jeden z nich.

Osobny spór toczy się nieustająco wewnątrz samej lewicy radykalnej. Jak w każdej sekcji trwa tam nieustanna rywalizacja o osiągnięcie doktrynalnej czystości, czyli przerzucanie się zarzutami, kto wykazał się „whorefobią”, dyskryminując w mowie „pracownice i pracowników seksualnych”, a kto popełnił herezję, myląc kobiety z „osobami z macicą” albo sugerując, że mężczyźni nie mogą rodzić dzieci. Chętnie używaną bronią w tych walkach, o czym swego czasu pisaliśmy, są oskarżenia o „zachowania przemocowe” bądź innego rodzaju „seksizm”. Te sekciarskie spory dotyczą zbyt niszowych organizacji, by wpływać na politykę czy w ogóle przebić się do świadomości publicznej – chyba jedynym wyjątkiem było wykluczenie z Lewicy Razem (dawnej Partii Razem) Urszuli Kuczyńskiej za „terfizmy” i „cisiarstwo”. Ale styl ich prowadzenia przenosi się stopniowo do głównego nurtu lewicy: wspomniany już Marek Dyduch oskarżony został o seksizm przez Barbarę Nowacką, gdy powiedział o niej, że „trajkocze”, a Włodzimierz Czarzasty przez

Gabrielę Morawską-Stanecką, lewicową wicemarszałek Senatu, gdy w prywatnej rozmowie miał powiedzieć, że jeśli będzie mu szkodzić, to ją „odstrzeli”. Na razie obu oskarżonym udało się wykręcić odbyciem „antydiskryminacyjnego szkolenia”.

STOSUNEK DO WŁADZY

W głównym nurcie lewicy walka ma jednak więcej wspólnego z polityką. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że osią sporu pomiędzy działaczami skupionymi wokół Czarzastego a częścią „baronów” i historycznymi przywódcami lewicy, formalnie będącymi dziś poza jej strukturami, ale wciąż mającymi w nich autorytet i stronników, jest stosunek do rządu PiS. Głównym zarzutem stawianym Czarzastemu jest wspólne z PiS głosowanie za Funduszem Odbudowy – wewnętrzna opozycja idzie w oskarżeniach dalej, twierdząc, że Czarzasty dąży do współpracy ze znienawidzonym przez lewicowy elektorat PiS, a może nawet do zawarcia z nim koalicji, i że w ten sposób właśnie jest sprawcą marnych notowań partii (które, co prawda, po sprawie FO nie spadły jakoś znacząco, ale też i nie rosną).

Czarzasty wobec swoich przeciwników używa tej samej broni: decyzje o zawieszeniu szefa dolnośląskich struktur Nowej Lewicy Marka Bałta uzasadnił tym, że jakoby to on stał za głosowaniem dwójga wojewódzkich radnych za absolutorium dla tworzonego przez PiS zarządu województwa dolnośląskiego. Ta argumentacja rozsierdziła przeciwników Czarzastego, wypominających mu układ w sprawie FO. Ten bronił się, że czym innym było porozumienie w sprawie realizacji ważnego unijnego projektu, a czym innym byłoby – analogiczne do zachowania dolnośląskich radnych – głosowanie za wotum zaufania dla rządu Morawieckiego. Ale dlaczego to głosowanie ma obciążać akurat Marka Bałta?

Trzeba zajrzeć do lepiej zorientowanego w wewnętrznych sporach byłego SLD tygodnika „Przegląd”, który biorąc stronę rebeliantów, oskarża Czarzastego na okładce ubiegłotygodniowego numeru o próbę stworzenia z Lewicy swojej „prywatnej partii”. Według informacji podanych przez Roberta Walenciaka faktycznym powodem zawieszenia Bałta było uniemożliwienie mu wykonania uchwały śląskiej Rady Wojewódzkiej Lewicy, która dwa dni wcześniej zobowiązała Bałta do złożenia w są-

dzie partyjnym wniosku o odwołanie Czarzastego za złamanie uchwały Rady Krajowej – chyba że ten wykona ją przed 11 września.

Wspomniana uchwała nakazywała Czarzastemu – który gorąco się temu sprzeciwił – zwołanie drugiej tury Konwencji z grudnia 2019 r., tej, na której nie tylko SLD stał się Nową Lewicą, lecz także podjęto uchwałę o połączeniu się Nowej Lewicy z Wiosną Roberta Biedronia.

Uchwała ta dotąd nie została zrealizowana – ale myli się ten, kto by sądził, że skoro w tzw. międzyczasie Wiosna de facto przestała istnieć, to sprawa nie jest aktualna. Kongres Zjednoczeniowy ma się odbyć 9 października i ma w nim wziąć udział 500 delegatów SLD, zwanego obecnie Nową Lewicą, oraz tyluż samo delegatów Wiosny. Zdaniem rebeliantów obaj liderzy dogadali się już, że głosami zwolenników Czarzastego i owej pięćsetki Biedronia powstała z tego „zjednoczenia” partia otrzyma taki statut, który praktycznie uczyni z niej prywatną własność obu polityków.

Pomijając już problem, skąd Biedroń weźmie 500 delegatów, jest jednak jeden szkopuł, który wykorzystwała wewnętrzna opozycja: konwencja z grudnia 2019 r. nie została formalnie zamknięta, zawieszono ją tylko, zapowiadając, że zostanie dokończona za jakiś czas, w drugiej turze. I właśnie odbycia tej drugiej tury przed zapowiedzianym zjazdem zjednoczeniowym domagają się działacze, którzy nie chcą, by Czarzasty został ich dożywotnim przewodniczącym, dysponującym nieograniczoną władzą zarządzania ponad 10 mln rocznej dotacji dla partii.

ODKRĘCANIE ZJEDNOCZENIA

Sądząc po tym, że uchwała mimo sprzeciwu przewodniczącego przeszła na Radzie Krajowej bardzo dużą większością, wewnętrzna opozycja ma dość sił, żeby na postulowanej drugiej turze konwencji „odkręcić” zjednoczeniowe ustalenia. Właśnie dlatego Czarzasty, jak się zdaje, postanowił zrobić wszystko, by jej nie zwoływać i odbyć „kongres zjednoczeniowy” zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

„Lewica, wystawiając Biedronia, poniosła największą w historii klęskę. I co? Zero refleksji... Biedroń po cynicznym wykorzystaniu naiwności wyborców ulokował się w eurodajnej Brukseli

i dalej jest jedną z głównych twarzy lewej strony sceny politycznej. A Wiosna, którą trwale zmarginalizował, ma być połową Nowej Lewicy. Czy ktoś niebędący ofiarą upałów może kupić taki hucpiarski numer?” – grzmi we wstępie redaktor naczelny „Przeglądu” Jerzy Domański.

Grę Czarzastego dodatkowo utrudnił powrót Donalda Tuska. Nie przypadkiem w roli głównego entuzjasty Tuska i zjednoczenia wokół niego opozycji wystąpił Leszek Miller. Miller nie ukrywa, że decyzję Czarzastego o porzuceniu szyldu SLD i „połączeniu” z efemeryczną partijką Biedronia uważa za niewybaczalną i chciałby, aby jego konkurent słono za nią zapłacił. Ale w jego wypowiedziach – współbrzmiających z głosami Marka Belki i Włodzimierza Cimoszowicza – powtarza się też niedwuznaczne wezwanie do przyłączenia lewicy do obozu „zjednoczonej opozycji” pod wodzą Tuska.

Jest to przecież scenariusz „lubnaueryzacji”, dla zapobieżenia któremu podjął Czarzasty tak mocno wykorzystywaną teraz przeciwko niemu decyzję o zbliżeniu z PiS. Oskarżenia, że chce przejąć władzę nad Lewicą po to, by wraz ze swymi stronnikami związać ją w kolejnej kadencji z PiS, wydają się uzasadnione. Alternatywą, której chce Czarzasty uniknąć, jest przecież rozpuszczenie się Lewicy w bloku Koalicji Obywatelskiej.

A raczej, nie całej lewicy, tylko SLD. Bo pęknięcie między tą partią a „nastawionym na skrajne zachowanie lewactwem” (Lewica Razem Zandberga trzyma się na uboczu opisanego sporu, zachowując organizacyjną odrębność) wydaje się przesądzone. Ani PiS, ani PO nie potrzebują tęczo-genderowej skrajności, wyklócającej się o „trzecie ubikacje”. Natomiast pomoc działaczy dawnej SLD zapewne przyjmą chętnie. Niewykluczone, że od tego, kto ostatecznie obejmie nad nimi przywództwo – Miller czy Czarzasty – zależeć będzie władza w następnej kadencji.

A działacze ci przeżywają właśnie swoisty kryzys wieku średniego – i to on wydaje się przyczyną obecnej wojny. Jak wie każdy, kto ma tę przypadłość za sobą, jej istotą jest świadomość, że oto nadszedł ostatni już moment, żeby przeżyć to, czego się dotąd nie przeżyło, a jeszcze by się przeżyć chciało. Dla formacji Czarzastego i Dyducha, jeśli jeszcze chce wrócić do politycznego znaczenia, przychodzi taka właśnie ostatnia chwila.

Przejrzystość finansów publicznych to ważna sprawa. Jeśli rząd wypycha zadłużenie poza budżet, do celowych funduszy, to umożliwia w ten sposób obejście konstytucyjnych kryteriów relacji długu do PKB, zaś ekonomistom utrudnia policzenie, w jakiej właściwie sytuacji są finanse publiczne. Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że nad tymi zagadnieniami debatują znani ekonomiści i eksperci: prof. Elżbieta Chojna-Duch, prof. Witold Orłowski, dr Sławomir Dudek, dr Stanisław Kluza i Alicja Defratyka. Debata była zatytułowana „Przejrzystość finansów publicznych jako fundament odbudowy gospodarki po pandemii” – i w tym również nie byłoby niczego zaskakującego.

Zaskakujący był natomiast gospodarz spotkania: Marian Banaś, prezes Najwyższej Izby Kontroli, sama debata zaś miała miejsce w siedzibie NIK. Ta instytucja nie jest przecież kojarzona z organizowaniem tego typu wydarzeń. Ba, można by nawet uznać, że debata wykraczała poza zakres działalności NIK, określony w naszej ustawie zasadniczej. Jej art. 203 mówi o tym, że NIK kontroluje działalność organów administracji rządowej, NBP, państwowych osób prawnych i innych państwowych jednostek organizacyjnych z punktu widzenia legalności, gospodarności, celowości i rzetelności. Może także kontrolować działalność organów samorządu terytorialnego, komunalnych osób prawnych i innych komunalnych jednostek organizacyjnych oraz innych jednostek organizacyjnych i podmiotów gospodarczych w zakresie, w jakim wykorzystują one majątek lub środki państwowe lub komunalne oraz wywiązują się z zobowiązań finansowych na rzecz państwa. Jako żywo, nie ma tam nigdzie mowy o organizowaniu wydarzeń, podczas których omawiano by coś innego niż wyniki kontroli.

SEDNO PROBLEMU

Owszem, do dokonanej przez NIK analizy wykonania budżetu odwoływał się Marian Banaś podczas swojego wystąpienia otwierającego konferencję. Podkreślał, jak ważne dla obywateli jest, aby finanse państwa były przejrzyste (z czym trudno się nie zgodzić), oraz informował, że w ubiegłym roku rząd zastosował „bezpprecedensowe mechanizmy służące wypychaniu wydatków poza budżet”, co z kolei doprowadziło do znaczącej różnicy w wielkości zadłużenia państwa według metodologii krajowej oraz unijnej.



Łukasz Warzecha

Może pora uznać, że na czele NIK stoi – w wyniku ekstraordynaryjnego zbiegu okoliczności – polityk opozycji, i to potencjalnie bardziej efektywny niż wielu spośród tych zasiadających w ławach poselskich

Banaś, czyli opozycja

Banaś trafił tutaj w sedno – ta rozbieżność bywała już nieraz przedmiotem gorących debat, również za poprzedników PiS. Unia bowiem nie uwzględnia naszych rodzimych sztuczek rachunkowych i podaje całość zadłużenia, włącznie z tym wypychanym do funduszy celowych.

Marian Banaś oznajmił: „Zarówno przeszłość Polski, jak i bolesne doświadczenia innych krajów, których byliśmy świadkami w ostatnich dekadach, pokazują wyraźnie, że kreatywna księgowość budżetowa i niska przejrzystość finansów publicznych mogą spowodować poważny kryzys gospodarczy, którego ofiarami są obywatele. Nie możemy do tego dopuścić. Chciałbym wraz z państwem rozpocząć krajową ogólnopolską dyskusję na temat przejrzystości gospodarowania środkami publicznymi

w ramach budżetu państwa. Informowanie obywateli i ochrona ich przed konsekwencjami mało przejrzystego budżetu jest moim obowiązkiem”.

Gdyby takie słowa wygłaszał polityk opozycji, nie byłoby w nich niczego dziwnego, jednak w ustach prezesa NIK brzmią zaskakująco. Zadaniem NIK nie było nigdy „rozpoczynanie ogólnopolskich dyskusji”, tylko przeprowadzanie kontroli, których rezultaty zwykle nie były powodem do ekscytacji.

MIEDZY WIERSZAMI

A może właśnie pora uznać, że na czele NIK stoi – w wyniku ekstraordynaryjnego zbiegu okoliczności – polityk opozycji, i to potencjalnie bardziej efektywny niż wielu spośród tych zasiadających w ławach poselskich. Przecież to

właśnie Banaś, umiejętnie korzystając z narzędzia, którym go nieopatrznie obdarował obóz władzy, robi to, co w dojrzałej demokracji powinna robić opozycja: spokojnie i merytorycznie punktuje niedostatki i nadużycia, bez wpadania w histerię i pokrzykiwania o końcu demokracji.

Nie mamy niestety sondażu – a szkoda – w którym Marian Banaś byłby uwzględniony w rankingu zaufania, w którym niedawno raczej słabo wypadł Donald Tusk (25 proc. zaufania, 57 proc. nieufności), ale też nie lepiej wypadli politycy obozu władzy (Mateusz Morawiecki – 26 do 61, Jarosław Kaczyński 22 do 68). Względnie obronił się jedynie prezydent Andrzej Duda (31 do 55). NIK nie jest też wymieniana jako odrębna instytucja w badaniach zaufania społecznego, wykonywanych regularnie przez CBOS, więc i tu nie mamy wiedzy. Faktem jest, że otrzymawszy do ręki potężny instrument, Marian Banaś staje się dla władzy coraz większym utrapieniem.

Szczególnie interesująca jest lektura twitterowego profilu szefa NIK. Banaś założył go niedawno, z użytkownikami serwisu przywitał się 2 czerwca, choć konto istnieje od grudnia 2020 r. Jego profil nie ma oficjalnego potwierdzenia (znaczek gwiazdki, umieszczany przez Twitter przy profilach osób publicznych po potwierdzeniu ich tożsamości), nie ma jednak wątpliwości, że to faktycznie profil Mariana Banasia, ponieważ jego powitalny tweet został podany dalej przez oficjalne konto NIK.

Prezes Banaś wielu wpisów nie umieszczał, nie wchodził też w żadne dyskusje. Ale to, co się na jego profilu pojawia, wiele mówi. 8 czerwca pan prezes podrzucił twitterowiczom wywiad ze swoim synem Jakubem, będącym – jak wiadomo – celem działań służb. Jakub Banaś mówi w nim, że NIK jest realnym zagrożeniem dla obozu władzy. Banaś senior skomentował to słowami: „Ach te dzieci...”, dodając emotikon z buźką puszcającą oko. 9 czerwca, podając dalej tekst z „Rzeczpospolitej” o tym, że prokuratura nie ujawni materiałów dotyczących jego majątku, napisał: „Widocznie mają na mnie mniej niż Zero”. „Zero” wielką literą to oczywiście nie przypadek, lecz aluzja do słynnego starcia Zbigniewa Ziobry i Leszka Millera podczas przesłuchania tego ostatniego przed komisją do sprawy afery Rywina w 2003 r., kiedy to polityk lewicy zwrócił się do obecnego proku-

ratora generalnego słowami: „Pan jest zerem, panie pośle Ziobro”.

14 czerwca Banaś podał dalej tekst portalu wPolityce.pl „Zemsta »Pancernego Mariana«”, pisząc: „Niezależna kontrola państwowa jest tylko wtedy, kiedy wszyscy mają pretensje do NIK. Jestem dumny, że udało mi się do tego doprowadzić”.

12 lipca, podrzucając tekst z „Dziennika Gazety Prawnej” o kosztach odbudowy pałaców Saskiego i Brühla, przewidzianych w uzasadnieniu prezydenckiej ustawy, Banaś napisał: „Ktoś to musi sprawdzić”. Emotikon z mrugającą okiem buźką może sugerować ironię, bo przecież nie sposób skontrolować wykonania ustawy, która nawet nie została jeszcze uchwalona, ale w przyszłości – kto wie. Widać zresztą po tym m.in. wpisie, że Marian Banaś ma do siebie i swojej roli dystans.

Były też bardziej osobiste tweety. Na przykład fotka (nie wiadomo, czy wykonana osobiście przez prezesa NIK) niedźwiedzia w Dolinie Kościeliskiej.

Bardzo aktywna na Twitterze jest sama NIK, przy czym można odnieść wrażenie, że czytamy profil polityczno-gospodarczego dziennika o linii raczej opozycyjnej. „Rząd obiecywał, że nie będzie podwyżek prądu, ale przygotowana w pośpiechu ustawa, która miała to gwarantować, działała tylko w 2019 r. NIK sprawdziła, ile naprawdę zaoszczędził wówczas Polacy” (17 czerwca); „NIK zawiadomiła prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez zarząd Totalizatora Sportowego przy wyborze dostawcy 300 terminali do gier hazardowych. O tym, jak spółki Skarbu Państwa stosowały procedury zakupowe, w najnowszym raporcie Izby” (29 czerwca); „Wczoraj poseł Grzegorz Braun złożył wniosek o podjęcie kontroli dot. systemu opieki zdrowotnej na Podkarpaciu. 12 kwietnia prezes NIK Marian Banaś gościł posłów Michała Szczerbę oraz Dariusza Jońskiego. Dzień później Artura Dziambora, Roberta Winnickiego oraz Krzysztofa Tuduja” (15 kwietnia). Jak widać z ostatniego wpisu, posłowie opozycji nie mają problemu z dostępem do prezesa NIK. Posłowie koalicji zapewne tego kontaktu nie szukają.

30 czerwca NIK zareklamowała opublikowanie na YouTube pierwszego odcinka pytań do prezesa w postaci krótkiego filmu. „Po co jest NIK?” – pyta stojąca na ulicy młoda dziewczyna. „NIK stoi na straży grosza publicznego” – wyjaśnia w następnym ujęciu uśmiechnięty

i rozluźniony Marian Banaś, bez marynarki i krawata.

TRUPY W SZAFIE

Obserwacja poczynąń prezesa Najwyższej Izby Kontroli – i tych w sferze zadań Izby, i tych z dziedziny wizerunku – nie pozostawia wątpliwości, że człowiek, będący być może największą pomyłką Jarosława Kaczyńskiego (z punktu widzenia samego Kaczyńskiego oczywiście), dobrze się na urzędzie poczuł i umocnił. Gdy obóz władzy zaczął go atakować i kwestionować jego uczciwość, postanowił przyjąć całkiem inną metodę niż jego poprzednicy. Krzysztof Kwiatkowski, dziś senator KO, który kierował NIK podczas pierwszej kadencji rządów PiS, miał nie tylko postawione zarzuty prokuratorskie (zrzekł się w tej sprawie immunitetu), lecz także stanął nawet przed sądem. On jednak nie wybrał drogi konfrontacji, ale przeciwnie – jego działalność w NIK była niemal niezauważalna. Banaś ewidentnie zaś poszedł na zwarcie, czego najdobitniejszym przykładem był raport w sprawie wyborów kopertowych (opisywany przeze mnie w „Do Rzeczy”), a już zwłaszcza doniesienia do prokuratury na najważniejsze osoby obozu władzy.

I nie było to jego ostatnie słowo. Rzut oka na plan kontroli NIK na ten rok pokazuje, że może być jeszcze ciekawiej. Na czwartą kwartał przewidziano finalizację kontroli zatytułowanej „Przygotowanie systemu wdrażania Funduszy Polityki Spójności Unii Europejskiej 2021–2027”. W tym samym czasie mamy szansę poznać wyniki następujących kontroli: „Ulgi i zwolnienia podatkowe oraz inne instrumenty wsparcia podatników w okresie epidemii COVID-19”, „Skuteczność działań w zakresie usprawniania poboru podatku VAT”, „Funkcjonowanie programu »Mieszkanie Plus«” czy „Funkcjonowanie Polskiej Grupy Zbrojeniowej i spółek zależnych”. Na początek przyszłego roku zaplanowano kontrolę „Realizacja Rządowego Programu Przeciwdziałania Korupcji na lata 2018–2020”. A to jedynie drobny wycinek NIK-owskiego rozkładu jazdy, który przecież może zostać w dowolnej chwili wzbogacony o tzw. kontrole doraźne.

Każdy z tych tematów może kryć niezliczone trupy w szafie. Warto zatem zasubskrybować twitterowy profil NIK, a już szczególnie jej prezesa. Będzie się działo.



Maciej Pieczyński

Syn znanej posłanki Lewicy, zatrzymany za propagowanie totalitaryzmu, to tylko najgłośniejszy przypadek dotyczący współczesnego polskiego komunizmu

Sam wybierz, czy wolisz, ku.wo, na pięści, czy na narzędzie. Ty możesz sobie, ku.wa, machać tym swoim mieczykiem Chrobrego. Mi, ku.wa, wystarczy sierp. I cię, ku.wo, zaje.... Jeszcze raz przyjdiesz, ku.wo, na pomnik Bieruta, to ten sierp będzie na ciebie czekał. Wypie.dalaj!" – to treść „apelu”, jaki za pośrednictwem serwisu YouTube wystosował do polskich patriotów Michał Nowicki, działacz komunistyczny, niedawno zatrzymany przez ABW w związku z propagowaniem totalitaryzmu. Ten syn znanej posłanki Lewicy – Wandy Nowickiej – na co dzień mieszka we Francji. Jest magistrem historii ze specjalizacją historia ruchu robotniczego i Związku Sowieckiego.

W serwisie YouTube prowadzi kanał pod nazwą „Odrodzenie komunizmu”. Na umieszczonym tam nagraniu prawie 40-letni mężczyzna, ubrany w czerwoną koszulkę z godłem ZSRS, wymachuje sierpem. To już nie tylko „mowa nienawiści”, bo wprost grozi śmiercią swoim przeciwnikom politycznym. To jest właśnie prawdziwa lewicowa twarz co prawda marginalnego, ale szczególnie obrzydliwego i niebezpiecznego zarazem ekstremizmu. Starannie ignorowana przez światłych tolerancjonistów, którzy prawie we wszystkim, co polskie, narodowe, dostrzegają brunatną fałę, a o wiele groźniejszych czerwonych radykałów próbują nie zauważać.

Jak zaznaczył rzecznik koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn, „Michał N. propaguje na nim [kanale „Odrodzenie komunizmu” – przyp. red.] ustrój komunistyczny, nawołuje do totalitarnych praktyk i metod działania, nawołuje do budowy w Polsce państwa komunistycznego i wzywa do rewolucji”. Ponadto w swoich odezwach „wzywał do mordowania i torturowania żołnierzy Wojska Polskiego pełniących misje



Michał Nowicki, działacz komunistyczny, został niedawno zatrzymany przez ABW

FOT. MACIEK MARKOWSKI/FORUM

Stalinizm wiecznie żywy

zagraniczne, wychwalał politykę Stalina i Feliksa Dzierżyńskiego, a także wzywał do ich naśladowania”.

Knajacki język nieprzypadkowo przypomina retorykę Marty Lempart. Nowicki, jak przystało na światłego, wrażliwego na krzywdę słabszych lewicowca, poparł Strajk Kobiet.

Część jego działalności to raniące ucho prymitywne – w założeniu satyryczne – piosenki, wymierzone w tych, których Nowicki nienawidzi: w patriotów, kapitalistów, narodowców, pro-liferów itd. Tym ostatnim poświęcił przeróbkę kibicowskich przyśpiewek: „Zawsze i wszędzie kobieta w siniakach będzie, Polka siniaki ma mieć, Polko, poznaj moją pięść, Polko, spuszczę wpie.dol ci, Polko, za te protesty”. Komunista, który grozi śmiercią za poglądy, krytykuje (rzekomo, dodajmy) agresję wymierzoną przeciwko feminist-

kom z powodu ich poglądów... To nie jest jedyny przykład hipokryzji – by nie napisać: ideowej schizofrenii – Nowickiego.

POCHWALANIE STALINOWSKICH ZBRODNI

Z jednej strony neguje sowieckie zbrodnie, z drugiej strony je usprawiedliwia. Bo – jak z rozbrajającą szczerością stwierdził w rozmowie w internetowym programie „Wojna idei” – przemoc wobec komunistów jest złem, natomiast przemoc wobec burżujów jest moralnie słuszną, bo tak naprawdę to forma „kary dla złodzieja”. Rodzinę monogamiczną nazywa „więzieniem dla kobiety”.

Przyśpiewkę Nowickiego poświęconą aborcji kończy zwrotka: „Jesteś odważny, jesteś szczęśliwy, wyklęte ściervo to sk.. wysyny”. To jego kolejna obsesja – w licznych swoich nagraniach, wypowiedziach

chwali Sowietów za tłumienie podziemia antykomunistycznego, pochwała stalinowskie zbrodnie. Śpiewał m.in.: „Wyklęte polskie ścierwo. NKWD nie pieprzy się [...]. To uczniowie Dzierżyńskiego wyczyścili kraj z chwastów”. Napaść sowiecką na Polskę w 1939 r. nazwał „interwencją humanitarną”.

ABW zatrzymała Nowickiego właśnie w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa, polegającego na propagowaniu ustroju totalitarnego, a także na zachęcaniu do działań ekstremistycznych. Przykładem tego drugiego było nawoływanie do zburzenia pomnika Romana Dmowskiego, o którym Nowicki śpiewał: „Chciał być polskim Hitlerem [...]. Załóżcie linę mu na ryj, ciągnijcie mocno z całych sił, a Dmowski runie, runie, runie, i kapitalizm razem z nim”. Szczególnie paskudną obsesję ma na punkcie żołnierzy wyklętych. W jednym z nagrań nazwał ich bandą „faszystowskich sk..wysynów” i „tchórzy, którzy bali się otwartej konfrontacji z Armią Czerwoną”.

Chwaląc Strajk Kobiet, doradzał feministkom, aby były bardziej agresywne wobec swoich rzekomych prześladowców. Jako przykład godny naśladowania podawał „żołnierki północnokoreańskie” albo „piękną postać” Julii Brystiger, która „z wyklętym ścierwem się nie pieprzyła, która była postrachem tych wyklętych sk..wysynów”.

Nowicki zmieniał zdanie na temat Katynia. Całkiem niedawno propagował wersję stalinowskiej propagandy, zgodnie z którą polscy oficerowie zginęli z rąk Niemców. W nieudolnej przeróbce hiphopowego przeboju „Gangsta Paradise” Coolio rapował: „Dlaczego ślepy jest świat? Za Katyń płaci Kraj Rad, Goebbels z was śmieje się, wierzycie w jego wersję, mord jeńców w Katyniu to niemiecka zbrodnia straszna jest”. Wcześniej przyznawał, że za zagładę polskich oficerów odpowiadają Sowietci. Sprawców zbrodni jednak nie tyle nawet tłumaczył, ile wręcz chwalił. W opublikowanym jeszcze w 2008 r. artykule pt. „O Katyniu inaczej” wprost usprawiedliwiał morderstwo bezbronnych względami rewolucyjnymi. „ZSRS nie było stać na wyżywienie 20 tys. darmozjadów. Wystarczyło już tej bezczelności z czasów sanacji, gdy robotnicy i chłopi ich żywili [...], nie można było ich też zmusić do działalności produkcyjnej. Nie można było też liczyć na ich reedukację” – pisał Nowicki. Mord w Katyniu nazwał „mało istotnym faktem” w obliczu

Nowicki propagował wersję stalinowskiej propagandy, zgodnie z którą polscy oficerowie zginęli w Katyniu z rąk Niemców

„szczęścia miliardów ludzi”, do jakiego rzekomo doprowadziło zwycięstwo komunizmu. A ono potęgowało ofiar – m.in. z polskich oficerów.

KOMUNIZM PO POLSKU

Całkiem niedawno Nowicki w wywiadzie dla Sputnika zapowiadał utworzenie Polskiej Partii Robotniczej, nawiązującej do stalinowskiej PPR. Syn posłanki Lewicy, m.in. właśnie z uwagi na koneksje rodzinne, jest niewątpliwie najbardziej rozpoznawalnym współczesnym komunistą. Bardziej znany jest podzieliający wiele jego poglądów Mateusz Piskorski. Jednak oskarżony o szpiegostwo założyciel partii Zmiana, również radykalny antykapitalista, w swoich wypowiedziach skupia się raczej na polityce międzynarodowej, wpisując się w rosyjską, antypolską i antyzachodnią propagandę, mniej zaś uwagi poświęca kwestiom ściśle ustrojowym, wewnętrznym. Środowisko Piskorskiego jest bardziej prorosyjskie niż prokomunistyczne.

Z kolei wciąż jeszcze formalnie istnieje Komunistyczna Partia Polski, założona w 2002 r. i nawiązująca do swojej przedwojennej imienniczki, stanowiącej część struktury Kominternu, czyli de facto sowieckiej agentury. KPP odwołuje się do takich idei jak marksizm, leninizm, antykapitalizm, eurosceptycyzm, antyklerykalizm. W 2018 r. partia ogłosiła „manifest polskich komunistów”, w 170. rocznicę wydania Manifestu Partii Komunistycznej Marksa i Engelsa. W dokumencie KPP zawarła konkretne punkty programowe, takie jak: „zniesienie burżuazyjnej własności prywatnej”, „tworzenie zrębów republiki rad”, „odbudowanie zerwanych przez kapitalizm więzi rodzinnych”, „wypowiedzenie konkordatu i podpisanie sprawiedliwszej umowy bilateralnej między Polską a państwem Watykan”, „likwidacja IPN” czy „obciążenie dodatkową taką podatkową obrotu dobrami luksusowymi, służącymi do konsumpcji”.

Komuniści, jak nietrudno zgadnąć, poparli Strajk Kobiet. KPP regularnie celebrowała rocznice ważne dla sowieckiej historii:

urodziny Lenina, powstanie Komsomołu, manifest PKWN, Dzień Zwycięstwa 9 maja, a święto żołnierzy wyklętych nazywają „dniem hańby i historycznego fałszu”. Protestują przeciwko „wasalizacji Polski przez USA”, a 4 czerwca 1989 r. uważają za „symboliczną datę początku kontrrewolucji w Polsce”. KPP wychwalała na swojej stronie Stalina, nazywając go „wielkim wodzem i nauczycielem Partii Komunistycznej i narodu radzieckiego”. Zdaniem działaczy partii następcą Lenina prowadził „śluszną politykę kolektywizacji wsi”. W nocy biograficznej „czerwonego cara”, opublikowanej na stronie internetowej KPP, ze świecą szukać informacji o represjach, sojuszu z Hitlerem czy o Katyniu. Można za to przeczytać: „Naród polski – który Stalin ocalił przed zagładą i dla którego wydarł z rąk faszystowskich bandytów Górny i Dolny Śląsk, Pomorze, Warmię i Mazury, zachodnią Wielkopolskę i Ziemię Lubuską – ma powody, by żywić wobec siebie wybaczy i obrońcy szczególnie ciepłe uczucia. Nieśmiertelne imię Stalina – Wyzwolicieła Narodów – żyć będzie zawsze w sercach całej postępowej ludzkości”. KPP propaguje również kłamstwo katyńskie, publikując w Internecie raport Burdenki, oskarżający Niemców o sowiecką zbrodnię.

„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2” – głosi art. 256 Kodeksu karnego. Ponadto konstytucja zabrania „istnienia partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszystowskiego i komunizmu”. A jednak dopiero pod koniec 2020 r. Zbigniew Ziobro podjął inicjatywę delegacji KPP, istniejącej prawie dwie dekady na marginesie polskiego życia politycznego. Mateusz Piskorski po trzech latach aresztu tymczasowego nie został skazany, wyszedł na wolność i wciąż atakuje polski rząd i propaguje tezy rosyjskiej propagandy historycznej na temat Polski.

Nowicki, oskarżony o propagowanie totalitaryzmu i znieważenie pomnika, jest już na wolności. Zdążył nawet opowiedzieć publicznie o zatrzymaniu. Wyśmiał ABW, pożałował się na założenie kajdanek. Teraz kreuje się na męczennika prześladowanego za poglądy.



Z lewej: Piotr Semka. Przy maszynie do pisania: Mariusz Wilczyński. FOT. JAROSŁAW RYBICKI

JAN HLEBOWICZ: Zaczęliście kierować „Pismem Regionu Gdańskiego”, czyli „Regionówką”. Z Jakiem Kurskim znaliście się jak łyse konie. Wspólnie prowadziliście podziemne wydawnictwo licealne. Jak układały się wasze relacje i współpraca z Mariuszem Wilczyńskim?

PIOTR SEMKA: Mariusz to wyjątkowa postać, niestety dziś zbyt rzadko doceniana. Zналиśmy się od liceum. Chociaż poszliśmy do różnych ogólniaków – ja i Jacek do III LO, a Mariusz do IX LO, to stale utrzymywaliśmy kontakt. Nie tylko towarzyski, lecz także ten, nazwijmy go, konspiracyjny. Mariusz pomagał nam drukować „BIT”, robiliśmy też wspólne akcje ulotkowe, braliśmy udział w ulicznych demonstracjach, chodziliśmy na mecze Lechii, gdzie wywieszaliśmy antykomunistyczne transparenty. Później Mariusz, obok Dariusza Krawczyka, współtworzył FMW w Gdańsku i stał się jedną z najważniejszych postaci w pokoleniu młodych opozycjonistów. Studiował jednocześnie architekturę na Politechnice Gdańskiej. Był świetnym organizatorem, błyskotliwym rozmówcą, wprost kipiał od pomysłów. Gdyby nie poważny wypadek samochodowy z 1989 roku, Mariusz zrobiłby karierę samorządową lub w administracji publicznej. Mógłby zostać prezydentem miasta albo ministrem. Być może, gdyby podążył drogą dziennikarską, byłby dziś redaktorem naczelnym jednego z największych



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Era młodych

tygodników opinii, radia czy telewizji. Takim Tomaszem Lisem po stronie prawicy. To był ten horyzont talentu, ambicji i możliwości. Niestety, obrażenia powypadkowe były na tyle silne i długotrwałe, że kolejne długie lata zajęła mu rekonwalescencja.

Wilczyński został mianowany przez Borusewicza naczelnym „Regionówki”. Nastąpiła era młodych...

Nie bardzo się orientowaliśmy, jak wygląda architektura podziemia. Wiedzieliśmy tylko, że zaczynamy współpracę z wielkim „Borsukiem”, mityczną wówczas postacią opozycji, punktem odniesienia dla wszystkich młodych konspiratorów. I tak rzeczywiście się stało. Po wyjściu z więzienia nad wszystkim nadal czuwał Borusewicz.

Naszymi nieformalnymi nadzorcami ze strony „Borsuka” zostali Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki. To oni opiniowali kolejne numery i dawali nam wskazówki. Ze względów bezpieczeństwa bezpośrednio z „Borsukiem” miał prawo kontaktować się wyłącznie Mariusz. Jednak o tym, jak ma wyglądać pismo, jakie artykuły się w nim znajdują, jaki będą miały styl, decydowaliśmy sami. Byliśmy raczej zgodni w poglądach. Ja z całej tej trójki byłem chyba najbardziej konserwatywny. Myślę, że wynikało to z faktu studiów na KUL i coraz większego zaciekania myślą społeczną nauki Kościoła.

Jak podzieliłiście się obowiązkami?

Mariusz, cechujący się zmysłem technicznym i artystycznym, przygotowywał makiety, wypisywał je, kleił. Odpowia-

dał za produkcję oraz kolportaż. Był też doskonałym redaktorem. Ja i Jacek pisaliśmy teksty, które on następnie sprawdzał.

Jak to się odbywało, skoro mieszkaleś wówczas w Lublinie?

Dojeżdżałem z Lublina co drugi tydzień. Wsiadałem w pociąg o dwudziestej pierwszej trzydzieści i przyjeżdżałem na Wybrzeże o piątej rano. Zdarzało się jednak, że nie mogłem osobiście dostarczyć artykułów. Wówczas wchodziłem do pociągu, zamykałem się w toalecie, otwierałem taką metalową skrzynkę na papierowe ręczniki znajdującą się w środku i przyklejałem teksty od wewnętrznej strony. Następnie chłopakom przekazywałem szczegółową instrukcję, gdzie mają szukać przesyłki. Cały proces nie był łatwy, bo korzystanie z toalety, kiedy pociąg stoi, było zabronione. W związku z tym bardzo często zdarzało się tak, że do toalety podchodził jakiś nadgorliwy sokista i zaczynał walić w drzwi. „Wychodzić!” – darł się i szarpał za klamkę. Ja stoję z rozbraną bibułą i nie wiem, co mam robić. Kończyć robotę czy pakować wszystko z powrotem do torby i wychodzić. Na szczęście nie wpadłem ani razu. Zresztą cały czas staraliśmy się przestrzegać zasad konspiracyjnych i nie trzymać oddanych już do druku tekstów. W razie rewizji paliliśmy brudnopisy artykułów w umywalkach. Prowadziło to czasami do groteskowych sytuacji. Spalony papier zalewaliśmy mocnym strumieniem wody. Pewnego razu zamiast ciepłej wody odkręciłem kurek z zimną. Duża temperatura powstała przy paleniu papieru plus lodowata woda doprowadziły do pęknięcia umywalki. Problem polegał na tym, że w PRL był to produkt deficytowy. Zanim zdobyłem nową, minęło sporo czasu i przez kilka tygodni nie miałem gdzie myć rąk. Właściciel stacji przy ulicy Sobieskiego 3, gdzie wówczas mieszkalem, ostrzegł mnie, że jeśli w ciągu miesiąca nie odkupię umywalki, to wyrzuci mnie na zbity pysk. Z opresji wybawił mnie Jarek Rybicki z Federacji Młodzieży Walczącej, który dowiedział się od swojego znajomego, że nowe umywalki są do zdobycia w Starogardzie Gdańskim. Rzuciłem więc wszystkie obowiązki, w Lublinie wsiadłem w pociąg do Gdańska, a z Gdańska ruszyłem do Starogardu, by tam w końcu kupić upragnioną umywalkę. Przewiozłem ją do Gdańska,

a następnie do Lublina. Jarek Rybicki zrobił mi wtedy słynne zdjęcie ukazujące moment, gdy z triumfującym wyrazem twarzy wysiadam z autobusu. Pod pachą trzymam umywalkę. Fotografia została podpisana: „Człowiek, któremu udało się kupić umywalkę”.



Wróćmy do „Regionówki”. Pisałeś pod dwoma pseudonimami.

Do jednego numeru wchodziły zazwyczaj dwa moje teksty. Dla każdej redakcji wstydliwą rzeczą jest posiadanie niewielkiej liczby autorów w stopce. W związku z tym postanowiłem posługiwać się dwoma pseudonimami. Podpisywałem się Jacek Opolski i Marcin Bielski.

Teksty pisał też Jacek Kurski.

Niewiele osób kojarzy dziś Jacka jako człowieka podziemia solidarnościowego. Skupiają się na jego kontrowersyjnych wypowiedziach albo przekraczaniu prędkości. O tym, że był inicjatorem wielu wydarzeń i inicjatyw niezależnych, nie chcą pamiętać. Jednym z najważniejszych tego typu przedsięwzięć był jego aktywny udział w tworzeniu „Solidarności. Pisma Regionu Gdańskiego”.

Jako młodzi, opozycyjni dziennikarze mieliście swoich mentorów? Na kim się wzorowaliście?

Wtedy niekwestionowanym idolem dla mnie był Bogdan Borusewicz. Pistolet, komandos, człowiek nieugięty w swojej walce z komunizmem. Oczywiście po latach ujawniło się także drugie oblicze „Borsuka” – człowieka coraz bardziej poprawnego politycznie. Moje związki z Borusewiczem to nie tylko „Regionówka”. To także strajki majowy i sierpniowy w 1988 roku, ale o tym opowiem za chwilę. Później zetknęliśmy się dopiero w Sejmie – on w roli polityka, ja dziennikarza. Mój stosunek do dawnego idola zaczął się zmieniać w 1992 roku. Wówczas „Borsuk”, wstrzymując się od głosu w czasie słynnego głosowania nad odwołaniem rządu w nocy z 4 na 5 czerwca, wyraźnie zdystansował się wobec rządu premiera Olszewskiego. Jako przewodniczący Klubu Parlamentarnego NSZZ „Solidarność” wydał nawet zakaz wpuszczania mnie do pomieszczeń klubu w Sejmie. Potem wstąpił do Unii Wolności, przypieczetowując tym samym swój akces do współtwórców Trzeciej RP. W 2008 roku, po tym, jak opisałem

strajk majowy i sierpniowy, zadzwonił do mnie, mówiąc, że generacja młodej Solidarności została wówczas zdradzona. Podziękował mi za tekst i poprosił, bym nigdy nie przestał przypominać o tamtych wydarzeniach. Dzisiaj postawa Borusewicza jako jednego z bonzów PO jest

dla mnie zupełnie niezrozumiała i obca. Gdzie podział się ten odważny, bezkompromisowy, nieugięty „Borsuk”, którego zapamiętałem z lat 80.?

Po Borusewiczu w hierarchii „Regionówki” stali Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki...

Dla nas, młodych chłopaków, obaj byli mistrzami dziennikarstwa. Od nich nauczyliśmy się rzetelności i systematyczności. Za wzór stawialiśmy sobie także dziennikarzy, których redakcje zostały „rozpędzone” po 13 grudnia. Ci ludzie zdobyli sławę w latach 70., lawirując w PRL-owskim systemie, od którego odcięli się zdecydowanie po wprowadzeniu stanu wojennego. Byli wśród nich Wojciech Giełżyński, Maciej Howiecki, Ernest Skalski, Dariusz Fikus, Wanda Falkowska. Na gruncie gdańskim była to redakcja „Czasu”. Trzeba jednak podkreślić, że nie naśladowaliśmy niczyjego stylu, a raczej staraliśmy się odnaleźć własny sposób ekspresji i stosować język adekwatny dla naszego pokolenia. Pewien dziennikarski styl wyrobiliśmy sobie z Jackiem, redagując „BIT”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- „Jak Semkowie Polskę wybrali” – nr 16/2021
- „Dziadek Jan i dziadek Józef” – nr 17/2021
- „Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową” – nr 18/2021
- „Niepokorna Topolówka” – nr 19/2021
- „Dramatyczny czas” – nr 20/2021
- „Licealna konspira” – nr 21/2021
- „Koledzy z konspiracy” – nr 22/2021
- „Prywatna wojna z komunizmem” – nr 23/2021
- „Uciekaliśmy od bezruchu” – nr 24/2021
- „Pobudzający mętlik idei” – nr 25/2021
- „Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk” – nr 26/2021
- „Pierwsze niepokojące sygnały” – nr 27/2021
- „Spełnione marzenie młodego opozycjonisty” – nr 28/2021



Borowce, niewielka wieś położona 40 km na wschód od Częstochowy, takiego oblężenia jeszcze nie widziały. Na niespełna 200 mieszkańców zjechało tam teraz niemal drugie tyle policjantów. W kamizelkach kuloodpornych, hełmach, z bronią. Do wsi zawitał też oddział policji konnej. Polskich funkcjonariuszy wsparła niemiecka policja z Saksonii z psami tropiącymi. Nad głowami latają śmigłowce, drony, ulicami suną radiowozy. Do tego ekipy telewizyjne, stacje radiowe, prasa, gapie. Wszystko to za sprawą poszukiwań sprawcy rodzinnej tragedii.

W nocy z soboty na niedzielę (z 9 na 10 lipca) 52-letni Jacek Jaworek, prawdopodobnie pod wpływem alkoholu, wrócił do domu, gdzie zastrzelił brata, bratową i 17-letniego bratanika. Oddał do nich kilkanaście strzałów. Zostawił świadka – z miejsca zdarzenia udało się uciec młodszemu 13-letniemu synowi zastrzelonego małżeństwa. Według relacji dalszych członków rodziny chłopiec

Krwawa zemsta na rodzinie



Agnieszka Niewińska

52-latek zabił brata, bratową oraz bratanika, po czym umknął policyjnej obławie. – Zazdrość, finanse i zemsta to najczęstsze motywy rodzinnych zbrodni – mówi kryminolog

najpierw się schował, po czym uciekł przez okno i dobiegł do domu krewnych. Policja, zawiadomiona wcześniej o domowej awanturze z telefonu jednej

z ofiar, po przybyciu na miejsce odkryła ciała zamordowanych. Po Jaworku nie było śladu. Miał uciekać w stronę pobliskiego lasu. W domu, w którym doszło



W poszukiwaniu zabójcy ze wsi Borowce zaangażowano ok. 200 policjantów, w tym funkcjonariuszy konnej policji i policjantów z Niemiec z psami tropiącymi. FOT. KASIA ZAREMBA/SE/EAST NEWS

Zdjęcie podejrzanego trafiło do wszystkich mediów, mieszkańcom trzech województw – śląskiego, łódzkiego i świętokrzyskiego – rozesłano w jego sprawie alert RCB. – Trudno powiedzieć tak naprawdę, dlaczego ten mężczyzna do tej pory [...] nie został jeszcze ujęty. Natomiast specyfika jest taka, że musimy czekać na dalszy bieg wypadków – tłumaczył w rozmowie z TVP prokurator Budzik.

Kryminolog prof. Brunona Hołysta dziwi, że wiele dni poszukiwań przy dużym zaangażowaniu sił i środków nie przyniosło żadnego przełomu. Jaworek to nie jest człowiek, który miałby doświadczenie w ukrywaniu się przed policją. Co prawda, ma na koncie dwumiesięczną odsiadkę, ale z powodu niepłacenia alimentów. – Bardzo dużo czasu stracono na przeszukiwanie okolicznych lasów. Skąd w ogóle pomyśleć, że ten człowiek tyle dni ukrywa się w lesie? Dlaczego miałby tam siedzieć i co miałby robić niemal pod domem, w którym doszło do zbrodni? Już dawno należało rozszerzyć poszukiwania i rozesłać za nim list gończy – uważa prof. Hołyst. List wystawiono dopiero we wtorek w ubiegłym tygodniu. – Sądzę, że ten człowiek jest już za granicą, choć brałbym pod uwagę także to, że zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, i sam sobie wymierzył sprawiedliwość – mówi kryminolog.

Najbardziej prawdopodobnym motywem zbrodni jest spór o majątek. Jacek Jaworek pracował w Niemczech. Kiedy przyjechał do Polski, zastała go pandemia. Miał problemy z powrotem, więc zamieszkał z rodziną brata w domu, który odziedziczyli po rodzicach. Według słów członków dalszej rodziny majątek nie był między rodzeństwem podzielony, więc każdy z nich miał prawo do jego części. Wspólne mieszkanie miało być zarzewiem konfliktów.

– Miał tam wyłączoną wodę, żeby się nie mógł wykąpać, wyłączono mu gaz, żeby nie mógł sobie nic ugotować. Pamiętam, że była taka sytuacja, że żeby mógł się wykąpać, to wodę w czajniku gotował i wlewał do wanny 26 razy – opowiedział dziennikarzom Tomasz Górnicz, kuzyn Jaworka.

– Wygląda na to, że konflikt w tym domu toczył się od dawna. Tuż przed zbrodnią musiało dojść do czegoś, co stało się iskrą, która popchnęła tego mężczyznę do zbrodni. Motywacja tego zabójstwa musiała urastać od dłuższego czasu, bo przecież zastosował rozsze-

zoną zemstę – zabił nie tylko brata, z którym był w sporze o majątek, lecz także bratową i ich syna. To była zbrodnia nasycona zemstą – mówi prof. Hołyst. Nie zgadza się z opiniami, że Jaworek popełnił zabójstwo w afekcie. – Przygotował broń, więc musiał to zaplanować.

EMOCJE GÓRUJĄ NAD ROZUMEM

Zastrzelenie trojga członków rodziny w Borowcach to nie pierwsza w ostatnich latach tak głośna tragedia rodzinna. W listopadzie 2020 r. Polską wstrząsnął horror, do którego doszło w Głowaczowej na Podkarpaciu. 15-latek brutalnie zamordował swoją 17-letnią siostrę. Najpierw uderzał ją kijem, potem zadał kilkanaście ciosów nożem, w końcu zrzucił ją ze schodów do piwnicy i zadzwonił na policję. Z jego pamiętników śledczy dowiedzieli się, że w planach miał zabicie jeszcze 30 osób, w tym rodziców. Nastolatek leczył się psychiatrycznie.

W lipcu 2019 r. poszukiwano pięcioletniego Dawida Ż. Chłopca od dziadków odebrał jego ojciec Paweł Ż. Z żoną był w separacji. To do niej feralnego dnia miał odwieźć synka. Nigdy tam nie dotarł. Żonie napisał SMS, że już nigdy nie zobaczy chłopca. Krótko potem Paweł Ż. rzucił się pod pociąg. Poszukiwania chłopca trwały 10 dni. Policjanci w końcu trafili na ukryte zwłoki pięcioletka. Chłopiec miał liczne rany klute.

Z kolei w styczniu tego roku sąd w Kaliszu skazał 24-letniego Huberta G. za zabójstwo swojej 82-letniej babci. Kobieta zginęła od kilkunastu ciosów zadanych pałką w twarz i głowę. Wnuczek został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, ale wyrok nie jest prawomocny.

– To pokazuje, że rodzina nie jest już tym spoiwem, jakim była kiedyś – komentuje prof. Hołyst. – Analizując ostatnie głośne przypadki zabójstw, widzę, że najczęściej ich motywem jest zazdrość, kwestie finansowe lub zemsta. W sytuacjach, w których dochodzi do eskalacji emocji, np. między rodzeństwem czy między mężem i żoną, nie ma logicznego myślenia. Emocje górują nad rozumem. Czasem wystarczy tylko jedno słowo za dużo.

Do czasu oddania tego wydania „Do Rzeczy” do druku Jacek Jaworek nie został odnaleziony. Policja przestrzega, że poszukiwany może być uzbrojony i niebezpieczny. Apeluje, by zachować ostrożność i nie podejmować próby jego samodzielnego zatrzymania, tylko niezwłocznie powiadomić policję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

do tragedii, nie znaleziono broni, którą się posługiwał.

Mieszkańcy wsi są w szoku. Pod domem zamordowanej rodziny zapalają znicze. O Jaworku mówią, że po alkoholu bywał agresywny. Pytają, skąd wziął broń, na którą nie miał pozwolenia. Przyominają, że kilka dni przed zbrodnią zabite małżeństwo informowało policję o tym, że Jaworek im grozi i ma broń.

Krzysztof Budzik z Prokuratury Okręgowej w Częstochowie potwierdza, że zawiadomienie rzeczywiście wpłynęło, ale dotyczyło kierowania gróźb karalnych. O broni nie było mowy.

SAMOBÓJSTWO CZY UCIECZKA ZA GRANICĄ?

Mimo zaangażowania znacznych sił policji i upływających kolejnych dni poszukiwań Jaworek okazał się nieuchwytny. Policjanci zaczęli od przeczesywania dziesiątków hektarów okolicznych lasów, które Jaworek dobrze zna, bo w Borowcach się wychował.

ŁUKASZ ZBORALSKI: W Muzeum Czarotoryskich w Puławach oglądać można od niedawna obraz, którego Polacy nie widzieli od czasu drugiej wojny światowej. Odtworzył pan numer jeden na liście narodowych skarbów kultury do odzyskania – zaginiony „Portret młodzieńca” Rafaela Santiogo. I zrobił to pan najwierniej, jak można było. Zanim zapytam, jak pan to zrobił, muszę zapytać: dlaczego?

ŁUKASZ NAWROCKI: Złożyły się na to moje predyspozycje, 20-letnie doświadczenie zawodowe dotyczące rozszyfrowywania tajemnic warsztatowych dawnych mistrzów, w tym ponad 10 lat poświęciłem badaniom twórczości Rafaela, a do tego naukowa i artystyczna pasja, bo jest to zajęcie interdyscyplinarne. Pomogły moje studia na ASP we Wrocławiu, a przede wszystkim obrona dysertacji doktorskiej dotyczącej rekonstrukcji warsztatu malarzkiego Rafaela Santiogo, która została wyróżniona z nominacją do Nagrody Prezesa Rady Ministrów za nowatorstwo i transdyscyplinarny charakter pracy – naukowy i artystyczny. To umożliwiło mi wykonanie wiernej rekonstrukcji zagubionego arcydzieła renesansu autorstwa Rafaela Santiogo w sposób taki, w jaki nikt tego wcześniej nie dokonał.

Zabrał się pan do wykonania rekonstrukcji obrazu Santiogo, choć nie mamy dziś nawet dobrej kolorowej fotografii tego dzieła. To w jaki sposób odtwarzał pan barwy, światłocienie?

Bardzo dobre pytanie... Przystępując do pracy, musiałem pozyskać dokumentację fotograficzną. Dzięki uprzejmości Muzeum Narodowego w Krakowie otrzymałem głównie czarno-białe zdjęcia, które liczą sobie blisko 100 lat. Są nie najwyższej jakości – czyli z nieczytelnymi elementami obrazu w partiach światła i cieni. Z pomocą przyszły mi inne materiały, też z krakowskiego muzeum – XVI- i XVII-wieczne ryciny, które w jakimś zakresie pomogły zrekonstruować formę, rysunek, detale. Używając fotografii, rycin i jednej widokówki podkolorowanej sprzed 100 lat, wykonywałem studium rysunkowe we właściwej skali zwane modello. Przy czym wykonywałem je też w technice oryginalnej Rafaela – czyli sangwiną na lekko podbarwionym papierze. Taki rysunek posłużył mi na przeniesienie go na podobrazie drewniane.

W tej pracy analizowałem inne obrazy Rafaela, oryginały. Znałem też dokumentację fotograficzną innych portretów i autoportretów Santiogo. Sprawdzałem elementy, które mają wspólną formę, cechę formalną i kolorystyczną. To służyło mi za

Doktor Łukasz Nawrocki ze swoim dziełem – zrekonstruowanym obrazem Rafaela Santiogo, który oglądać można w Muzeum Czarotoryskich w Puławach

FOT. ARIAN WITTEK



Z dr. Łukaszem Nawrockim, malarzem, badaczem dawnych technik malarskich, autorem rekonstrukcji obrazów dawnych mistrzów, który zrekonstruował „Portret młodzieńca” – numer jeden na liście utraconych przez Polskę dzieł sztuki rozmawia Łukasz Zboralski



podpowiedź, sugestię, rozumienie pociągnięć pędzla, operowania światłocieniem. Chciałem, aby moja rekonstrukcja była maksymalnie wierna wobec oryginału pod względem formy, rysunku, barwy oraz psychologicznego wyrazu modelu. Dysponowałem też przedwojennymi opisami dzieła wykonanymi przez historyków sztuki.

Rozumiem, że proces rekonstrukcji obrazu sięgał głęboko, czyli od deski, na której pan rekonstruował obraz. Czy podłoże zostało przygotowane zgodnie z warsztatem Santiago? I skąd mamy wiedzę o tym, jak przygotowywał deskę?

Tu pomocny okazał się mój doktorat – blisko 300 stron wiedzy teoretyczno-praktycznej. W ramach mojej pracy doktorskiej na UMK w Toruniu zrekonstruowałem wszystkie etapy powstawania dzieł Rafaela Santiago z okresu

i naukowych, więc dla mnie to nie nowość. Farby przygotowuję samodzielnie. Pozy-skuję minerały i pigmenty do przygotowania np. farb temperowych, których Santi używał w pewnym okresie. Pigmenty były sprowadzane z całego świata. Na przykład jako błękit w rekonstrukcji „Portretu młodzieńca” zastosowałem ultramarynę naturalną, która jest uzyskiwana z półszlachetnego kamienia z Afganistanu – pisał o tym w XIII w. Marco Polo. Minerale nazywa się lapis-lazuli. Cena tego pigmentu to cena złota. W dobie renesansu ultramarynę naturalną wykonywano najbardziej prestiżowe dzieła. W dawnych umowach zaznaczano nawet, że artysta będzie jej używał, więc należy mu się specjalne honorarium. Ta ultramaryna zapewnia trwałość i piękną wibrację koloru, niemożliwą do osiągnięcia przez współ-

tej techniki – było niezwykle trudne. Radziłem sobie np. tak, że z opisów dzieła wiedziałem, iż młodzieniec miał włosy w „odcieniu kasztanowym”, a ja już na podstawie rzetelnych studiów innych jego dzieł wiedziałem, jak ten brąz uzyskać, czyli jakie konkretnie pigmenty stosował Rafael do ich wykonania. Ostatecznie potrzeba też było intuicji, malarskiego nosa, pewnego przewidywania efektów końcowych wynikających przynajmniej z nałożenia kilkunastu warstw malarskich. Jedna kropeczka w oku postawiona nie w tym miejscu o jedną piątą milimetra decydowała o wyrazie oka! A trzeba było oddać duchowość oryginału, psychologię modelu.

To nie jest pana pierwsza rekonstrukcja. W pewien sposób oddał pan wiernym z Głogowa obraz, który po drugiej wojnie światowej zabrali Sowieci. Chodzi o „Madonnę Głogowską” Lucasa Cranacha. Na sporządzenie tej rekonstrukcji składali się ludzie z tej parafii. Czy zrekonstruowanie dzieła tego malarza była łatwiejsze – myślę tu o tym, że oryginał istnieje i jest w Moskwie?

To była piękna społeczna akcja, która została zainicjowana półtora roku temu. Natomiast problem z dostępnością materiałów fotograficznych był bardzo podobny. Muzeum Puszkina w Moskwie ma oryginał obrazu, ale ja go nie widziałem. Nie jest wystawiany, tkwi w magazynie. Próbowano przez lokalne polskie muzeum przy okazji mojego przedsięwzięcia skontaktować się z Rosjanami, żeby umożliwili wykonanie jego dokładnej fotografii czy badań fizykochemicznych, ale nic z tego nie wyszło. Nie pamiętam, ale albo odpowiedzieli, że się nie da, albo odpowiedź w ogóle wówczas nie nadeszła... Bazowałem na fotografiach czarno-białych i była tylko jedna kolorowa fotografia, ale słaba. Przydało się badanie innych oryginałów Cranacha. Oglądałem m.in. analizy przekrojów warstw farby pod mikroskopem w obrazach tego malarza z tego samego czasu, w którym powstawała „Madonna Głogowska”.

Czy jest jakiś obraz, który szczególnie chciałby pan zrekonstruować?

Mam plany, ale nie chcę jeszcze o nich mówić tak szczegółowo. Zdradzę jedynie, że myślę o jednym obrazie Rafaela i jednym Caravaggia. Nad kolejnym obrazem Rafaela zaczynam już pracować. Będzie to przywrócenie dzieła, które zostało zniszczone. Przywrócę jedną przepiękną madonnę...

Oddałem Polakom „Portret młodzieńca”

florenckiego czy umbryjsko-florenckiego. Począwszy od podobrazia drewnianego, jest tam kilkadziesiąt, a nawet kilkaset elementów techniki i technologii malarskiej. Recepty miałem więc opracowane – na podobrazie, zaprawę, transfer rysunku, podrysowanie, założenie pierwszej warstwy barwnej zwanej imprimaturą, wykonanie podmalówki. Pigmenty i cała paleta malarska odpowiadają dokładnie 1:1 temu, co miał do dyspozycji Santi na początku XVI w. Wszystko to opracowałem naukowo. Nikt tego do tej pory nie zrobił, bo wcześniej badania fizykochemiczne nie były aż tak rozwinięte. Taką możliwość przyniosły dopiero lata 80., 90. i właściwie komplementarne badania fizykochemiczne, dostępne w szerokim zakresie dopiero po roku 2000. Dzięki temu odtworzyłem jako pierwszy wszystkie receptury Rafaela Santiago.

Rozumiem, że i farby olejne, i pigmenty koloru przygotowywał pan tak samo jak na przełomie XV i XVI w.?

Stosuję te pigmenty od 20 lat, mam na koncie ok. 30 rekonstrukcji malarskich

czesną ultramarynę uzyskiwaną już dużo taniej i zupełnie innymi metodami.

Czy trudno jest zdobyć finanse na takie projekty jak przywrócenie Polakom „Portretu młodzieńca”? Kto w tym pomagał?

Jeśli chodzi o doktorat i realizację „Portretu młodzieńca”, to wykonałem wszystko prawie wyłącznie z własnych funduszy.

Jak długo trwała pańska praca i co było największym problemem?

Rekonstrukcja wraz z przygotowaniem merytorycznym i wykonaniem stylowej ramy do obrazu trwała blisko rok. Największą trudność sprawiało to, o czym już wspominałem, czyli słabość dokumentacji fotograficznej. I z tą największą trudnością wiąże się fakt, że nie powinno się mojego dzieła nazywać „kopią”. Techniki i technologii miałem opanowaną naukowo, ale stworzenie koloru, pozyskanie niuansów światłocieniowych oraz miękkiego efektu sfumato, czyli przydymienia konturów – które u Rafaela jest widoczne, choć nie w takim stopniu jak u Leonarda da Vinci, który był twórcą



Piotr Gociek

„Czarna Wdowa” przypomina światu o złych Rosjanach, pięknych Węgrzech oraz młodej utalentowanej aktorce

Liczę na to, że może za pół wieku dyskusje na temat filmów z kinowego uniwersum Marvela będą budziły równie wiele emocji, ile dziś spory o produkcje, w których kiedyś Johnny Weissmuller grał Tarzana – to znaczy nie będą ich budzić wcale, bo ten rozdział filmowej rozrywki zostanie zamknięty na dobre. Liczę, ale pewnie się przeliczę: Disney, czyli najpotężniejszy rozrywkowy koncern świata, ma w rękach potwora, którego nie waha się używać. „Czarna Wdowa” to już 24. film z Marvel Cinematic Universe. Wszystko wskazuje na to, że przed nami kolejne 24.

Spece od marketingu sprzedają nam głodne kawałki o tym, jakie to fazy kończą się i zaczynają w świecie zekranizowanych przygód komiksowych superherosów, ja takie fazy wskażę wedle własnych wrażeń. Była faza nieśmiałyłych początków. Przyniosła różne skutki: filmy zabawne jak „Iron Man” i słabe jak „Hulk”. Była faza lekkiego zdumienia (Oni tak na poważnie? I na większą skalę?), kiedy rosły budżety i wpływy, a do kin trafiały filmy tak udane jak przeżabawni „Strażnicy Galaktyki” oraz tak puste, nudne widowiska jak „Avengers: Czas Ultrona”. Była wreszcie faza triumfów, bo nagle okazało się, że kolejne filmy o Avengersach biją historyczne rekordy zarobków i popularności, a „Czarna Pantera” dostaje nominację oscarową w kategorii „najlepszy film”. Fazę najnowszą ochrzciłem „a co mnie, do cholery, to wszystko obchodzi” i już śpieszę z obroną swego punktu widzenia.

Z końcem fazy III i początkiem IV (odnosząc się teraz do oficjalnej numeracji Marvela, a nie moich własnych klasyfikacji) wkroczyliśmy do krainy, w której resetowane są linie czasu, otwierają się wrota do innych wszechświatów z alternatywnymi przygodami dobrze znanych bohaterów. Oznacza to, że wszystko będzie możliwe. A tam, gdzie wszystko jest możliwe, nic nie jest ciekawe. Nie jest ciekawe, bo nic nie ma znaczenia, utrupiony



heros wróci w innej wersji, kosmiczna katastrofa zostanie wymazana jakimś tanim chwytem i będzie można znów tasować zgrane karty. Czyste kuglarstwo.

EKSPERT W ZABIJANIU

Na tym tle najnowsza kinowa propozycja z uniwersum Marvela wyróżnia się powściągliwością i pewną staroświeckością. Jest to bowiem bardziej thriller szpiegowski niż typowe widowisko o superherosach. Inna sprawa, że kiedy w XXI w. mówimy „staroświecki thriller szpiegowski”, to nie możemy już mieć na myśli Hitchcocka, tylko głośne, efektowne i coraz bardziej eskapistyczne kinowe tasieniec spod znaku „Mission: Impossible” czy przygód Jasona Bourne’a. Nie mogło być inaczej, skoro główna bohaterka, Natasha Romanoff pseudo Czarna Wdowa, nie dysponuje żadnymi supermocami, nie ukąsiły jej radioaktywny pajak ani kosmiczna krowa, nie wypadła z mitologii nordyckiej ani z innej galaktyki. Natasha to po prostu świetnie wyszkolony ekspert w zabijaniu i walce wręcz. Wyszkolona w Rosji, potem – kiedy odkryła w sobie sumienie – cenny pracownik agencji antyterrorystycznej S.H.I.E.L.D., a na końcu członek drużyny superbohaterów Avengers.

Czarna Wdowa poświęciła życie w finałowej rozgrywce z Thanosem („Avengers:

Koniec gry”), ale na ekranie widzimy ją ponownie, bo scenarzyści cofnęli się o kilka lat, do czasów tuż po akcji filmu „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów”. Wtedy Natasha Romanoff była nie tylko żywa i dziarska, lecz także uciekała przed amerykańskim rządem. Oficjele z Waszyngtonu zażądali bowiem od superbohaterów, by ci zrezygnowali z działania samopas i wszystkie misje prowadzili pod nadzorem rządu. Kto się nie podporządkował, ten stawał się ściganym.

Ważniejsze jest jednak to, że film w reżyserii Cate Shortland to także origin story. Tu zaczynają się rzeczy nieco ciekawsze. Sceny otwierające opowieść przenoszą nas do roku 1995. W sielankowej scenerii prowincji stanu Ohio żyje tam sobie szczęśliwie amerykańska rodzina, która jednakowoż wcale taką nie jest, tak jak Amerykanami nie byli główni bohaterowie serialu „The Americans”. W rzeczywistości to rosyjscy szpiedzy. Kiedy ziemia zacznie się im palić pod stopami, uciekną na Kubę. Od czasów Związku Sowieckiego najwyraźniej niewiele się zmieniło. To pierwsza sprawa, którą warto odnotować: mamy w ostatnich latach wielki powrót Rosjan jako czarnych charakterów w hollywoodzkiej rozrywce. Well, sami są sobie winni.

Skoro znajdujemy się w uniwersum zaludnionym przez superbohaterów, to

Florence Pugh (z prawej)
na tle Scarlett Johansson
pokazuje, kto tu ma charyzmę

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

robota

fenomen ten musi mieć zasięg międzynarodowy. Jak może państwo pamiętać, swego superbohatera ma fikcyjne afrykańskie królestwo Wakanda (film „Czarna Pantera”), nic więc dziwnego, że i Moskwa odpowiednio wcześniej zainwestowała we własny program tworzenia nadludzi. Przybrany ojciec Czarnej Wdowy to Red Guardian, czyli rosyjski odpowiednik Kapitana Ameryki. Sympatyczny i rubaszny, ale bez wahania odda wychowywane przez siebie dziewczynki do okrutnego specjalistycznego centrum szkolenia perfekcyjnych zabójców. Ważne uzupełnienie: Czarna Wdowa to nie tylko ksywa dzielnej członkini Avengers, lecz także określenie wszystkich szkolenych przez Rosjan specagentek z licencją na zabijanie. Na czele tego programu stoi paskudny generał Dreykov.

Uciekająca przed Amerykanami Natasha odkryje, że jej zaginiona przybrana siostra Yelena Belova właśnie się buntuje przeciw Dreykovowi, bo też przejrzała na oczy. Co będzie dalej, mniej więcej wiadomo, nie będę szczegółowo opisywał. Natomiast drugą rzeczą wartą odnotowania jest podkreślenie przez scenarzystów różnic między wolnym światem a autorytarną współczesną Rosją, która okazuje się nawet bardziej bezwzględna niż kiedyś. W czasach, gdy o swoją wolność walczyła Natasha, musiała przełamać warunki-

wanie psychologiczne. Kolejna generacja rosyjskich kobiet zabójczyń jest sterowana za pomocą substancji chemicznych odbierających im wolną wolę. W tym przypadku bunt i przebudzenie sumienia są niemożliwe. Zabawa groźną substancją bezpieczna nie jest: tylko jedno dziecko na 20 przeżywa szkolenie. Uwaga! Na szczęście istnieje antidotum.

Zatem rosyjski generał Dreykov zmusza podwładne do wejścia w buty superkillerów, podczas gdy taki na przykład przyszły Kapitan Ameryka zgłosił się na ochotnika do eksperymentalnego programu. W odróżnieniu od ojców sztucznego ulepszenia ludzi, czyli nazistów z niemieckiej organizacji Hydra (początki eksperymentów sięgają bowiem w świecie Marvela czasów drugiej wojny światowej). Doceńmy tę wizję świata: ojczyzna wolności kontra Niemcy i Rosjanie. Niestety, psuje ten obraz trochę inny wątek: w poprzednich filmach sugerowano, że niejeden wpływowy Amerykanin potajemnie wstąpił do Hydry. Cóż, jak śpiewał Muniek Staszczuk, „na całym świecie są faszyści, nie wszystkich możesz zabić”.

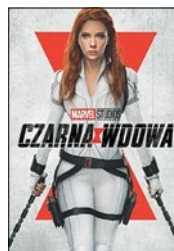
Tym, co ratuje film „Czarna Wdowa” przed popadnięciem w całkowitą, acz bardzo kosztowną nijakość, są humor i ak-

torzy. Najpierw humor nieoczywisty, co raczej dla widzów z naszej części Europy: bawiłem się nieźle, śledząc, jak na wskroś amerykański aktor David Harbour (policjant z serialu „Stranger Things”) podrabia rosyjski akcent i usiłuje mówić po rosyjsku. Zresztą za Rosjanki uchodzą tu też Rachel Weisz oraz młoda utalentowana Florence Pugh. Żeby było śmieszniej, wychowana w Moskwie i mówiąca perfekcyjnie po rosyjsku Olga Kurylenko ma akurat kwestii do wypowiedzenia najmniej, bo większość czasu ekranowego spędza w helmie. W zle-go generała Dreykova wciela się brytyjski gwiazdor o urodzie proletariackiej, znaczący Ray Winstone.

Zabawne są sceny w rosyjskim więzieniu, gdzie osadzono nieszczęsnego Reda Guardiana, wesoło jest, kiedy Czarna Wdowa Yelena parodiuje Czarłą Wdowę Natashę, i w ogóle tam, gdzie scenarzyści uderzają w tonację mniej serio. Najnudniejsze kawałki to te, w których dochodzi do mordobicia. Pościgi po dachach wyglądają jak wyjęte z filmów o Bondzie, przy czym zauważmy – kolejna rzecz warta odnotowania – jak wiele dachów tudzież ulic i uliczek to lokacje w Budapeszcie. Władze Węgier od dekad inwestują w promocję kraju poprzez Hollywood,

oferując zagranicznym ekipom odpowiednie zachęty podatkowe. W efekcie mimo że w świecie wielkiej polityki Węgry robią aktualnie za chłopca do bicia (że niby wrogowie demokracji, LGBT i zjednoczonej Europy), to na ekranach kin całego świata przy rozmaitych okazjach miliony widzów oglądają kolorowe sceny z przepięknego Budapesztu. Takiej reklamy Polska nie doczekała się jeszcze ani razu od 1989 r. – dla Węgier to właściwie norma.

Mądry wie, jak skorzystać z głupiego filmu. Dotyczy to także aktorów, a w tym przypadku przede wszystkim młodej Florence Pugh jako Yeleny. Bo co z tego, że Scarlett Johansson ma dwie nominacje do Oscara, grała kiedyś u Woody’ego Allena i Pedra Almodóvara, kiedy to właśnie 11 lat młodsza Pugh (też ma nominację – za „Małe kobietki”) pokazuje na jej tle, kto tu ma charyzmę. Karierę na dobre zaczęła ledwie pięć lat temu, ale śmiem twierdzić, że możliwości i talent ma większe nie tylko od Scarlett Johansson. Byłe tylko nie została nową Czarłą Wdową na zbyt długo.





FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK



★★★★★
REŻ. PATRICK HUGHES
„BODYGUARD I ŻONA ZAWODOWCA”
(„HITMAN'S WIFE'S BODYGUARD”)
USA 2021

wyst. Ryan Reynolds,
 Samuel L. Jackson,
 Salma Hayek

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Luz, blues i pociski

Każde wakacje muszą mieć swój głupiutki, uroczy hit: dwa lata temu był to „Zabójczy rejs” z Adamem Sanderem i Jennifer Aniston, rok temu miejsce pozostało puste, bo kina ledwie dychały. Ale wiecie, co mam na myśli: filmy w stylu „Agentki” (2015) z Melissą McCarthy albo „Millerowie” (2013) z Jasonem Sudeikisem. Lekkie, do bólu niemądre, zabawne, w dobrej obsadzie. W tym roku jest to komedia „Bodyguard i żona zawodowca”, ciąg dalszy przygód bohaterów, których poznaliśmy cztery lata temu w filmie „Bodyguard zawodowiec”.

Ryan Reynolds jako ochroniarz niebezpiecznego kintera, Samuel L.

Jackson jako kiler i Salma Hayek w roli jego szalonej, skłonnej do przemocy (i wytatuowanej) żony – w dwójce dostajemy powtórkę z rozrywki plus gościnnie udział takich gwiazd jak Morgan Freeman czy Antonio Banderas. Fabuła jest pretekstowa: grecki multimilioner w odwecie za sankcje gospodarcze na Grecję planuje straszliwą zemstę na europejskich rynkach finansowych. Jego tropem podąża mocno przerysowany detektyw z Bostonu pracujący dla Interpolu (Frank Grillo), który oczywiście nie da sobie rady bez pomocy wspomnianej już trójki.

Film jest zabawniejszy od „Bodyguarda zawodowca”, bo bardziej absurdalny i odjechany,

KINO

a i aktorzy złapali większy dystans do powtarzanych ról. Ryan Reynolds jako figura tragiczno-komiczna sprawdza się doskonale, ale widowisko kradną sceny jego dialogów z Salmą Hayek. Ta ostatnia po raz pierwszy od ćwierćwiecza („Desperado”) ma okazję dzielić ekran z Banderasem, co także wypada zabawnie. Przemoc jest komiksowa, wystrzelone kule – niezliczone, a niektóre pomysły wyjątkowo zabawne w swej idiotyczności (poczekajcie na „drugą linię ochrony” bogacza Arystotelesa albo parodię origin story Reynoldsa, czyli dzieje pewnej porcji lodów oraz wesołego miasteczka). Wiem, wiem, nie wszystkim ten rodzaj humoru będzie odpowiadał, ale przecież uprzedzałem: to czysta rozrywka, pastisz, w którym niemal wszystko jest dozwolone. Doceńmy, że w odróżnieniu od innych komedii ostatnich lat nie ma tu żadnych gagów opartych na naturalnych funkcjach ciała. Jest za to okazja do przewentylowania płuc śmiechem – i to w kolejnym pandemicznym lecie w zupełności mi wystarczyło. ©©



NOWE SERIALE: „TED LASSO”

Powraca jeden z najlepszych seriali komediowych ostatnich lat. Jason Sudeikis ponownie zasiądzie na ławce trenerskiej zespołu AFC Richmond (fikcyjna drużyna Premier League), by tym razem walczyć o powrót do elity (spadli do Championship w ostatnim odcinku pierwszego sezonu). Ted Lasso jest osobnikiem

bardziej uprzejmym niż Brytyjczyk, a za swe główne zadanie uważa nie zdobywanie tytułów, lecz pomaganie zawodnikom w zostaniu lepszymi ludźmi. W drugim sezonie tę strategię oceniać będzie świeżo zatrudniona w klubie pani psycholog od sportu. ©© **Piotr Gociek**
 • sezon 2 „Ted Lasso”, USA 2021



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Sky Rojo”
- sezon 3 „Cudotwórcy: Szlak oregoński” („Miracle Workers: Oregon Trail”), USA 2021
- reż. David Fairhead „Neil Armstrong” („Armstrong”), USA 2019, dokumentalny

Chciał być dobry

KINO

Francis, uchodźca z Gwinei Bissau, zdradza talenty kucharskie, jednak zamiast szukać pracy w restauracjach, woli tyrać za marne grosze na budowie. Potem upadnie jeszcze niżej. Zaprzyjaźni się z psychopatą i zrobi efektowną, choć krótkotrwałą karierę jako alfonś, bandyta tudzież handlarz narkotyków. Wszyscy mają go za poczwierca, choć nasz imigrant od początku ma problemy z kontrolowaniem agresji. O dziwo, wzbudza również sympatię widzów. Większą niż (anty) bohater porównywanej do „Ulissesa” powieści „Berlin Alexanderplatz” z 1929 r., sfilmowanej już dwa lata po premierze. W serialu wysmażonym przez Rainera Wernera Fassbindera lum-

penproletariusz i moczymorda Franz Biberkopf irytował naiwnością oraz przysięgami, że będzie żył uczciwie, których dotrzymać nie potrafił. 15-godzinny (!) serial był nieznośnie manieryczny i nużący. Qurbani przeniósł akcję z międzywojnia w czasy



★★★★★
REŻ. BURHAN QURBANI
„BERLIN ALEXANDERPLATZ”
NIEMCY/FRANCJA /HOLANDIA/ KANADA 2020

wyst. Welket Bungué, Albrecht Schuch, Jella Haase

współczesne, zachował imiona kluczowych postaci, lecz trochę oderwał się od realiów. Trudno uwierzyć, że w Berlinie drugiej dekady XXI w. można spotkać tabun prostytutek o złotych sercach, zaś kolor skóry to sprawa całkowicie drugorzędna. Wzruszająca jest też wiara, że dzisiejsza niemiecka dekadencja w niczym nie ustępuje tej z czasów „Kabaretu”, a może nawet ją przewyższa. ©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

FILM SIĘ URWAŁ



★★★★★
REŻ. JULIAN ANTONISZ
„KILKA PRAKTYCZNYCH SPOSOBÓW NA PRZEDŁOŻENIE SOBIE ŻYCIA”
POLSKA 1974

wyst. Kazimierz Opaliński, Grzegorz Kwinta

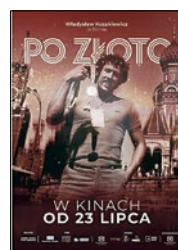
Najważniejszy jest początek. W Hollywood nawet totalne gnioty startują od wybuchu wulkanu lub ataku morderczych pomidorów. Artyści anarchiści również nie zwlekają ani sekundy, by złapać widza za gardło. Narrator ekscentrycznego filmu Juliana Antonisza konstruuje analogię między butem a człowiekiem. But ma język i dziurki, człowieka też ma język i dziurki (w nosie). Z kolei krawcy twierdzą, że życie to guzik, zaś aktorzy zapewniają, że życie to teatr. A przecież każdy dobrze wie, z własnego doświadczenia, że życie to film! Dowodów potwierdzających ową teorię nie zdradzę, ale zapewniam, że Antonisz – w odróżnieniu od Amerykanów – potrafi zaskakiwać do samego końca 13-minutowego seansu. Chwała Ninatece za mały festiwal zmarłego w 1987 r. reżysera. Składają się nań m.in.: „Ostry film zaangażowany”, „Dziadowski blues non camera, czyli nogami do przodu” i „Światło w tunelu”.

JA IM POKAŻĘ!

KINO

Lipiec 1980 r. był miesiącem cudów. Polskę załapała fala strajków, a Władysław Kozakiewicz na oczach towarzysza Breżniewa sprzątnął Sowieta sprzed nosa złoty medal olimpijski, wykonując przy tym gest niegodny dżentelmena. Chociaż sport jest ercaczem polityki, to tyczkarz uparcie zaprzecza, jakoby na stadionie w Łuźnikach spostonował Wielkiego Brata. On chciał tylko uciszyć gwizdzących ruskich kibiców. Rodacy jednak wiedzieli swoje i umieścili mistrza w panteonie narodowych bohaterów. Pięć lat później Kozakiewicz, który już wcześniej miał na pierku z działaczami, dał nogę do zachodnich Niemiec i w koszulce z czarnym orłem na piersi startował przeciwko Polakom. Z identyczną motywacją jak w Moskwie: „Ja im pokażę!” Za odkrycie, że Władek z Wileńszczyzny, idol pokolenia Solidarności i starszy pan z Hanoweru to ten sam człowiek, autorom dokumentu może nie należy się Oscar, ale szacunek na pewno. ©

recenzuje Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. KSAWERY SZCZEPANIK
„PO ZŁOTO. HISTORIA WŁADYSŁAWA KOZAKIEWICZA”
POLSKA 2021

GRA TYGODNIA: „MONSTER HUNTER STORIES 2: WINGS OF RUIN”

Zabijanie bez powodu to zwykłe barbarzyństwo. Spin-offy „MH” z serii stories dają nam powody, kładąc na wątek fabularny nieco większy nacisk niż seria główna. Ale to nie mając swoje momenty opowieść sprawia, że „MHS2” jest grą na pięć gwiazdek. Świetny, taktyczny system

walki. Z pozoru prosty, oparty na zasadach kamień–papier–nożyce, ale uzupełniony o specjalne umiejętności i kombosy daje naprawdę dużo frajdy. Zadania poboczne, których nigdy nie brakuje, pchają nas do przodu, by odkrywać ciekawy, dobrze zaprojektowany świat. Konwencja anime dokłada



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

swoją cegielkę do całości, która znów się Capcomowi udało. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** jRPG
• **Platforma:** NS, PC
• **Producent, dystrybutor PL:** Capcom, Conquest Entertainment a.s.

MOJA PÓŁKA

Dostojewski na nowo czytany

KRZYSZTOF
MAŚŁOŃ

Z „Młodzikiem”, najmniej znaną częścią wielkiego pięcioksięgu Fiodora Dostojewskiego, zapoznałem się przed wieloma laty, gdy pochłonałem całą dostępną w Polsce twórczość autora „Braci Karamazow”. Jakie zrobiła wtedy na mnie wrażenie – nie pomnę; podejrzewam, że „zaliczyłem” ją bezkrytycznie, z niejakim nabożeństwem, nie ja jeden bowiem tak traktowałem powieści Dostojewskiego. Dziś, gdy bohaterstwo postanowiłem powrócić do lektury tej 600-stronicowej książki, głównie zresztą z okazji ukazania się „Młodzika” w nowym przekładzie Adama Pomorskiego, miałem uczucie męki, tak bardzo prowadzący narrację tytułowy bohater powala wręcz swoją głupotą, że choć mam świadomość celowego skarykaturowania przez pisarza tej postaci, w żaden sposób nie potrafiłem przejąć się jego losem. Ba, już po przeczytaniu kilkudziesięciu stron zacząłem życzyć temu idiocie wszystkiego najgorszego. W istocie to on zasługuje na takie miano, a nie wspinały książkę Myszkin z, nomen omen, „Idioty”.

Ale też w „Młodziku”, było nie było jeszcze jednym pamiętniku z okresu dojrzewania, nie perypetie rodzinne i miłosne Arkadija Dołgorukiego są najważniejsze, w ogóle mają jakąś wagę. Naprawdę Fiodor Dostojewski przedstawił w tej powieści z 1875 r. swoją wersję wcześniejszych o 13 lat „Ojców i dzieci” Iwana Turgieniewa.

Adam Pomorski nieprzypadkowo zauważa w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej, że to „Młodzik”, wypełniający miejsce pomiędzy „Biesami” a „Braćmi Karamazow”, jest jedną z powieści w kraju autora uważanych za najważniejsze i najlepsze. Bardzo być może. Ale moje mocowanie z „Młodzikiem”, a w jego efekcie także niechęć do tego utworu nie wy-



FOT. DOMENICA PUBLICATION

kają przecież wyłącznie z epizodu, w którym Dostojewski, jak zwykle, odnosi się do Polaków z lekceważeniem, by nie powiedzieć: z pogardą. A generalnie w książce tej wszyscy gardzą wszystkimi. Bo i rzeczywistość: godni są pogardy, mimo tasiemcowych wywodów, w których plotą bez umiaru o honorze, obowiązkach, patriotyzmie i czort jedyny wie czym jeszcze.

Ta książka jest pamfletem na współczesną autorowi rzeczywistość, na – jak mówił we wzmiankowanym wywiadzie Adam Pomorski – „modernizację, przekształcenia społeczne, jakie się wtedy dokonywały – a my dziś znamy podobne zjawiska z własnego doświadczenia. Spojrzenie na te procesy oczami narratora, który ma kompleksy osobiste i społeczne, staje się kompromitacją całego systemu wartości. Nie przypadkiem bohater ciągle opowiada o swojej wielkiej idei. A przecież koniec końców można ją o kant stołu potłuc”. Nawiasem mówiąc, „idea” ta w początkowej fazie powieści sprowadza się do zamiaru tytułowego „ideowca”, by zostać ni mniej, ni więcej, tylko Rotszyldem. Czy po to będzie się w niedalekiej przyszłości hazardował, trudno orzec.

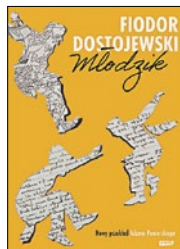
Arkadij Dołgoruki, wbrew książęcemu mianu, formalnie jest synem sługi pańszczyźnianego Makara Dołgorukiego, a w rzeczywistości nieślubnym synem

dawnego dziedzica Wiersiłowa. Na okragło zastanawia się nad tym, czy ten ostatni jest człowiekiem arcyślachetnym, czy jednak łajdakiem. O sobie myśli z kolei jak najgorzej, i słusznie, bo zajmuje się sprawami, które do niego nie należą, wdaje się w intrygi, a w świecie, do którego aspiruje, porusza się z wdziękiem słonia. Świat ten zresztą jest plugawy, a kolejne pojawiające się w powieści postaci, to jeśli chodzi o mężczyzn, niemal wyłącznie kanalie, a kobiety albo rozpustnice, albo istoty wykorzystywane, budzące litość, choć raczej nie przesadny szacunek.

Od tego całego panopticum odróżnia się starzec Makar, w którym odnajdujemy cechy mnicha Zosimy (czy Zosima – jak chce Adam Pomorski) z „Braci Karamazow”. Uosabia on ludową religijność i mądrość, a jego „pouczenia religijne – czytamy w posłowiu tłumacza – mają charakter najprostszych, ale podstawowych przesłań moralnych i nie chodzi w nich o wywyższającą świętość ani przywiązanie do przesądów doktrynalnych”. Chociaż... tytułowy „młodzik”, noszący nazwisko tegoż Makara, w szczególnie podniosłym momencie jednej z przemów starca doszukuje się w niej poglądów... komunistycznych. Tyle że o komunizmie, jak i o wszystkim innym, pojęcie ma blade.

Budzi „Młodzik” złość, a jednak brnie się przez niego z uporem godnym lepszej sprawy, w nadziei, że cała ta gadanina znajdzie jednak sensowny finał. Na próżno, chyba że serio przyjmujemy zapowiedź nowego otwarcia w życiu Arkadija. W końcu ma dopiero 21 lat.

Dodać trzeba jeszcze, że Adam Pomorski przełożył już trzy powieści z wielkiego pięcioksięgu Dostojewskiego. Czekamy teraz na „Idiotę” i na wieńczącą to ambitne zamierzenie translatorskie „Zbrodnię i karę”. ©



★★★★★
FIDOR
DOSTOJEWSKI
„MŁODZIK”
ZNAK, KRAKÓW
2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wokół Lema

W oficjalnym Roku Lema (stulecie urodzin) najnowszy numer kwartalnika „Nowy Napis” przynosi blok poświęcony pisarzowi, który wciąż pozostaje jednym z najcenniejszych dóbr eksportowych kultury polskiej. Rozstrzął tematów spory: od zawierającej pięć tekstów części „Wszechświat Lema” do dwóch artykułów poświęconych sztuce wizualnej. Paweł Chmielewski przygląda się słynnym ilustracjom Daniela Mroza (który fantastyki nie cierpiał, ale ilustrowanie książek Lema uwielbiał), a Łukasz Maciejewski opisuje trudne relacje między mistrzem a tymi, którym marzyły się ekranizacje jego prozy (tytuł mówi wszystko: „Ja tych filmów nie znoszę. Stanisław Lem i kino”).

W bloku głównym zaskoczenie nieoczekiwaną zamianą miejsc. Dwa artykuły o metafizyce i religii u Lema napisali Łukasz Kucharczyk i Paweł Zaborowski. A przecież mamy w numerze także tekst Marka Oramusa, który z tymi tematami się zmagał w świetnej książce „Bogowie Lema”. Oramus jednak tym razem patrzy w inną stronę: „Lemiesz futurologiczny” to rzecz o tym, jak najpierw Lem futurologię wielbił, a potem się od niej odzegnał. Cóż, jak pisał kiedyś jeden z amerykańskich pisarzy SF (których,

nawiasem mówiąc, Lem nie cierpiał), o przyszłości pisać się nie da, gdyż jeszcze nie istnieje.

Fantastyka jest zatem przede wszystkim metaforą oraz metodą twórczej analizy świata i tu uwagę zwraca tekst najbardziej nieoczywisty: Piotr Urbanowicz przygląda się pisaniu autora „Solaris” przez okulary sporządzone przez francuskiego antropologa Brunona Latoura w głośnej książce „Polityka natury”. No i skoro Lem był prekursorem wszelkich „Matrixów”, znaczy wirtualnych światów, to nie mogło zabraknąć i dyskursu posthumanizmu, którego prorocy chcieliby nasze dusze przepisać na twarde dyski elektrycznych rajów. Tym zajęła się w osobnym artykule Zuzanna Berendt, aczkolwiek też w nieoczywistym kontekście.

Sporo tego, ciekawie i na poziomie, a i tak chciałoby się więcej. Uzasadnione jest bowiem poczucie niedosytu nie jeśli chodzi o wysiłek redaktorów i autorów „Nowego Napisu”, ale szerzej, lemologii wszelakiej. Dosta-

liśmy w ostatnich latach biografie pióra Orlińskiego, dostaliśmy arcyciekawą, choć miejscami kontrowersyjną książkę Gajewskiej „Zagłada i gwiazdy”, ale z najważniejszymi rozważaniami Lema wciąż polscy krytycy mierzą się zbyt rzadko. Pewnie dlatego, że to niełatwe zadanie. ©©



★★★★★
„NOWY NAPIS”
NR 10, CZERWIEC
2021

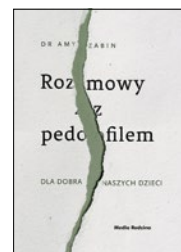
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Na lądzie, morzu i w powietrzu” – głosi podtytuł. Nieoczywisty wybór, bo chodzi i o bitwy toczone na terytorium Polski, i takie z udziałem Polaków, ale do których doszło na ziemiach obcych. Tom kapitalnie ilustrowany.



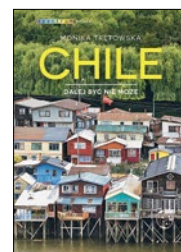
KRZYSZTOF JABŁONKA
„100 POLSKICH BITEW”
ZONA ZERO

Spisane przez terapeutkę wyznania seksualnego predatora. Wgląd w fantazje i metody człowieka odsiadującego dożywocie to lektura wstrząsająca. I cenna pomoc dla wszystkich, którzy chcą chronić dzieci przed wykorzystaniem.



AMY ZABIN
„ROZMOWY Z PEDOFIEM”
MEDIA RODZINA

Kierunek wyprawy nieoczywisty i mocno dla nas egzotyczny. Autorka nie wpadła tam jednak jak po ogniu, bo od ponad dekady żyje w Chile i wyszła tam za mąż. Nie jest to więc opowieść turysty, ale ciekawe spojrzenie od środka.



MONIKA TRĘTOWSKA
„CHILE. DALEJ BYĆ NIE MOŻE”
MUZA

Klasyka z lat 50. XX w.: rozważania o możliwych skutkach kolejnego kroku w ludzkiej ewolucji, którym mogłaby być telepatia i połączenie umysłów. Uznawana za jedną ze 100 najlepszych powieści SF wszech czasów.



THEODORE STURGEON
„WIĘCEJ NIŻ CZŁOWIEK”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „MIOTACZ ŚMIERCI”

Proszę nie dać się zwieść okładce sugerującej komiksową pulp fiction. „Miotacz śmierci” to dzieło nietuzinkowe i wysmakowane artystycznie: opowieść o życiu, samotności i przemijaniu amerykańskiego everymana staje się okazją do niezwyklej zabawy z komiksową narracją. Postać głównego bohatera to z jednej strony kpina z komiksowych stereotypów, z drugiej obdarzenie



DANIEL CLOWES
„MIOTACZ ŚMIERCI”
KULTURA GNIEWU
2021

jej pewną niezwykłą zdolnością to metafora, która uwypukla moralne konflikty, do których rozwiązywania nikt go nie przygotował. Wybitne dokonanie autora takich dzieł jak „Ghost World” i „David Boring”. ©©

poleca Piotr Gociek

Gdy miał 21 lat, dotarł do finału „Must Be the Music”, a w zeszłorocznej edycji „The Voice of Poland” swoimi oryginalnym wokalem, wrażliwością i emocjami, które płyną ze sceny za każdym razem, gdy Michał Matuszewski się na niej pojawia, podbił serca jurorów i widzów. Michał Szpak mówił po jego występie: „Wpadłeś tutaj jak grom z jasnego nieba i pokazałeś nam taką galaktykę, na jakiej chyba nikt w tym programie od 11. edycji nie był”. „Wyniosłeś nas w inny wymiar” – rozpływała się Urszula Dudziak. Michał Matuszewski z programu musiał się wycofać, bo dopadł go koronawirus, ale zyskał swoich fanów.

Pochodzi z Bieszczad, z Myczkowa nieopodal Polańczyka. Korzenie są dla niego niezwykle ważne. Występuje w zespole etno, ceni i propaguje muzykę Bojków i Łemków, choć inspirować go także



FOT. FACEBOOK.COM/MICHAŁ MATUSZEWSKI

inna muzyka etniczna. Jest wokalistą, pianistą i akordeonistą. Absolwentem szkoły muzycznej w Sanoku, zaangażowanym w pomoc osobom z niepełnosprawnościami, muzykoterapeutą prowadzącym w Domu Pomocy Społecznej

w Krakowie zajęcia dla osób z zaburzeniami psychicznymi.

Album „Etnoterapia – Muzyka duszy”, który wydał niedawno, jest połączeniem doświadczeń zafascynowanego muzyką etno artysty i terapeuty. Ośiem utworów, które znalazły się

na płycie, pochodzi z różnych części świata. Jest muzyka łemkowska, polska, macedońska. Jest i serbski utwór „Ajde Jano”, którym Michał rozbił bank na pierwszym przesłuchaniu w ciemno w „TVoP”. – Moje plany muzyczne na pewno nadal wiązać się będą z muzykoterapią, z tworzeniem muzyki, która ma ukoić, ale też pobudzić i zmotywować do działania. Taką jest ta płyta i kolejne będą w tym samym kanonie – mówił Michał na antenie TVP3 Rzeszów.

Płytę można znaleźć w serwisach streamingowych, pewnie można kupić też w sieciówkach. Można. Ale można też wpisać w facebookowej lub google'owskiej wyszukiwarce „Galeria Ptaszarnia” i poznać miejsce naprawdę warte poznania, jeśli szuka się wartościowego bieszczadzkiego rękodziela i tam kupić ostatnie sztuki „Etnoterapii” podpisane przez Michała. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Trzy kobiety

Brazylika nagrała pierwszy od dekady album, łącząc się internetowo z: Nowym Jorkiem, Los Angeles, Lizboną, Madrytem i Barceloną. Podczas sesji w Rio de Janeiro stosowała rygorystyczny protokół pandemicznego bezpieczeństwa. Nie przypadkiem, gdyż album „Drzwi” ukazał się w momencie, kiedy Brazylia jest pustoszona przez COVID-19 i największą suszę od stulecia.

Marisa używa na płycie metafor inspirowanych światem przyrody i oprawia je czarującą paletą barw muzycznych łączących música popular brasileira, rocka, sambę, jazz, bossa novę i R&B. Na płycie zagrało ponad 15 muzyków, w tym nowojorski awangardzista Arto Lindsay. Aksamitny głos

Marisy przepięknie wibruje między koktajlowymi gitarami, fortepianem, dęciakami i smyczkami. Wysmakowane aranżacje sprawiają, że mimo nieznajomości portugalskiego natychmiast wczuwamy się w nastrój płyty.

Szczególne wrażenie robi finał płyty z dusznym, akustycznym fado „Vagalumes” (poetycki tekst utożsamia płomienie ognia z osobistą i miłosną przemianą), po którym następują oparte na wyrazistej rytmice i zaraźliwych melodiach piosenki „Você Não Liga” i „Pra Melhorar”. Porywając do tańca, Marisa Monte stawia czoło tragediom, zapewniając, że ludzkość nie tylko przetrwa, lecz także wyjdzie z tego doświadczenia lepsza. ©©



★★★★★ FATIMA AL QADIRI „MEDIEVAL FEMME” HYPERDUB

Trzeci album

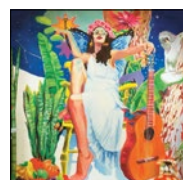
Senegalki mieszkającej w Nowym Jorku inspirowany jest poezją arabskich kobiet. Muzyka nie jest związana z konkretną epoką. Beaty są używane oszczędnie. Delikatne, cyfrowo spreparowane melodie zawierają arabsko brzmiące nuty, ale nie odnoszą się do tradycyjnych utworów.



★★★★★ LONELADY „FORMER THINGS” WARP

Brytyjka Julie Campbell, inspirowana

się Cabaret Voltaire czy New Order, zagłębiła się w świat electro-funku połowy lat 80. Stworzyła olśniewającą opowieść o dorastaniu i utracie niewinności, doskonale współgrającą z brzmieniem analogowych syntezatorów i sequencerów. ©©



★★★★★ MARISA MONTE „PORTAS” SONY

Spektakl „Bitwa o tron.
Musicalowy talent show”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rzeczpospolita elekcyjna i musical



Grzegorz Kondrasiuk

Teatr Syrena chce się podobać. Nie kryguje się, nie kokietuje, tylko bezceremonialnie daje widzowi dobrze skrojoną rozrywkę. Tylko tyle i aż tyle

Dyrektorujący i reżyserujący sceną przy ul. Litewskiej Jacek Mikołajczyk postępuje zgodnie ze zdroworozsądkową zasadą, w myśl której lepsze jest wrogiem dobrego. Stąd eksperymenty w Syrenie polegają raczej na pracy nad jakością wykonania, niekoniecznie nad dekonstruowaniem odziedziczonych po poprzednikach gatunków sztuki scenicznej – w tym wypadku przede wszystkim musicalu. A jeśli już prowadzi się tu twórcze poszukiwania, to raczej chwytliwych tytułów i tematów. Pracuje się i nad przerabianiem zachodnich hitów frekwencyjnych pod polskie poczucie humoru, i nad wpisywaniem w musicalową formę lokalnych postaci czy mitologii. Takie były przebojowa „Rodzina Addamsów”, musical, którym Syrena wróciła do pierwszej ligi, oraz wciąż niedostatecznie wygrana z powodu pandemii, przedostatnia premiera Syreny – „Kapitan Żbik”. I taka jest premiera

najnowsza, również w reżyserii Mikołajczyka – „Bitwa o tron”. Podjął się w niej karkołomnego zamierzenia: elekcyjna historia Polski jest tu zaprezentowana przy użyciu konwencji telewizyjnego konkursu piosenki.

Jesteśmy więc zniechęceni wrzuceni w sam środek jakiejś dziwnej Eurowizji, gdzie swobodnie zmieszano podręcznikową wiedzę historyczną z popem cukierkowatym i bogato ozdobionym cekinami. Spektakl powstał z inspiracji amerykańskich („Hamilton”) oraz brytyjskich („Six”), a także z prostego skojarzenia: wybory króla – głosowanie na najlepszy hit i najlepsze wykonanie. Poczet polskich królów konkuruje ze sobą o nagrodę publiczności, w finale widownia głosuje na zwycięzcę – wygrywa ten, kto dostanie największy aplauz. A dopisane tu i ówdzie komentarze historyczne (momentami naprawdę obszerne i nieco szleszczące papierem) skłaniają do przypuszczenia, że Syrena patrzy też w stronę tzw. zorganizowanej widowni szkolnej.

Co z tym fantem począć? Oczywiście można pochylić się nad jakością aranżacji i różnorodnością pomysłów. Każdy z „królów” ma do zaproponowania hit w nieco odmiennej stylistyce, pop-funk miesza się z pop-rockiem, łzawa fortepianowa ballada z gitarowymi riffami. Wszystko jest jednym wielkim pastiszem i muzycznym crossoverem, w zamierzeniu przywodzącym na myśl Abbe, Eltona Johna i zespół Queen, chociaż jednak największy komfort mogą na „Bitwie o tron” poczuć ci, którzy wielbią zespół Ich Troje (tak po prostu albo z nutką perwersji). Można docenić współczesny, lekki tok narracji, bo to widowisko nie mogło się przecież obyć bez konferansjerki. W tej funkcji występuje aż sześciu artystów, bo choć główny ciężar prowadzenia wieczoru brawurowo biorą na siebie Jacek Pluta (jako ksiądz Skarga) i Piotr Siejka (jako ojciec Kordecki), to inicjatywę odbiera im dynamiczny żeński kwartet wokalny (Beatrycze Łukaszewska – Bona Sforza, Katarzyna Walczak – Anna Wazówna, Magdalena Placek – Boryń – Marysieńka, Marta Walesiak – caryca Katarzyna). Można wyłapywać aktualne aluzje, akcenty feministyczne w dialogach królowych, polityczne kawały z wyborów kopertowych czy ironiczne wstawki na temat czytania

z wypiekami na twarzy „Ludowej historii Polski” i absorbowania modnych trendów w historiografii. Czyli – dla każdego coś dobrego, a o politykę nie będziemy się dzisiejszego wieczoru zabijać. Można zauważyć momenty serio, jak w piosence i choreografii króla Stasia, rozbieranego w finale, nawet z peruki, i układającego się na kolanach carycy Katarzyny (w roli Stanisława Augusta Poniatowskiego Agnieszka Rose, skoro już musiałem głosować, to głosowałem właśnie na nią). Były więc i sceny, nieliczne co prawda, dzięki którym bywał to spektakl o czymś.

Można się więc było nie nudzić. Wreszcie – można się było oburzyć na to wszystko. A jednak „Bitwa o tron” pokazuje szansę na popularyzację historii, na wyjście poza uproszczone, dwubiegowe myślenie o niej, poza heroizowanie i odbrażywanie przeszłości, w których ostatnio się specjalizujemy.

Tak czy owak – owacje były. ©©

Teatr Syrena, „Bitwa o tron. Musicalowy talent show”;
Reżyseria, libretto i teksty piosenek:
Jacek Mikołajczyk;
Muzyka, kierownictwo muzyczne:
Tomasz Filipczak;
Scenografia: Jake Smart;
Kostiumy: Tomasz Jacyków;
Choreografia: Santi Bello;
Premiera: 24 kwietnia 2021 r.



FOT. MARCIN OBARA/PAP

KAROL GAC: Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie w sprawie środków tymczasowych zastosowanych przez TSUE wobec Izby Dyscyplinarnej. Niedługo TK zdecyduje też, czy polska konstytucja ma wyższość nad prawem unijnym. Jak ważne są to orzeczenia?

MARCIN ROMANOWSKI: Orzeczenie TSUE, które nakazywało zawiesić funkcjonowanie Izby Dyscyplinarnej SN, było zwykłym przekroczeniem uprawnień i kompetencji. Bardzo trafnie orzekł więc polski TK, wskazując na bezprawność tych działań i odrzucając możliwość wykonania takich pseudowyroków. To swego rodzaju linia demarkacyjna między sferą kompetencji przekazanych Unii a tymi suwerennego państwa polskiego. W kwestii nadchodzącego wyroku dotyczącego stosunku prawa unijnego wobec polskiej konstytucji powinniśmy spodziewać się potwierdzenia dotychczasowego orzecznictwa TK, który w przeszłości bez żadnych wątpliwości stwierdzał, że polska konstytucja jest prawem najwyższym i ma większą moc wiążącą niż traktaty europejskie.

Jednak wasi oponenci wskazują, że to orzeczenie może doprowadzić do pogorszenia naszych relacji z Brukselą, a nawet do polexitu.

Takich stwierdzeń nie należy brać poważnie i trzeba je lokować wyłącznie w charakterze gry politycznej. Idąc tym tropem rozu-



Z dr. Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Karol Gac

UE kontratakuje

mowania, połowa państw członkowskich UE musiałaby wyjść ze Wspólnoty. Praktycznie wszystkie sądy konstytucyjne albo sądy najwyższe potwierdzały wyższość swoich konstytucji narodowych nad prawem europejskim. Słynne orzeczenia w sprawie traktatu z Maastricht, wydane przez francuską Radę Konstytucyjną czy niemiecki Federalny Sąd Konstytucyjny, są tego najlepszym dowodem.

Trzeba więc uznać, że tego typu retoryka nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Tym bardziej że nie ma jakichkolwiek przepisów w traktatach, które mówiłyby o wyższości prawa traktatowego nad konstytucjami państw członkowskich.

Nieoczekiwanie w ubiegłym miesiącu Komisja Europejska, po roku, wszczęła postępowanie

o naruszenie prawa UE wobec Niemiec za podważanie prymatu prawa unijnego nad prawem krajowym. Tego samego dnia KE wysłała list do premiera Mateusza Morawieckiego, w którym domagała się wycofania jego wniosku do TK. UE kontratakuje?

Można tak na to patrzeć. Był już tego typu eksces w latach 60., gdy Europejski Trybunał Sprawiedliwości wskazał na pierwszeństwo prawa wspólnotowego, ale bardzo szybko państwa członkowskie rozbroiły tę swoistą bombę podważającą status państw członkowskich, pokazując, że jest to działanie nielegalne oraz wykraczanie poza mandat, którego udzieliły Wspólnocie. Zawsze jednak obserwowaliśmy okresy wzmożonej refederalizacji i wydaje się, że teraz mamy do czynienia z taką sytuacją. Widać ze strony unijnej elity reorientację poglądów na temat wyższości prawa unijnego nad konstytucjami i próbę podważenia tego, co w Europie ukształtowało się jako dogmat od ponad 30 lat. Trzeba jednak pamiętać, że jest to pogląd odosobniony, reprezentowany wyłącznie przez instytucje centralne UE.

Żądanie KE od premiera, by wycofał swój wniosek do TK w imię lojalności, jest bezprecedensowe i kuriozalne. Ocena dokonana przez sądy konstytucyjne państw członkowskich nie jest kwestią żadnej lojalności, ale praworządności i ochrony prawa, do czego warunkiem pierwszorzędny jest ochrona konstytucji. Postępujemy analogicznie jak inne państwa członkowskie, których sądy konstytucyjne stwierdzały konsekwentnie prymat konstytucji narodowych nad prawem międzynarodowym, w tym także nad prawem pierwotnym UE, tj. traktatami. Jeśli mowa jest więc o lojalnej współpracy, to oczekujemy jej przede wszystkim od instytucji europejskich, na czele z Komisją Europejską. Unia jest organizacją międzynarodową, działającą na podstawie mandatu udzielonego jej przez państwa członkowskie w momencie jej zawiązania czy przystępowania. Nie można więc robić nacisków i wywierać presji na te państwa, aby one de facto zgodziły się na integrację idącą dalej niż ta, na którą państwa zgodziły się w momencie tworzenia Unii Europejskiej. Takie działania muszą być ocenione jako naruszające nie tylko ducha traktatów, lecz także ich literę.

Działanie KE skrytykowali czołowi niemieccy konstytucjoniści, którzy wskazali, że „przykłady ona siekierę do fundamentów integracji europejskiej”. Ich argumenty wydają się zresztą tożsame z tym, co Zjednoczona Prawica głosi od kilku lat.

Absolutnie tak. Jako Solidarna Polska możemy się podpisać pod tymi słowami. Zwróciłbym też uwagę na moment odrzucenia Konstytucji dla Europy, bo w mojej ocenie to tam leży źródło problemów i obecnych wysiłków federalizacyjnych. Propozycja Konstytucji dla Europy była pomyślana jako przyspieszenie, zwiększenie i pogłębienie procesów integracyjnych, ale też była to hybryda państwa parafederalnego. Widać to najlepiej już w samej nazwie. Z jednej strony mowa jest o traktacie, a więc umowie międzynarodowej, ale obok mamy konstytucję, czyli akt prawny tradycyjnie zarezerwowany dla państwa. Obecnie obowiązujący system traktatów UE jest korektą tamtych propozycji. To zresztą powoduje nieustanne napięcie. Instytucje unijne i europejski establishment czują sentyment do odrzuconej Konstytucji dla Europy i właśnie tym należy tłumaczyć nader częste wykraczanie poza zasadę kompetencji przekazanych.

Trzeba pamiętać, że obecny kształt UE nikogo nie satysfakcjonuje. Dla jednych jest to niedokończony projekt, dla innych, w tym dla nas, jest to dokładnie to, na co zgodziły się państwa członkowskie. Mamy więc do czynienia z dychotomią

prowadzane przez władze wybrane przez miliony Polaków. Takie „standardy” są nie do zaakceptowania.

TSUE podejmuje działania w sposób nieprzebiegający w środkach, jednocześnie udając, że stoi tylko na straży traktatów, podczas gdy tak naprawdę je obchodzi czy bezczelnie łamie, tworząc konstrukcje już nie tylko obok traktatów, ale wbrew nim, depcząc fundamentalną zasadę kompetencji przekazanych i ustanawiając w to miejsce zasadę kompetencji wydeptyanych.

Tym bardziej że zasada pierwszeństwa prawa unijnego nie ma podstawy w traktacie unijnym i wynika wyłącznie z orzecznictwa TSUE. Europejseł PiS Jacek Saryusz-Wolski zwraca np. uwagę, że o poszanowaniu tożsamości i struktur konstytucyjnych mówi art. 4 traktatu.

Artykuł 4 traktatu o UE jest rzeczywiście niezwykle ważny. Jeśli mielibyśmy rozważać zmiany traktatów europejskich, to moim zdaniem powinno dokonać się rewizji treści tego przepisu. Obecnie pozwala on zbyt mocno na dowolne interpretacje kluczowej zasady. Powinno się stwierdzić wyraźnie, że tożsamość narodowa oznacza wielość porządków.

Instytucje unijne ingerują w suwerenność oraz ignorują granice swoich

TK w przeszłości bez wątpliwości stwierdzał, że polska konstytucja jest prawem najwyższym i ma większą moc wiążącą niż traktaty

Europa federalna vs. Europa ojczyzn. Establishment unijny czuje się sierotą po Konstytucji dla Europy i próbuje, m.in. za pośrednictwem TSUE, ożywić tylnymi drzwiami tego federalnego frankensteina państwa ponadnarodowego. Na przeszkodzie stoją praktycznie wszystkie sądy konstytucyjne państw członkowskich, które przypominają fundamentalną zasadę prymatu konstytucji narodowych. Tymczasem UE, w tym zwłaszcza TSUE, poprzez aktywizm sędziowski i orzecznictwo prawotwórcze próbuje zmieniać demokratycznie podjęte decyzje i metodą faktów dokonanych wprowadzać przynajmniej część pomysłów federalizujących UE. Wyrok TSUE w sprawie Izby Dyscyplinarnej jest tego najlepszym przykładem. Pani sędzia Rosario Silva de Lapuerta indywidualnie podejmuje decyzję ingerującą w nasz porządek instytucjonalny, podważając jednocześnie reformy prze-

uprawnień. Dlatego trzeba również się zastanowić nad lepszymi rozwiązaniami instytucjonalnymi, by chronić ten kształt UE, na który wszyscy się umówiliśmy. Ten konsensus jest dziś kwestionowany pod naporem nachalnej lewackiej i neomarksistowskiej ideologii, która stoi w sprzeczności z traktatami, tradycjami konstytucyjnymi poszczególnych państw i wreszcie ze zdrowym rozsądkiem.

Polska i Niemcy nie są jedynymi państwami, w których wydane zostały takie orzeczenia. Z kolei Komisja Europejska uważa, że prymat prawa UE jest całkowity. Wspominał pan przed chwilą o odrzuceniu Konstytucji dla Europy. Może to po prostu kolejny etap tego samego konfliktu o ustrój Unii Europejskiej?

Z całą pewnością. Mamy do czynienia z działaniami europejskiego establishmentu, który wymyślił sobie

■ superpaństwo europejskie i mimo tego, że nie znalazło ono akceptacji Europejczyków, ciągle próbuje przepchnąć swoje pomysły za pomocą unijnej maszyny instytucjonalnej. Za pomocą nacisków, presji i wymuszeń eurokraci chcą wprowadzić ideę państwa ponadnarodowego, w którym będziemy mieli zachodnią hegemonię kulturową, ideologiczną i ekonomiczną.

Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że narzędzia tego uruchomionego procesu federalizacji mają szerokie spektrum – od najbardziej oczywistych, jak polityczne naciski na państwa czy kwestie fiskalne, aż do bardziej finezyjnych. Wystarczy spojrzeć na art. 2, gdzie jest mowa o wartościach europejskich, które dzisiaj rozumie się w sposób skrajnie wykraczający poza ich pierwotne znaczenie, dochodząc do kuriozalnych wniosków, że np. zabójstwo dziecka nienarodzonego jest wartością europejską będącą podstawowym prawem człowieka. Narzędzia są też semantyczne, a ich celem jest zmiana znaczenia poszczególnych terminów, takich jak np. „rodzina” czy „patriotyzm”, który coraz częściej w UE jest identyfikowany jako antyunijność.

Widać więc, że chodzi de facto o suwerenność państw członkowskich Unii Europejskiej. Do czego może doprowadzić ten konflikt?

Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że dojdzie do dekompozycji UE, ale sądzę, że zwycięży zdrowy rozsądek. Każdy kryzys jest także okazją do pewnej zmiany i ożywienia. Czekają nas dyskusja dotycząca zmian instytucjonalnych UE. Pojęcie Europy ojczyzn nie oznacza niechęci do współpracy, a wręcz przeciwnie. Tylko silne i suwerenne państwa, których narody szanują swoją historię, kulturę i wartości, są zdolne do tego, by współpracować z innymi. Dobra kooperacja następuje tylko wtedy, gdy jest zaufanie, a nie wówczas, gdy mamy do czynienia z dyktatem i bezczelnością, tak jak w przypadku instytucji unijnych np. w stosunku do Polski. Żeby ta współpraca mogła trwać, trzeba na poważnie zastanowić się nad nową aranżacją UE.

Na pewno potrzebne byłoby wyraźne stwierdzenie w traktatach, że UE i wszystkie jej organy działają na podstawie i w granicach prawa. Chodzi o to, by zasadę praworządności wprost i bez żadnych wątpliwości odnieść przede wszystkim do wszelkich organów UE. Organy unijne nie są od pilnowania

Mamy do czynienia z działaniami europejskiego establishmentu, który wymyślił sobie superpaństwo europejskie

praworządności w obszarze kompetencji państw członkowskich, tylko powinny realizować swój służebny charakter w stosunku do nich.

Nie można zapominać, że traktaty przewidują nie tylko poszerzenie uprawnień unijnych organów, lecz także ich ograniczanie na rzecz państw członkowskich. Dlatego jedną z ważniejszych zmian powinno być w przyszłości to, aby powstał organ, który stałby na straży legalizmu działań instytucji unijnych i kompetencji państw członkowskich. Nieodczony wydaje się swego rodzaju Trybunał Kompetencyjny, będący prawnym ramieniem Rady Europejskiej, który dbałby o balans instytucjonalny między UE a państwami członkowskimi. Reforma instytucji powinna być jednak szersza.

Czyli?

Trzeba postawić tamę, aby system instytucji europejskich spełniał swoją rolę, by towarzystwo brukselskie nie funkcjonowało w bańce i ideologicznym amoku. Warto więc zastanowić się, jak doprowadzić do sytuacji, w której TSUE byłby bardziej demokratyczny, choćby z uwagi na wybór sędziów, który dziś jest ciągiem zakulisowych negocjacji. Warto też dyskutować nad drugą izbą parlamentu, która reprezentowałaby państwa członkowskie, a jej zadaniem byłaby ochrona zasady pomocniczości, która jest permanentnie nierealizowana. Przy gwarantowaniu tej ostatniej też należałoby pomyśleć nad nowymi rozwiązaniami, bo mechanizm żółtej kartki najzwyczajniej się nie sprawdził. Może warto pomyśleć nad czerwoną kartką, która zatrzymywałaby złe pomysły legislacyjne.

Polityki nie uprawia się jednak w próżni. Z jednej strony widzimy próbę zawłaszczenia kolejnych kompetencji, a z drugiej podwójne standardy Brukseli. Jak w takiej sytuacji budować tę tamę i nie skupiać się wyłącznie na diagnozie?

Uważam, że jednak brakuje diagnozy. Oczywiście ona sama nie rozwiązuje problemów, ale bardzo często to punkt

wyścia. Refleksja, która niewątpliwie jest potrzebna, po prostu zanika. Widać to po ideologizacji i polityzacji dyskursu. Jednocześnie pojawiają się ciekawe głosy w przestrzeni europejskiej i nie należy tego dezawuować. Mam wrażenie, że funkcjonujemy w dusznej atmosferze konfliktu ideologicznego, ostrego sporu politycznego i brutalnych interesów ekonomicznych. Potrzeba przestrzeni do spokojnej, racjonalnej dyskusji, gdzie będzie można zastanowić się nad przyszłością UE. Mamy teraz do czynienia z herbertowskim cepem. Na każdą dyskusję jest tylko jeden argument, tzn. więcej integracji. To absurd. To nie jest tak, że traktaty są dane raz na zawsze. Uważam, że pomysły mechanizmów, które by odpowiadały na realne problemy, warto są przynajmniej merytorycznej dyskusji. Wszystko po to, by UE nie była lewiatanem pożerającym państwa członkowskie, lecz przestrzenią, gdzie wszystkie państwa będą mogły normalnie funkcjonować w imię dobra wspólnego.

Tyle tylko że tendencja wydaje się raczej odwrotna. Szef MSZ Niemiec Heiko Maas zasugerował np., by znieść zasadę jednomyślności. Diagnoza jest ważna, ale z drugiej strony ciężko rozmawiać, gdy druga strona jest głucha na argumenty.

Na te pomysły trzeba patrzeć przez pryzmat wyborów w poszczególnych państwach członkowskich. Nie traktowałbym ich poważnie, bo takie nie są. Zauważmy, że dziś UE jest, w dużej mierze, narzędziem Niemiec do budowania ich silnej pozycji jako globalnego gracza, podczas gdy pierwotnie miała powstrzymać Niemcy przed hegemonią. Nasza propozycja jest dokładnie odwrotna. Należy jak najszerzej wprowadzać zasadę jednomyślności, która ograniczy narzucanie politycznej woli unijnych hegemonów mniejszym i słabszym państwom członkowskim. Obecne rozwiązania się po prostu nie sprawdziły. UE, jak każda organizacja międzynarodowa, musi się opierać na zgodzie państw, które ją tworzą. Demokracja wymaga pluralizmu, a pluralizm jest zagwarantowany wyłącznie przez swobodę państw, w tym także małych i średnich. Jeśli będziemy pogłębiać zasadę jednomyślności, to zniszczymy demokrację i pluralizm, ustanawiając w to miejsce hegemonię najsilniejszych i największych państw, co przecież jest zaprzeczeniem demokracji.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
**URODZIŁAM SIĘ
NA PAWIAKU.
ROZMOWA Z OFIARĄ
III RZESZY**

Ryszard Kaczmarek – **Boje powstań śląskich**
Tomasz Stańczyk – **Dramat Korfanteo**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał wojnę**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Warneńczyka**
Jacek Bartosiak – **Przyszła wojna Polski z Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Romans Mannerheima**
Sławomir Cenckiewicz – **Między Hitlerem a Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Jan Fiedorczuk

Niemieckie elity od lat skrupulatnie nadzorują w Unii Europejskiej proces „pełzającej federalizacji”. Likwidacja prawa weta, budowa unijnej armii czy prymat prawa UE nad prawem krajowym – to tylko kolejne narzędzia służące idei „europejskiej suwerenności”

Minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas domaga się zniesienia prawa weta obowiązującego w polityce zagranicznej Unii Europejskiej. Szef niemieckiej dyplomacji podkreślił, że Europa nie może być „zakładnikiem” państw, które „paraliżują” jej działania na arenie międzynarodowej, a obecny apatyczny stan rzeczy zagraża stabilności całej Unii. To ważne wystąpienie szefa niemieckiej dyplomacji przeszło właściwie bez większego echa. Warto jednak przyjrzeć mu się bliżej, gdyż wpisuje się w szerszy plan, który Niemcy, z typową dla siebie precyzją, realizują od lat.

Dla zarysowania odpowiedniej perspektywy musimy cofnąć się na chwilę do 2018 r., gdy Heiko Maas objął funkcję ministra spraw zagranicznych. To wówczas – kilka miesięcy po tym, jak zastąpił na stanowisku Sigmara Gabriela – w dzienniku „Handelsblatt” ukazał się artykuł jego autorstwa, który możemy uznać za ramowy plan przekształcenia Unii Europejskiej w scentralizowany ośrodek polityczny – niemiecki plan dla Europy. Maas przedstawił wówczas obraz świata, w którym doszło do dezintegracji Zachodu jako pewnej wspólnoty ideowej. Porządek postzimnowojenny odszedł w zapomnienie, a wraz z nim przeminęły prymat NATO i niekwestionowana hegemonia USA. Szef niemieckiej dyplomacji zarysował wizję Unii, która „podejmuje suwerenne decyzje w tych obszarach, w których jest bardziej wydajna niż samotne państwa narodowe”. Jest to sentencja, która może oznaczać dosłownie wszystko, gdyż trudno sobie wyobrazić sferę, w której „zjednoczona Europa” dysponowałaby mniejszym potencjałem niż pojedyncze państwa.

Hastings Lionel, pierwszy sekretarz generalny NATO, określił niegdyś, że

Z niemiecką



Kilka miesięcy po tym, gdy Heiko Maas (na zdjęciu z kancierz Angeli Merkel) objął funkcję ministra spraw zagranicznych Niemiec, w dzienniku „Handelsblatt” ukazał się artykuł jego autorstwa, który możemy uznać za ramowy plan przekształcenia Unii Europejskiej w scentralizowany ośrodek polityczny – niemiecki plan dla Europy. FOT. KAY NIETFIELD/DPA/PAP

celem sojuszu jest „trzymać Sowietów z daleka od Europy, Amerykanów wewnątrz niej, a Niemców pod kontrolą” („keeping Russians out, the Americans in and the Germans down”). Ponad 30 lat po zakończeniu zimnej wojny Niemcy ocenili, że nie chcą być dłużej trzymanymi pod czyjąkolwiek kontrolą, a Unia Europejska jest doskonałym narzędziem do wyswobodzenia się spod amerykańskiej kurateli. Bez problemu znaleźli sojuszników we Francuzach, którzy są tradycyjnie nastawieni sceptycznie do dominacji USA. Przesłanką, że Paryż zaakceptował plan Maasa, było wystąpienie Emmanuela Macrona (raptem kilka dni po publikacji wspomnianego artykułu niemieckiego ministra), w którym to prezydent Francji rugał USA za to, że odwracają się od Europy, oraz wskazywał na potrzebę wzmacniania „suwerenności” Unii, czyli jej samosteroowności. Sojusz Paryża i Berlina, które mają wspólnie zarządzać zjednoczoną Europą, został dodatkowo przypieczętowany w 2019 r. w Akwizgranie, gdzie Angela Merkel i Emmanuel Macron w obecności przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera oraz przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska podpisali traktat m.in. zobowiązujący oba państwa do wypracowywania wspólnego stanowiska przed wszystkimi ważniejszymi szczytami europejskimi.

Sam Maas nawet jeżeli nie jest autorem, to z pewnością pozostaje wielkim orędownikiem tego sojuszu. To za jego czasów Niemcy w pełni zaangażowały się w – forsowany do tej pory głównie przez Francję – projekt zintegrowania UE do poziomu scentralizowanego organizmu posiadającego suwerenność zewnętrzną (polityka zagraniczna, siły zbrojne) oraz wewnętrzną (prymat prawa unijnego nad krajowym). To za jego czasów „pełzająca federalizacja” Europy ewidentnie przyspieszyła, czego najdobitniejszym przejawem była niedawna decyzja dotycząca uwspólnotowienia europejskiego długu.

BŁĘKITNA BUNDESWEHRA

Od momentu objęcia funkcji szefa dyplomacji Maas podkreśla potrzebę uniezależnienia Europy od Stanów Zjednoczonych w kwestii bezpieczeństwa. W cytowanym wcześniej artykule szef niemieckiej dyplomacji unikał jeszcze tematu unijnej armii, wskazując jedynie na konieczność wzmocnienia europejskiej części NATO. Ten postulat jednak uległ już modyfikacji. Od publikacji artykułu minęły zaledwie trzy lata, a projekt unijnych wojsk jest już otwarcie podnoszony przez europejskich polityków. Raptem kilka miesięcy temu zrobił to choćby wicekanclerz Niemiec Olaf Scholz.

– Relacje z Rosją są powodem, dla którego powinniśmy mieć wspólną euro-



pejską politykę zagraniczną. Potrzebna jest europejska polityka wobec Wschodu. Moskwa musi zaakceptować fakt, że jej partnerem do negocjacji jest UE jako całość, a nie poszczególne kraje Unii – przekonywał wicekanclerz, wskazując, że unijna armia należy do dziedziny „europejskiej suwerenności”.

Sam Scholz przyznawał jednak, że ta błękitna Bundeswehra to dopiero pieśń przyszłości, a w obecnej chwili należy się skupić na... likwidacji prawa weta w sprawie unijnej polityki zagranicznej. Minęło zaledwie kilka tygodni i jego sugestia została oficjalnie wyartykułowana przez niemieckie państwo.

Powołania unijnej jednostki wojskowej domagali się również w listopadzie ub.r. posłowie SPD. W ich zamyśle kontrolę polityczną nad nową formacją („28. armią”) miałyby sprawować Komisja Europejska, a dokładniej nowo powołany komisarz do spraw obrony. Jak podkreślili posłowie SPD – „niezależnie od uciążliwych kwestii suwerenności”. Z kolei decyzję o użyciu wojsk podejmowałyby europosłowie. Rzecz jasna – za pomocą zwykłej większości głosów. Nowa jednostka miałaby być wzorowana na NATO-wskiej szpicy i liczyć 8 tys. żołnierzy. Co jednak najistotniejsze, żołnierze służący w niej nie byłoby wydzielani z wojsk państw członkowskich, tylko podlegaliby bezpośrednio unijnemu

dowództwu. Polak służący w „28. armii” byłby żołnierzem UE, a nie Polski. I gdyby zaszła taka potrzeba, miałyby służyć w interesie Brukseli – nie Warszawy. Jak się można domyślić, miałyby to być zatem oddziały różniące się od np. Grup Bojowych nie tylko strukturą, lecz przede wszystkim ideową, unijną otoczką.

Warto również zauważyć, że i sama von der Leyen, jeszcze jako minister obrony, na konferencji Brussels Forum w 2015 r. zapowiedziała, że utworzenie armii UE jest długofalowym celem państwa niemieckiego. Najbliższy partner Berlina, prezydent Macron, dobrze oddał ducha tendencji nadającej ton unijnej polityce, gdy w 2019 r. stwierdził, że Europa potrzebuje wspólnej armii m.in. do obrony przed... Stanami Zjednoczonymi.

EUROPEJSKA SUWERENNOŚĆ

Słowa Maasa o potrzebie rezygnacji z prawa weta należy czytać również w perspektywie głośnego wystąpienia właśnie Ursuli von der Leyen z września zeszłego roku. To wówczas niemiecka polityk stwierdziła, że Unia staje przed wieloma wyzwaniem o charakterze globalnym, jednakże jest zbyt słaba, by im podołać. Szukając czynników odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, szefowa Komisji Europejskiej nie miała wątpliwości – prawo weta.

– Co nas powstrzymuje? Dlaczego nawet proste deklaracje o wartościach UE

są opóźniane, tonowane lub wstrzymywane z innych powodów? Gdy państwa członkowskie twierdzą, że Unia działa zbyt wolno, odpowiadam im: śmiało! Dopuście wreszcie do głosowania większością kwalifikowaną, przynajmniej w kwestiach praw człowieka i wdrażania sankcji – mówiła wówczas von der Leyen.

Postulat likwidacji prawa weta nie jest fanaberią ani nie pojawił się znikąd, tylko stanowi logiczną część skrupulatnie rozwijanego planu. Mówił o nim wicekanclerz Scholz, mówiła o nim szefowa KE, a teraz powtórzył go minister Maas. Niemcy do perfekcji opanowali grę na wielu fortepianach i w celu realizacji swoich planów są gotowi w razie potrzeby grać na instrumentach zarówno krajowych, unijnych, jak i nawet – czego dowodzi przykład Macrona – za pośrednictwem innych państw.

Nie powinniśmy się dziwić, że Paryż i Berlin korzystają ze swej uprzywilejowanej pozycji i de facto ponad głowami pomniejszych państw starają się rozgrywać wielką politykę. O zakupach tego tandemu przekonaliśmy się zaledwie kilkanaście dni temu, gdy to ambasadorowie Niemiec i Francji przy Unii Europejskiej zaproponowali szczyt Unia-Rosja. Ostatecznie propozycja została (na razie) odrzucona, ale jest to kolejny przykład budowania suwerenności europejskiej kosztem suwerenności narodowej, czyli kolejne przeciąganie liny i próbowanie sił. Następnym krokiem może być propozycja, by to na poziomie Bruksela-Moskwa decydowano, czy amerykańskie wojska mają prawo stacjonować na polskim terytorium (i dlaczego takiego prawa nie mają), a potem – dlaczego nie? – czy państwo polskie potrzebuje tak rozbudowanej armii i czy nie lepiej te środki przekazać np. na zielony ład. Brzmi to niedorzecznie, ale właśnie na tej zasadzie działa „okno Overtona” – rzuca się idee, które mają bulwersować opinię publiczną, tak aby te, które do tej pory szokowały, przestały wyglądać tak radykalnie. Dzisiaj idea, że Bruksela ma decydować o tym, ile naszego PKB pójdzie na armię, brzmi niedorzecznie, ale w 2004 r. dokładnie tak samo absurdalnie brzmiały ostrzeżenia eurosceptyków dotyczące tego, że unijne prawo uzyska wyższość nad krajowym albo że Unia będzie pouczać Polskę w sprawie aborcji czy LGBT.



Sławomir Koper

Przyszła „królowa sceny PRL” spędziła w mieście nad Dnieprem 10 lat (1917–1927). Opowiadała, że przyjechała z matką do Kijowa z wizytą do krewnych, a rewolucja odcięła im powrót do Polski. To oczywista nieprawda

W jednej ze swoich książek podałem w wątpliwość oficjalną datę urodzin Niny Andrycz. Aktorka przyznawała się wówczas do 99 lat, natomiast według wyliczeń powinna mieć 104 lata. Moją intencją nie było jednak szukanie taniej sensacji, lecz wyjaśnienie pierwszego okresu życia gwiazdy i tajemnicy jej pobytu w Kijowie.

Gdy ogłosiłem wyniki swoich poszukiwań, Andrycz przyznała, że nie urodziła się w 1915 r., jak dotychczas podawała, lecz trzy lata wcześniej. To również wydawało się nieprawdopodobne, a gdy pani Nina niebawem zmarła, to na jej grobie pojawiła się informacja, że urodziła się w 1910 r. Dopiero zatem po śmierci aktorki ustalono jej prawdziwą datę urodzenia.

Konsekwentne odmładzanie się nie jest jednak rzadkim zabiegiem wśród płci pięknej. W przypadku Niny Andrycz problemem stała się jej relacja na temat pierwszych lat po powrocie z Kijowa. Miała uczyć się w polskim gimnazjum, zdać maturę i ukończyć Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej w Warszawie, gdzie nauka trwała trzy lata. Potem przez dwa kolejne lata grała w zespole Teatru na Pohulance w Wilnie i przy okazji studiowała na Uniwersytecie Stefana Bato-rego. W 1935 r. zadebiutowała na scenie Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana, miała mieć wówczas 20 lat. Musiało jej to zająć co najmniej 12 lat, natomiast od chwili przyjazdu do kraju do warszawskiego debiutu minęło niespełna osiem lat. Nie mówiąc już o tym, że zarówno szkoły, jak i sceny teatralne działały w systemie jesień–wiosna, zatem można dodać jeszcze rok do przedstawionych wyliczeń. Nic dziwnego, że niektórzy publicyści, nie mogąc zorientować się



FOT. MAC

w sprzecznych relacjach, podejrzewali, że pani Nina nie skończyła szkoły aktorskiej. Prawda była jednak zupełnie inna. Andrycz, powracając z Kijowa, nie miała 12 lat, jak twierdziła, tylko 17 i niemal od razu przystąpiła do matury. Co dziwne, nikt jednak z osób opisujących jej życie nie zaczął od sprawdzenia daty urodzin aktorki, co wyjaśniłoby wiele tajemnic.

Przyszła premierowa PRL była córką prawnika, Eugeniusza Andrycza, i Marii von Gröning. Po wybuchu pierwszej wojny światowej ojciec został zmobilizowany do armii rosyjskiej. Nina jednak dobrze go zapamiętała, co powinno raczej dziwić, gdyby faktycznie przyszła

siedlonych na wschód przed nadejściem wojsk państw centralnych. Mogli się udać do krewnych do Kijowa, gdzie mieli spędzić najbliższe 12 (a nie 10) lat.

TAJEMNIC CZĘŚĆ DALSZĄ

„Pamiętam miasto – wspominała aktorka po latach – które przechodziło z rąk do rąk, raz byli w nim czerwoni, raz biali. Na placu odbywały się egzekucje, których oczywiście nie oglądałyśmy. Na całe życie zapamiętałam jednak krew na śniegu. Bandy grabiły domy, przyszli też do nas. Bałyśmy się z mamą piekielnie. Pamiętam, jak mama, która była jeszcze młoda i bardzo ładna, poprosiła jednego

Kijów zajęła armia Edwarda Śmigłego-Rydza, a gdy rozpoczęła odwrót, towarzyszyły jej tysiące Polaków ewakuujących się na zachód.

Raczej na pewno można wykluczyć pozytywny stosunek matki aktorki do bolszewików. Żadna kobieta mająca dzieci nie miałaby ochoty, by dzieci dorastały w kraju rządzonego przez komunistów. Czy zatem w grę wchodziły sprawy osobiste? Nie wiemy, jak układały się stosunki Marii z mężem. Czy małżeństwo było udane, czy też niekoniecznie? Podobno bardzo tęskniła za mężem. Ale czy można wierzyć w relację pani Niny?

Czy zatem w Kijowie matka aktorki pozostała wierną żoną, czy też związała się z kimś, kto chciał pozostać nad Dnieprem? A może nie chciała wracać do Polski i spotkać się z mężem? Na te pytania nie znajdziemy niestety odpowiedzi.

Nie zmienia to faktu, że rodzina pozostała w Kijowie, który ostatecznie opanowali bolszewicy.

SOWIECKA SZKOŁA

Po zwycięstwie w wojnie domowej bolszewicy przez pewien czas prowadzili względnie umiarkowaną politykę wobec polskiej mniejszości narodowej. Nasi rodacy posiadali autonomię językową, a na terenie ZSRS działały gubernialne i rejonowe Biura Polskie. Oczywiście zadaniem ich urzędników było doprowadzenie do powstania polskiego społeczeństwa socjalistycznego.

Sowiecki Kijów nie był jednak łatwym miejscem do życia. Zamożni krewni z dnia na dzień stali się żebrakami, na szczęście matce Niny udało się znaleźć zatrudnienie w charakterze tłumacza. Nina chodziła do szkoły, a potajemnie uczęszczała również na lekcje religii. Polskiego uczyła ją matka w domu.

W Kijowie panowała bieda, ale właśnie wówczas Nina zainteresowała się teatrem.

„[...] głodujący mieli dwa abonamenty – jeden do przewspiania opery, drugi do przewspiania teatru dramatycznego. Jako dziewczynka widziałam wszystkie piękne spektakle – »Fausta«, Dostojewskiego – połowy wtedy nie rozumiałam, ale i tak bardzo mi się spodobało”.

Dziewczynka recytowała wiersze i musiała przejawiać talent, gdyż rówieśnicy chętnie jej słuchali. Miało to przełożenie na popularność w szkole, a co za tym idzie – na lepsze warunki bytowe.

Kijowskie tajemnice Niny Andrycz

na świat w listopadzie 1915 r. Dalsze wspomnienia aktorki są jeszcze bardziej zaskakujące, gdyż twierdziła, że w 1917 r. matka postanowiła odwiedzić zamożnych krewnych w Kijowie. Wraz z Niną, jej bratem Aleksandrem i własną matką oraz służącą udała się nad Dniepr.

To oczywiście nieprawda, gdyż w 1917 r. Brześć znajdował się w rękach niemieckich. Podróż do Kijowa oznaczałaby przekroczenie linii frontu, co dla kobiety z dwojgiem małych dzieci i staruszką (plus służącą) było raczej niemożliwe. Zatem najprawdopodobniej rodzinę Andryczów dotknął w 1915 r. los wielu tysięcy Polaków przymusowo wy-

z bandziorów, żeby nie zabierał jej zegarka, pamiątki po mężu, który jest w Polsce. I ten bandzior zabrał jakąś szubę, palto, a zegarek zostawił”.

Pani Andrycz twierdziła, że po przyjeździe rodziny do Kijowa wybuchła rewolucja i granice zostały zamknięte, przez co powrót do Polski stał się niemożliwy. Faktycznie, w ciągu trzech lat Kijów zmieniał swoich właścicieli aż 19 razy. Ale wiadomo, że wyjazd z Kijowa nie stanowił jednak problemu, uczynili tak Szymanowski, Iwaszkiewicz, Fertner, Jaracz, Osterwa i wielu innych. Komunikacja z Warszawą była nieco utrudniona, ale możliwa. Zresztą w maju 1920 r.

„Mówiąc wiersze, zdałam sobie sprawę, że mam pewną władzę nad rówieśnikami, że nikt się nie wierci, nie gwizdże, że mnie słuchają. Pomyślałam, że jestem niezwykłą istotą i że trzeba wyciągnąć z tego wnioski. Zauważyłam też, że jak występowałam, to byłam lepiej traktowana, dostawałam lepszy »pajok« na drugie śniadanie. Nie chcę naginać faktów, ale wiem, że już wtedy rozumiałam, że będę aktorką. To mnie też trochę wyrwywało z tej szarżyzny, z tego głodu, nędzy, strachu, rozstrzeliwań. Bo wojna domowa to jest głód i strach”. Po latach Andrycz znacznie ubarwiała swoją relację. Podobno odgrywając jakąś scenę teatralną na podwórku, miała bezwiednie wykrzyczeć słowo „La Liberté”, co usłyszał, a co dziwniejsze, zrozumiał, dozorca. Stróże faktycznie byli z reguły na usługach GPU, ale raczej nie znali francuskiego. Poza tym zamiast donieść przełożonym (zakładając, że jednak zrozumiał), miał przyjąć na skargę (!) do matki Niny. Ta natomiast przekonała go artykułem z „Prawdy”, gdzie stwierdzono, że bolszewicy popierają sztukę teatralną...

Bardziej prawdopodobny wydaje się natomiast opis lekcji religii i wiekowego polskiego kapłana.

„Ksiądz Szymon był już starszym – emerytem, więc nie wzbudzał zainteresowania dookolnych »politruków«. Podarował mi sfatygowany egzemplarz czterech Ewangelii i udzielił następującej rady:

»Moje dziecko, jak Ciebie jakieś лихо dopadnie i przycisnie, to ty nie wołaj głośno: «O Jezu Chryste!», bo wtedy i najgłupszy czekista zrozumie, o Kogo chodzi. Westchnij sobie tylko i szepnij w duchu: «Immanuel», co oznacza: «Bóg jest z nami», zobaczysz, poskutkuje».

Niebawem Nina miała okazję zastosować tę radę, gdyż zauważano ją, jak wychodziła po nabożeństwie z kościoła konkatedralnego. Została wezwana do „szkolnego politruka”, zatem przed wejściem szepnęła „Immanuel”. Oczywiście została zganiona za „burżuazyjne przeżytki”, czyli za wiarę, że Bóg istnieje. Przyznała, że osobiście czuje, iż „Bóg gdzieś istnieje”. Jeżeli relacja z tej rozmowy jest prawdą, to szkolny czekista zachował się względnie spokoj-

nie. Stwierdził, że „wszystko to razem są dziecinne mrzonki”, i wyraził nadzieję, że „szybko wywietrzeją”. Dodał również, że nie będzie upierał się przy karze, gdyż Nina „uczyła się dobrze”.

OPERA, BALET I FILM W SOWIECKIM KIJOWIE

W mieście pojawiły się poważne problemy z żywnością, ale w zamian tego władze oferowały przeżycia duchowe.

„Młody Związek Sowiecki – wspominała Andrycz – odziedziczył po zamordowanej matce Rosji fantastyczny Balet, świetną Operę z Szalapinem na czele oraz Teatr Dramatyczny Stanisławskiego. [...] Mama jako kobieta pracująca dostawała ulgowe abonamenty do Opery i do Dramatu”. Ponownie pani Ninie trochę pamięć nie służyła, gdyż Szalapin opuścił ZSRS w 1922 r., zatem nie śpiewał zbyt długo dla czerwonych. Natomiast Stanisławski faktycznie pozostał do końca życia w sowieckim raju, a sztukę baletową władze z Kremla utrzymywały na najwyższym poziomie.

„Moje pierwsze zetknięcie z zaczarowanym światem Sztuki – opisywała Andrycz – nastąpiło w Operze. Usłyszałam i zobaczyłam »Lohengrina«, a szedł mi właśnie dziewiąty rok. [...] Muzyka Wagnera przetoczyła się przez moje nerwy z piorunami”. Oczywiście może dziwić, że

dziewięcioletnie dziecko zachwycało się Wagnerem, ale warto pamiętać, że Andrycz miała wówczas co najmniej 14 lat. Dlatego też można uwierzyć, że rok później zrobił na niej ogromne wrażenie „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego. Wszystko stanie się bardziej zrozumiałe, jeżeli czytając wspomnienia aktorki, będziemy dodawali pięć lat do podawanego przez nią wieku.

Bardziej rozumiała wydaje się natomiast fascynacja filmem, a szczególnie obrazami z Polą Negri. Nina wiedziała, że aktorka jest jej rodaczką, dzięki czemu czuła jeszcze większy zachwyt. A olśniewająca uroda gwiazdy dodawała tylko blasku tej fascynacji.

POWRÓT

„W tym czasie – relacjonowała Andrycz – zniewolona i świadomie zubażana przez Moskwę Ukraina, tak jak wszystkie inne republiki, już mogła skorzystać z dobrodziejstwa NEP-u, czytając

Nowej Ekonomicznej Polityki. Mówiąc po ludzku, partia musiała zezwolić na wolny handel. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszędzie pojawiły się bułki, rogaliki, masło, twaróg, dżem, chałwa, miód oraz inne, po prostu niewyobrażalne wspaniałości”.

NEP został wymuszony przez tragiczną sytuację gospodarczą Rosji Sowieckiej. Był to częściowy powrót do gospodarki rynkowej.

Widać, że po latach pamięć jej nie służyła. NEP wprowadzono bowiem w 1921 r., a nie tuż przed opuszczeniem przez rodzinę Rosji Sowieckiej, co nastąpiło w 1927 r. Wówczas bowiem miał ich odnaleźć Eugeniusz Andrycz i zorganizować powrót do kraju. Podobno pomagać mu miał w tym jego starszy brat, Czesław, pracujący w MSZ. Dlaczego jednak zlokalizowanie rodziny zajęło tak dużo czasu? Czy znów nie wiemy o pewnych sprawach rodzinno-prywatnych? Nie jest to wykluczone, tym bardziej że w tych latach niemal normalnie działał kontakt korespondencyjny pomiędzy Polską i ZSRS.

Podobno Nina nie była zachwycona perspektywą powrotu. Polubiła Kijów, miała tutaj przyjaciół, a szczególnie smakowały jej napoleonki, które pojawiły się w kawiarniach.

„Ale tak czy owak – przekonywała ją babcia – NEP zlikwidują i twoje napoleonki się skończą. Ale się nie martw: w Polsce, co jak co, ale ciastka bywają nawet lepsze niż w Paryżu. [...] Na pewno będzie nam tam lepiej niż w tej barbarii pseudoproletariackiej”.

Andryczowie ponownie zamieszkali w Brześciu, ale rok później Eugeniusz zmarł na gruźlicę. W tym czasie Nina już zdawała maturę, a następnie rozpoczęła studia aktorskie. Pod okiem Arnolda Szyfmana stworzyła wspaniałe kreacje, a w pamięci widzów pozostała jako Solange z „Lata w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza. Premiera utworu uczyniła z niej gwiazdę, miała wówczas 25 lat. Natomiast dalsze losy aktorki to już temat na zupełnie inną opowieść i inną książkę. Tam też jest wiele spraw do wyjaśnienia i sprostowania...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst to fragment książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Najdalsze kresy. Ostatnie polskie lata” (Frona). W rozdziale wykorzystano cytaty z książek Niny Andrycz „Bez początku, bez końca” oraz „Patrzę i wspominam”.



SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK
„NAJDALSZE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA”
FRONA



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W cieniu Hitlera

„Młody człowieku, ty nie wierzysz w Boga! W żadnym wypadku nie wolno ci przyjąć święceń kapłańskich!”

Tak – według legendy – miał powiedzieć pewien mądry ksiądz młodemu Josephowi Goebbelsowi. Goebbels niestety zastosował się do tej rady i został narodowym socjalistą. Wybór ten otworzył przed nim drzwi do zawrotnej kariery. Niepozorny, zakompleksiony kuternoga stał się jednym z najważniejszych dygnitarzy III Rzeszy.

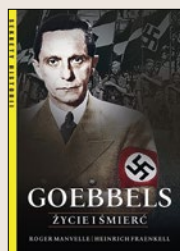
Posiadał ogromną władzę, sypiał z najpiękniejszymi aktorkami, błyszczał na balach i rautach. Aż wreszcie spełniło się jego marzenie – został kanclerzem Rzeszy. Następcą Führera. Długo się jednak tym stanowiskiem nie nacieszył. Raptem kilka godzin. 1 maja 1945 r. zginął śmiercią samobójczą na gruzach Berlina.

Wcześniej zastrzelił swoją żonę, Magdę.

Na jego polecenie zamordowano również... sześcioro ich dzieci. Był to zaiste akt szalonego bestialstwa. Goebbels uznał jednak, że życie na świecie, w którym nie ma Hitlera i narodowego socjalizmu, nie ma sensu...

Historię wstępu i upadku Josepha Goebbelsa w zajmujący sposób opowiedzieli Roger

Manvell i Heinrich Fraenkel. „Kariera Goebbelsa nie ma precedensu – piszą autorzy – gdyż wykreowała go współczesna propaganda – prasa, radio, film, głośniki uliczne i skomplikowana machina odpowiadająca za organizację, dyscyplinę i dokumentowanie masowych wieców. Naszą obecną wiedzę o tej dziedzinie zawdzięczamy m.in. Goebbelsowi, mistrzowi technik, form i metod uprawiania propagandy. Radio i film dźwiękowy były nowościami w czasie, gdy postanowił je wykorzystać, by omotać Niemców na tyle skutecznie, że oddali władzę Hitlerowi. Aby zrozumieć w pełni, jak naziści zdołali osiągnąć swój cel w tak krótkim czasie, nie wolno się skupiać wyłącznie na osobie Hitlera, lecz należy poświęcić równie dużo uwagi osobliwemu, odpychającemu, niebezpiecznemu, a jednocześnie fascynującemu człowiekowi, jakim był Goebbels”.



★★★★★
**ROGER MANVELL,
HEINRICH
FRAENKEL**
**„GOEBBELS. ŻYCIE
I ŚMIERĆ”**
RM

Według Manvella i Fraenkela Goebbels zawsze znajdował się w cieniu Hitlera. I przez to jego wielka rola była przez lata niedoceniana. Tymczasem bez jego zdolności brunatna ideologia zapewne nigdy nie zdołałaby zapanować nad Niemcami. A wtedy historia świata popłynęłaby innym korytem. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Coca-cola, cukier i dorsze

Jak powszechnie wiadomo, komuniści uważali coca-colę za imperialistyczny wynalazek, który w żadnym wypadku nie dorównywał wschodnioeuropejskim napojom z kwasem chlebowym na czele. Wszystkich przebił jednak Adam Ważyk, który był autorem „Piosenki o coca-cola”, uznając ją za groźny narkotyk wywołujący niebezpieczne stany świadomości:

Autorką hasła

„Coca-cola to jest to!” była Agnieszka Osiecka

„Po coca-cola błogo, różowo / za parę centów amerykańskich / śnił się nam śmierć atomową / pięć kontynentów amerykańskich / Po coca-cola błogo, różowo!”

Czasy się jednak zmieniły i gdy władzę przejęła ekipa Edwarda Gierka, nastąpiło otwarcie PRL na Zachód. Uzyskano zgodę Kremla na zachodnie kredyty, dzięki czemu do kraju popłynęły pieniądze z zagranicznych pożyczek. Znalazło to przełożenie na inwestycje: licencję na małego fiata, Centralną Magistralę Kolejową, Hutę Katowice, trasę szybkiego ruchu z Warszawy do Katowic (tzw. gierkówkę), rozwój budownictwa mieszkaniowego. Na krajowym rynku pojawiły się papierosy Marlboro i magnetofony kasetowe,

a w sklepach Pewexu można było nabyć zachodnie towary za bony walutowe. Zwiększyła się też liczba legalnych wyjazdów za żelazną kurtynę, a nastroje poprawiały sukcesy kadry piłkarskiej Kazimierza Górskiego, za którą nie pozostawali w tyle siatkarze Huberta Wagnera.

W tym wszystkim nie mogło zabraknąć także licencyjnej produkcji coca-coli, którą zainaugurowano 19 lipca 1972 r. Napój nie był tani, za butelkę o pojemności 0,25 l trzeba było bowiem zapłacić 5 zł, do czego dochodziła jeszcze kaucja w wysokości 3 zł (orazada kosztowała 1,80 zł). Nie zmieniło to jednak faktu, że napój od razu uzyskał ogromną popularność, a autorką hasła reklamowego („Coca-cola to jest to!”) była Agnieszka Osiecka. Nie otrzymała zresztą za to żadnego wynagrodzenia i dopiero kilka lat później Daniel Passent nakłonił ją, by upomniała się o honorarium. Takie faktycznie też otrzymała, ale nie było specjalnie wysokie i w niczym nie dorównywało należności za hasło reklamowe cukru, które przed wojną wymyślił Melchior Wańkowicz („Cukier krzepi”). Pisarz zainkasował bowiem wówczas aż 5 tys. zł (przedwojennych), czyli po 2,5 tys. za każde słowo. Inna sprawa, że jego kolejna „reklama” ograniczyła się do prywatnego grona, gdyż wysmiewał państwową propagandę zachęcającą społeczeństwo do konsumpcji ryb. Dlatego hasło „Jedzcie dorsze, g.... gorsze” pozostaje znane tylko specjalistom. ©©

Bunt przeciw Bidenowi



Nie minęło jeszcze 200 dni, od kiedy Joe Biden jest amerykańskim prezydentem, a przez co najmniej 21 z nich, czyli mniej więcej raz na tydzień, grzmi o tym, że demokracja w Stanach Zjednoczonych jest zagrożona. Zauważył to nawet sprzyjający demokratom dziennik „The Washington Post”. Biden powtarza więc wciąż jeden z głównych argumentów opozycji z kampanii przedwyborczej, jakby nie zauważając, że od ponad pół roku w Białym Domu mieszka już on, a nie jego poprzednik. Z najnowszych sondaży wynika więc, że rzeczywiście dwie trzecie Amerykanów uważają, iż demokracja jest zagrożona, ale w tej grupie zdecydowanie przeważają republikanie, a nie demokraci. Z poglądem tym zgadza się niemal 9 na 10 zwolenników Donalda



Jacek Przybylski

Stany Zjednoczone nie były tak bardzo podzielone od czasów wojny secesyjnej – skarży się sam prezydent USA, nie zauważając, że polityka jego administracji jeszcze zwiększa polaryzację wśród Amerykanów. Konserwatyści nie zamierzają jednak poddawać się lewicowemu dyktatowi i tam, gdzie to możliwe, z sukcesami walczą o tradycyjne wartości

Trumpa. Z przeprowadzonego pod koniec czerwca sondażu wynika zaś, że mniej więcej jedna trzecia Amerykanów wciąż jest przekonana, że Biden przeprowadził się do Białego Domu w wyniku fałszerstw wyborczych na masową skalę. 14 proc. pytanym w badaniu Uniwersy-

tetu Monmouth deklaruje zaś, że nigdy nie zaakceptują Bidena jako prawowitego prezydenta.

UNIEMOŻLIWIĆ FAŁSZERSTWA

– To najbardziej istotny test dla naszej demokracji od wojny domowej – ostrze-



FOT. DREW ANGERER/CETTY IMAGES

republikanów są „godnymi pożałowania” próbami „kradzieży wyborów” i ograniczenia wolności obywatelskich czarnoskórych Amerykanów. Zmiany dotyczą m.in. ograniczenia wydawania kart do głosowania osobom, które np. zapomniały wziąć ze sobą dokument potwierdzający ich tożsamość, co szczególnie oburza lewicę, bo dziwnym trafem akurat przedstawiciele ich elektoratu są bardziej „zapominalscy”. Wielu głosujących na demokratów Latynosów w ogóle nie posiada zaś prawa jazdy, paszportu czy innego dokumentu ze zdjęciem (np. pozwolenia na posiadanie broni).

W wielu stanach republikanie zaproponowali też skrócenie możliwości wcześniejszego głosowania, zamknięcie całodobowych punktów wrzucania kart wyborczych lub chociaż ograniczenia liczby skrzynek stojących w różnych punktach miasta, aby móc lepiej kontrolować bezpieczeństwo oddawanych głosów.

Oczywiście sami demokraci również próbowali zmienić prawo wyborcze, umożliwiając m.in. głosowanie korespondencyjne każdemu bez konieczności podawania przyczyny – ustawę zwaną For the People Act republikanom udało się jednak odrzucić w senacie USA. – Partia Demokratyczna chce napisać od nowa podstawowe zasady amerykańskiej polityki dla swych partyjnych korzyści – przekonywał republikański senator Mitch McConnell, nazywając propozycję demokratów „tchórzliwą kalkulacją polityczną”, ukazującą „pogardę dla narodu amerykańskiego”.

Partia prezydenta Bidena zdaje sobie sprawę, o jak wysoką stawkę toczy się gra. Joe Biden zwyciężył w trzech kluczowych stanach, mając niecałe 43 tys. głosów więcej niż Donald Trump.

Gdy demokratom brak już jakichkolwiek merytorycznych argumentów, posuwają się do działań, które poziomem przypominają bardziej zabawy bogatych przedszkolaków, jak np. niedawna ucieczka prywatnym samolotem demokratycznych deputowanych z Teksasu do Waszyngtonu, wymyślona, aby zablokować możliwość przegłosowania zmian przepisów.

– Jednym z powodów, dla którego kandydowałem na prezydenta, była chęć zjednoczenia kraju. Ameryka nigdy nie była tak podzielona, jak jest dzisiaj, od wojny secesyjnej – mówił prezydent Joe Biden również pod koniec czerwca w Raleigh w Karolinie Północnej, narzekając na swego poprzednika Donalda Trumpa.

Oczywiście tezę, że to Trump ponosi winę za podział Ameryki, można włożyć między bajki o Tęczowym Kapturku. Na coraz ostrzejszą polaryzację w Stanach Zjednoczonych politolodzy zwracają bowiem uwagę już mniej więcej od pół wieku. Styczniowe starcia na Kapitolu też nie były efektem jedynie tweetów Trumpa, lecz wynikiem wielu dekad rosnących podziałów, do których przyczyniły się, rzecz jasna, obie strony politycznej barykady.

PREZYDENT, KTÓRY DZIELI

Poza tym, jak na polityka, który tyle razy przekonywał, że zamierza zjednoczyć zwykłych Amerykanów, Joe Biden jest niezwykle konsekwentny w działaniach, które jeszcze bardziej dzielą mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

Prezydent i jego ekipa błyskawicznie pogłębiają podziały, forsując m.in. kolejne prawa dla społeczności LGBTQI+ oraz prowadząc nieskuteczną i kontrowersyjną politykę imigracyjną. Tymczasem dwie trzecie Amerykanów wołały rozwiązania wprowadzone za prezydentury Trumpa, zakładające np., że osoby starające się o azyl w USA do czasu rozpatrzenia wniosku musiały pozostawać na terenie Meksyku. Biden uznał to rozwiązanie za niehumanitarne i pozwolił czekać na zgodę na rozpatrzenie wniosku już na terenie Ameryki, co niezwykle ucieszyło wszystkie gangi zajmujące się przemytem ludzi do USA. Chociaż polityka Trumpa była skuteczna, a liczba nielegalnych przypadków przekroczenia granicy znacząco spadła, Biden pierwszego dnia swej prezydentury anulował konstrukcję muru na granicy z Meksykiem. Pod koniec kwietnia administracja Bidena ogłosiła zaś, że anuluje wszystkie projekty budowy muru granicznego, które były subsydiowane z funduszy wojskowych.

Błędy popełnione przez obecną administrację w ciągu zaledwie pół roku rządów sprawiły, że liczba rejestrowanych przestępstw na granicy wzrosła do najwyższego poziomu od 15 lat, a liczba dzieci, które są łapane podczas próby samodzielnego przekroczenia granicy z USA, osiągnęła rozmiary niespotykane nigdy dotąd w historii USA.

Gubernatorzy największych republikańskich stanów, takich jak Teksas i Floryda, próbują ratować sytuację, wysyłając na granicę członków Gwardii Narodowej, a także zbierając prywatne datki na kontynuację projektu budowy granicznego muru. Republikański

gał Joe Biden w Filadelfii, nawiązując do uchwalanych przez republikańskie władze nowych przepisów, które zwiększają kompetencje stanowych komisji wyborczych i uściślają prawo tak, aby wykluczyć możliwość popełniania oszustw wyborczych. Nowe prawa wyborcze przyjęły stanowe legislatury w kilkunastu stanach, m.in. w Iowa, Georgii czy Arizonie, a wiele kolejnych obraduje już nad własnymi reformami.

Chodzi m.in. o rozszerzenie kompetencji obserwatorów danej partii, zniesienie możliwości oddawania głosów bez wychodzenia z samochodu, ograniczenie katalogu osób, które mogą zbierać po domach karty wyborcze, a także zmniejszenie ryzyka fałszerstw przy okazji głosowania korespondencyjnego. Demokraci grmią, że tego typu działania

gubernator Teksasu Greg Abbott oznajmił w czerwcu, że choć za zabezpieczenie granicy odpowiedzialny jest rząd federalny, to władze Teksasu nie mogą siedzieć bezczynnie, podczas gdy błędy polityki Bidena prowadzą do zaost్రzenia się kryzysu humanitarnego w jego stanie.

Zarówno prezydent Biden, jak i inni lewicowi politycy oraz liberalne media przyczyniają się do coraz większej polaryzacji, niebezpiecznie nakręcając nagonkę przeciwko policji i żądając obcięcia finansowania dla stróżów prawa po zabójstwie przez białego policjanta naćpanego czarnoskórego kryminalisty George'a Floyda. Na efekty nie trzeba było długo czekać: w stanach rządzonych przez Partię Demokratyczną i zwolenników marksistowskich ugrupowań, takich jak Black Lives Matter, przestępczość błyskawicznie wyskoczyła w górę, a szukający bezpieczeństwa mieszkańcy rządzonych przez demokratów stanów musieli nagle rozpocząć poszukiwania nowego miejsca do życia.

Nierozwiązane od dekad problemy rasowe narastają, powodując strach po obu stronach politycznej barykady. Biali wyborcy nie bez powodu obawiają się kolejnych zwariowanych pomysłów liderów BLM, żądających rekompensat za niewolnictwo czy wręcz odbierania domów białym rodzinom na rzecz czarnych. Czarnoskórzy mają z kolei dość dziesiątek lat zamykania pod dyktando rzeczywistych problemów ich społeczności.

A problemy rasowe to przecież tylko jedna z wielu sfer, które są pożywką nie tylko dla lewicowych i prawicowych populistów, lecz także dla lewicowych i prawicowych mediów, w których przedstawiany świat jest do siebie coraz mniej podobny.

PRAWO DO WOLNOŚCI

Joe Biden próbuje więc w przyjaznych sobie mediach wszystkie niepowodzenia swojego rządu zrzucić na poprzednika. Zwykli Amerykanie mają już jednak dość politycznego marketingu, administracji, która skupia się na propagowaniu lewicowej ideologii, przyznawania dalszych przywilejów środowiskom LGBTQ+, a kompletnie nieradzącej sobie z kolejnymi kryzysami: imigracyjnym, zdrowotnym czy gospodarczym (dolar od lat nie tracił na wartości w takim tempie jak za rządów Bidena).

W ramach nieudolnych prób „zjednoczenia” Ameryki administracja nowego prezydenta próbuje też uderzać w prawo

do posiadania broni, które dla wielu Amerykanów, często nieufnych wobec rządu federalnego, jest po prostu święcią. Prawo to przyznaje zresztą obywatelom amerykańska konstytucja.

Republikańskie stany robią więc, co mogą, aby uniemożliwić administracji Bidena ograniczanie prawa mieszkańców do samoobrony. W czerwcu wspomniany już gubernator Greg Abbott podpisał ustawę, która umożliwia każdemu mieszkańcowi Teksasu powyżej 21. roku życia noszenie broni palnej w miejscach publicznych bez posiadania pozwolenia. Stare amerykańskie powiedzenie mówi bowiem: „Bóg stworzył ludzi, a Samuel Colt uczynił ich równymi”. Broń dla wielu Amerykanów jest więc symbolem wolności i republikańscy gubernatorzy doskonale o tym pamiętają. Podobne decyzje podjęli w tym roku również gubernatorzy takich stanów jak Iowa czy Tennessee, a przepisy dotyczące swobodnego dostępu do broni palnej obowiązują już w 20 stanach Ameryki.

Konserwatyści w USA mają też dość coraz bardziej szalonych przywilejów dla społeczności LGBTQ+. Biden już pierwszego dnia urzędowania wydał stosowne rozporządzenie, a zdominowana przez demokratów Izba Reprezentantów uchwaliła w tym roku ustawę uznawaną za najbardziej przyjazną LGBTQ+ w całej historii Ameryki.

1 czerwca republikański gubernator Florydy Ron DeSantis podpisał więc ustawę nakazującą, by w kobiecych sportach w szkołach i na uczelniach wyższych brały udział tylko kobiety i dziewczęta na podstawie swej płci biologicznej wpisanej do aktu urodzenia. – Na Florydzie dziewczynki będą uprawiać sporty dziewczęce, a chłopcy sporty chłopięce – oznajmił DeSantis, budząc oburzenie wśród tęczowych aktywistów. – Jeśli chodzi o uprawianie sportu, to będziemy bazować na biologii, a nie na ideologii – podkreślił gubernator, budząc, rzecz jasna, oburzenie wśród tęczowych ideologów, narzekających, że nowe prawo prowadzi do dyskryminacji osób transpłciowych. Republikanie zauważają jednak, że „transpłciowe спортсменki” miałyby niesprawiedliwą przewagę nad konkurentkami ze względu na posiadane możliwości fizyczne. I to dopiero byłaby dyskryminacja.

Floryda nie była zresztą pierwszym stanem, który wprowadził podobne ograniczenia. Takie przepisy w ostatnich miesiącach wprowadzono w 20 stanach

rządzonych przez konserwatystów, w tym w Alabamie, Arkansas, Missisipi, Montanie, Tennessee i Wirginii Zachodniej.

ROSNA SZANSE NA OCHRONĘ ŻYCIA

Najważniejszym zadaniem stojącym przed konserwatywnymi Amerykanami jest jednak odwrócenie trendu łagodzącego przepisy dotyczące aborcji, która w całej Ameryce jest legalna od 1973 r. Sąd Najwyższy w sprawie Roe vs. Wade orzekł wówczas, że prawo kobiety do zabijania swych nienarodzonych dzieci wynika z praw gwarantowanych przez konstytucję. obrońcy życia od lat próbują zmienić ten stan rzeczy. I wreszcie najważniejszy sąd w Ameryce zgodził się w tym roku rozpatrzyć sprawę aborcyjną z Missisipi. Prawo uchwalone w tym stanie w 2018 r. zakazuje aborcji po 15. tygodniu ciąży, z wyjątkiem „nagłych przypadków medycznych lub poważnych nieprawidłowości płodu”. Dzięki wprowadzeniu do Sądu Najwyższego trojga konserwatywnych sędziów obrońcy życia mają szansę na obalenie wyroku z 1973 r. Ogłoszenie orzeczenia spodziewane jest w przyszłym roku, ale już w tym roku konserwatywni gubernatorzy zaczęli wprowadzać ograniczenia dostępu do aborcji. 1 września w Teksasie ma wejść zakaz aborcji po wykryciu bicia serca płodu. To istotna zmiana, ponieważ obecnie w Teksasie aborcji bez ograniczeń można dokonywać do 20. tygodnia ciąży, a więc do momentu, gdy nienarodzone dziecko waży już ok. 250 g, mierzy ok. 17 cm i doskonale słyszy głos matki oraz osób przebywających w jej pobliżu.

Przestrzegania zakazu nie będą pilnowali jednak sami urzędnicy. Ustawa pozwala jednak dowolnej osobie pozwać placówkę dokonującą później aborcji lub każdego, kto miał z nią związek, i domagać się odszkodowania. Zgodnie z nowym prawem takiego pozwu nie będzie można złożyć w przypadku kobiet z chorobami zagrażającymi życiu ich lub dziecka, ciąż, w których u płodu stwierdzono ciężkie wady, a także kobiet, które zaszły w ciążę w wyniku gwałtu lub stosunków kazirodczych. Ekstremiści żyjący z zabijania nienarodzonych dzieci nie zamierzają jednak składać broni. W połowie lipca 10 klinik aborcyjnych, pięciu profesjonalnych aborcjonistów oraz pięcioro „liderów proaborcyjnych” złożyło pozew zbiorowy, domagając się od sądu wstrzymania obowiązywania ustawy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PIGUŁKI BEZ RECEPTY

Brytyjska agencja zajmująca się lekami – Medicine and Healthcare products Regulatory Agency – za-
twierdziła nową klasyfikację pigułek antykoncepcyjnych. Od teraz będą one mogły być sprzedawane na Wyspach bez potrzeby wystawiania recepty od lekarza. Wystarczy „konsultacja” z farmaceutą w aptece. Zdaniem przedstawicieli agencji MHRA farmaceuci mają „niezbędne kompetencje”, by ocenić, kiedy pigułka antykoncepcyjna jest bezpieczna dla kobiety. „Wielkie zwycięstwo kobiet i dziewcząt” – stwierdził dr Edward Morris, szef Royal College of Obstetricians and Gynaecologists.



FOT. ADRIAN STOK

WPADLI, BO POLICJA ROZUMIAŁA

Dwaj funkcjonariusze z Berlina zatrzymali złodziei motocykli dzięki znajomości języka polskiego. Po zgłoszeniu o próbie kradzieży motocykla skontrolowali cztery osoby siedzące w samochodzie opisanym przez świadka. Podczas kontroli przysłuchiwali się szeptom pasażerów. Okazało się, że po polsku przekazywali sobie informacje, które policjanci zrozumieli. Dzięki temu odnaleźli szybko dostawczy pojazd, w którym zapakowane były skradzione motocykle. Motocykle zostały zarekwirowane, a złodziejska szajka trafiła do aresztu.

SUROGATKI DLA LGBT

Do tej pory macierzyństwo zastępcze (kobieta zgadza się urodzić dziecko dla innej pary), które zostało w Izraelu zalegalizowane w 1996 r., nie było dostępne dla par homoseksualnych. Dwaj panowie nie mogli więc w świetle prawa zostać rodzicami takiego dziecka. Środowiska LGBT walczyły jednak o prawne uznanie takiej sytuacji od 2015 r. Teraz się udało. Sąd Najwyższy w Izraelu orzekł, że należy przestać wykluczać z takiego rodzicielstwa pary homoseksualne i samotnych mężczyzn, gdyż jest to niezgodne z tamtejszą konstytucją. Przepisy zakazujące takim parom korzystania z usług surogatek mają zostać zniesione w ciągu sześciu miesięcy.

DISNEYLAND PRZEPRASZA MAMĘ

Turystka z Australii przyjechała do francuskiego Disneylandu. Kiedy próbowała nakarmić piersią swoje dziecko, interweniowało dwóch ochroniarzy tego przybytku. Uniemożliwili karmienie. Twierdzili, że to „szokuje turystów”. Turystka opisała sprawę na Twitterze. Wówczas dyrekcja Disneylandu publicznie ją przeprosiła i zaznaczyła, że działania ochroniarzy były niezgodne z przepisami. Podkreślono, że na terenie parku nie obowiązują żadne ograniczenia dotyczące karmienia dzieci. Głos zabrała też francuska minister zdrowia. Napisała, by „nie stygmatyzować matek”.

WYDAŁY ICH PIJANE BAWOŁY

Trzech indyjskich rolników zostało aresztowanych przez służby za nielegalną produkcję bimbrowa (zakazaną w stanie Gudżarat). Wszystko wydało się przypadkiem, kiedy jeden z farmerów zauważył dziwne zachowanie bawołów i wezwał weterynarza. Ten odkrył, że koryta z wodą wydzielają dziwny zapach. Woda zmieszana była z alkoholem. Na dnie koryt ukryte były butelki z bimbrem i część z nich pękła. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zakazane ładne kobiety

Heteroseksualni, homoseksualni, asekualni, niebierni, cispłciowi. Kobieta, mężczyzna i jeszcze 56 innych płci. A nie, 75 płci. A może więcej? Lepiej więcej. Nikt nie odważy się sprostować.

Trudno jest być w dzisiejszych czasach zwykłym uczniem, który musi się tego wszystkie nauczyć. Jeszcze trudniej jest być pedagogiem, który przez lata był przyzwyczajony do przekazywania wiedzy, a nie wysłanych z palucha teorii. Dziś jeśli nauczyciel biologii w Hiszpanii bezmyślnie upiera się, że płcie są tylko dwie, to musi liczyć się z surową karą.

Jak się okazuje, w czasach poprawności politycznej nawet życie komentatora sportowego pełne jest pułapek. Przekonał się o tym Boris Becker, dawna gwiazda niemieckiego tenisa. Ten sam Becker, który jako wielokrotny rozwodnik powinien zasłużyć na aplauz miłośników poliamorii i patchworkowych rodzin. Nawet on nie może jednak liczyć na taryfę ulgową.

Gdy na antenie BBC komentował na żywo turniej Wimbledonu, biedaczysko zobaczył Anett Böszörményi i kompletnie się zapomniał. Becker powiedział o niej, że – proszę wybaczyć, ale to dosłowny cytat – „jest bardzo

ładna”. Nie do wiary! Oczywiście agencja Kobiety w Sporcie błyskawicznie zaprotestowała, podkreślając, jak ohydne jest takie „uprzedmiotowienie kobiet”, i ubolewając nad tym, jak w takiej sytuacji mają poczuć się kobiety... Na szczęście telewizja BBC szybko wydała oświadczenie, podkreślając, że Becker nie chciał nikogo urazić. Nie wiadomo, jak zdruzgotana słowami tenisisty jest sama Anett. Zważywszy na liczbę zdjęć, które publikuje na Instagramie, być może już wcześniej usłyszała coś podobnego z ust jakiegoś męskiego potwora. Biedactwo... ©

Winne państwo, a nie Kościół



Olivier Bault

W Kanadzie siłowo asymilowano Indian do społeczeństwa tworzego przez białych kolonizatorów i ich potomków. Dlaczego teraz płoną kościoły, skoro odpowiadał za to system wprowadzony przez rząd tego kraju?



W Kanadzie płoną kościoły. Premier Justin Trudeau, choć akty niszczenia i wandalizmu potępia, „rozumie” gniew ich autorów. Jak zauważono na początku lipca w rozmowie z kanadyjskim socjologiem i publicystą Mathieu Bock-Côté w QUB Radio, tym razem Trudeau nie miał też w oczach. A przecież zwykle też nie szczędzi, gdy potępia i przeprasza w imieniu białych, heteroseksualnych Kanadyjczyków za krzywdy doznawane przez różne grupy. Tak było np. w 2017 r., gdy przepraszał w kanadyjskiej izbie gmin

za „systemowe” prześladowanie osób LGBTQ przez państwo. Bock-Côté zauważa też, że gdyby po zamachu na World Trade Center czy na Bataclan podpalano meczety, spotkałoby się to z powszechnym oburzeniem, natomiast w przypadku chrześcijańskich kościołów jest inaczej. Kanadyjskie media mało o tym mówią, a w mediach społecznościowych można nawet nierządkiem natknąć się na wyrazy zadowolenia wobec tego zjawiska. „Burn it all down” („Spalcie to wszystko”) – nawoływała 30 czerwca na Twitterze, odnosząc się do wieści o podpaleniu dwóch kolejnych

kościół, szefowa stowarzyszenia obrony swobód obywatelski British Columbia Civil Liberties Association (BCCLA). Od maja do pierwszej połowy lipca podpalono lub zniszczono co najmniej 20 kościołów na terenie kraju.

– Jest to wyraźnie antykościelna fala przestępstw motywowana nienawiścią, a mimo to Justin Trudeau, który zwykle jest pierwszy i najbardziej chętny do przeprosin, czekał tydzień, zanim cokolwiek powiedział, a na dodatek wyraził się dosłownie: „To nie jest droga, którą należy podążać” – skarżył się 8 lipca



Spalony katolicki kościół w Morinville Alta (Kanada).

Policja podejrzewa, że ktoś podłożył ogień

30 czerwca 2021 r. FOT. JASON FRANSON/THE CANADIAN PRESS/EAST NEWS

w amerykańskiej telewizji Fox News Ezra Levant, założyciel kanadyjskiego portalu informacyjnego „Rebel News”. Dodał: „Problem w tym, że na samej górze jest cisza albo bierne poparcie”.

ODKRYCIE GROBÓW DZIECI

Wzmoczenie ataków na kościoły chrześcijańskie – przeważnie, ale nie tylko, katolickie – rozpoczęło się po odkryciu dzięki pomocy georadarów nieoznaczonych grobów 215 dzieci na terenie byłego katolickiego internatu dla indiańskich dzieci Kamloops Indian Residential

School. Odkrycie ujawniła szefowa jednej z indiańskich nacji na terenie Kolumbii Brytyjskiej, na południowym zachodzie kraju. W przeciwieństwie do tego, co napisano w wielu mediach, nie jest to „masowy grób”, ale stare groby dzieci z początku XX w., które prawdopodobnie były kiedyś oznaczane drewnianymi krzyżami i które zostały dawno zasypane.

Szkoła w Kamloops była prowadzona przez Kościół katolicki od 1890 do 1969 r., kiedy przeszła pod zarządek rządu federalnego, ale już nie jako internat, aż do momentu jej ostatecznego zamknięcia w 1978 r. Szkołę prowadzili bezpośrednio misjonarze oblaci, a w latach 50. liczyła ok. 500 uczniów i była największą placówką w ramach federalnego systemu internatów dla dzieci indiańskich. Pod koniec XIX w. kanadyjski rząd wprowadził system obowiązkowego kształcenia dzieci rdzennej ludności w internatach, które były często bardzo oddalone od miejsca zamieszkania ich rodzin. Było to celowe działanie na rzecz siłowego przeobrażenia Indian w białe, anglosaskie społeczeństwo tworzone przez białych kolonizatorów i ich potomków.

Na początku XX w. szkoły te były skrajnie niedofinansowane. Śmiertelność wśród indiańskich dzieci była wysoka na skutek różnych epidemii, na które rdzenna ludność była notorycznie mało odporna. W ogóle w kraju śmiertelność wśród dzieci była w tamtych czasach bardzo wysoka, a wśród indiańskich dzieci – jeszcze wyższa. Kanadyjskie władze wydawały zresztą dużo mniej na zdrowie i edukację tych ostatnich.

W niedofinansowanych internatach dla Indian największe śmiertelne żniwo z powodu złych warunków mieszkaniowych i sanitarnych oraz często także z powodu niedożywienia dzieci zbierała gruźlica. Natomiast – jak można przeczytać w artykule opublikowanym 2 czerwca w kanadyjskiej gazecie „National Post” – fakt, że zmarłe dzieci chowano na terenie internatów lub w ich pobliżu, wynikał z polityki departamentu ds. indiańskich kanadyjskiego rządu w Ottawie, który nie zgadzał się na transport ciał zmarłych w ich rodzinne strony ze względu na koszty. Podobnie jak autorka odkrycia w Kamloops zarówno inni liderzy indiańscy, jak i znawcy tematu potwierdzili, że obecność wielu starych, niezidentyfikowanych grobów dzieci w pobliżu dawnych internatów jest znana i że odkrycie 215 ciał na terenie jednej

z tych szkół nie jest dla nich niczym zaskakującym.

W czerwcu 2021 r. w podobny sposób wykryto za pomocą georadaru 751 grobów w pobliżu internatu Marieval Indian Residential School, w prowincji Saskatchewan, w centralnej części kraju. Jednakże niektóre groby mogą należeć do członków lokalnego plemienia lub do ludzi spoza lokalnej społeczności, gdyż przeszukiwany teren był znanym miejscem pochówku i nie wiadomo na razie, ile z nich to groby byłych pensjonariuszy internatu.

W następstwie odkryć w Kamloops i Marieval różne lokalne społeczności i samorządy postanowiły odwołać obchody Dnia Kanady 1 lipca, organizowane na cześć zawiazania niezależnej od Wielkiej Brytanii konfederacji 1 lipca 1867 r. W miejscowości Winnipeg grupa lewicowych aktywistów, z których część manifestowała za pomocą flag, parasoli i tęczyowych ubrań swoje sympatie dla lobby LGBT, obalali pomnik królowej Wiktorii na znak protestu i solidarności z rdzenną ludnością. Tylko czy można mówić tutaj o odwecie pokrzywdzonych społeczności kanadyjskich Indian, skoro gniewni sprawcy wyglądają bardziej na typowych aktywistów skrajnej lewicy, od ruchu LGBT do antyfy? Zresztą to niepodległa Kanada, a nie Wielka Brytania prowadziła politykę przymusowej asymilacji indiańskich dzieci. Podobnie jak w sąsiednich Stanach Zjednoczonych tworzenie niepodległego państwa przez europejskich osadników znacznie zwiększyło presję na wyniszczenie rdzennej ludności lub jej całkowitą asymilację z białym społeczeństwem w nowym państwie.

Poza tym część spalonych kościołów należy do indiańskich katolików, anglikanów czy protestantów i to ich liderzy pierwsi apelowali o zaprzestanie tych ataków. Pomalowano też na czerwono pomnik papieża Jana Pawła II przed polskim kościołem w miejscowości Edmonton, choć odkrycie grobów dawnych internatów z polskimi katolikami nie ma nic wspólnego.

„KULTUROWE LUDOBÓJSTWO”

Haniebna polityka przymusowego wysyłania indiańskich dzieci do internatów, aby odciąć je od korzeni rodzinnych i kulturowych, była już przedmiotem prac specjalnej kanadyjskiej Komisji ds. Prawdy i Pojednania w latach 2008–2015. Końcowy raport tejże Komisji otwarcie mówił o polityce „ludobójstwa kulturowego”

prowadzonej przez Ottawę m.in. z wyko-
rzystaniem takich właśnie szkół. Ubole-
wać można, że Kościół katolicki, Kościół
anglikański oraz Kościoły protestanckie
miały swój udział w tym systemie, choć
rzeczywistość nie jest czarno-biała. Wśród
członków rdzennych plemion, którzy
odebrali edukację w tych placówkach,
są też i tacy, którzy uważają, że byli to
bardzo dobre szkoły, które dały im szansę
na lepsze życie. Tak twierdził m.in. znany
indiański dramaturg Tomson Highway
w wywiadzie dla „Huffington Post Canada”
w 2015 r. Powiedział nawet, że te dziewięć
lat spędzonych w internacie ojców oblatów
były najszcześniejszym czasem w jego
życiu.

Nie wszystkie szkoły zabraniały też
dzieciom używania rdzennych języków
czy tępiły kulturę uczniów. Archiwa
misjonarzy oblatów we francuskojęzycz-
nym Quebecu przytoczone w wydanej
w 2016 r. książce Henriego Gouleta
pt. „Historia katolickich internatów dla
Indian w Quebecu: determinująca rola oj-
ców oblatów” („Histoire des pensionnats
indiens catholiques au Québec : le rôle
déterminant des pères oblats”) ukazują
obraz misjonarzy oblatów jako zagorza-
łych obrońców języków i kultur Indian,
a system internatów jako odpowiedź na
potrzeby dzieci z plemion prowadzących
wędrowny tryb życia.

Zachowanie „indiańskiej mentalności:
ich obyczajów, ich tradycji, ich języka”
było z punktu widzenia misjonarzy ob-
latów z Quebecu sposobem na opieranie
się asymilacji z większością angielsko-
-protestancką. Co prawda, jak powiedział
mi Rémi Tremblay, publicysta, autor
książek o historii francuskojęzycznych
mieszkańcach Kanady, redaktor naczelný
magazynu „Le Harfang” i rzecznik fede-
racji rdzennych (francuskich) mieszkań-
ców Quebecu (Fédération des Québé-
cois de souche), stosunek do Indian na
terenach tej francuskojęzycznej, katolickiej
prowincji był od samego początku
bardziej przyjazny i mniej nastawiony
na dominację niż na terytoriach koloni-
zowanych przez Brytyjczyków – w więk-
szości anglikanów i protestantów.

Tremblay podkreśla także, że w więk-
szości przypadków zakony czy wspólnoty
religijne prowadzące internaty dla Indian
na terenie Kanady działały w dobrej
wierze, z potrzeby realizowania misji
ewangelizacji i edukacji dzieci z biednych,
zacończonych – przynajmniej w ich oczach
– społeczności. Jednakże w mainstreamo-

wych mediach kanadyjskich osoby, które
starają się dziś przedstawiać obraz nie-
zgodny z głównym przekazem o strasznej
krzywdzie wyrządzonej Indianom przez te
szkoły, stają się obiektem ostracyzmu i są
systematycznie oskarżane o to, że pochwa-
lają zbrodnię przeciwko ludzkości.

KTO KOGO MA PRZEPRASZAĆ?

Papież Franciszek ma się spotkać
w grudniu w Watykanie z delegacjami
tzw. Pierwszych Narodów, jak określa
się w Kanadzie ludy indiańskie, oraz
północnych Inuitów (Eskimosów). Libe-
ralno-lewicowy premier Justin Trudeau
uważa natomiast, że Franciszek powi-
nien przeprosić na kanadyjskiej ziemi za
rolę, którą Kościół odegrał w przeszłości
jako instytucja prowadząca internaty
dla indiańskich dzieci. Co ciekawe, ojciec
obecnego premiera, Pierre Trudeau,
również był premierem Kanady i to
w latach 1968–1979 oraz 1980–1984,
kiedy działał jeszcze system internatów
prowadzony przez kanadyjski rząd w ra-
mach „kulturowego ludobójstwa” Indian,
za który argentyński papież miałby dziś
przepraszać.

Jeśli natomiast chodzi o odpowie-
dzialność za wysoką śmiertelność dzieci
w szkołach z internatem dla rdzennej
ludności, to 9 czerwca telewizja CTV
News przypominała o raporcie państwo-
wego inspektora medycznego z 1907 r.,
którego ustalenia zostały opublikowane
w 1922 r. w książce pt. „Historia narodo-
wej zbrodni” („The Story of a National
Crime”). Raport inspektora departamen-
tu spraw wewnętrznych i spraw indiań-
skich Kanady wskazywał na problem
związany z gruźlicą wśród indiańskich
dzieci oraz na niewystarczające dofinan-
sowanie działania tych szkół ze strony
państwa. Autor raportu, dr Peter H.
Bryce, odwiedził 35 szkół z internatem
dla indiańskich dzieci, po czym napi-
sał, że wyglądało to „prawie tak, jakby
celowo stworzono warunki wybuchu
epidemii”. Raport niestety schowano do
szuflady, a – jak twierdzi historyk John
Milloy z Uniwersytetu Trent w prowincji
Ontario – jego autor był następnie długo
gnębiony przez przełożonych.

Tym samym słowa wypowiedziane
przez premiera Justina Trudeau: „Oczeku-
jemy, że Kościół weźmie na siebie odpo-
wiedzialność za swoją rolę”, a „jeśli Kościół
tego nie robi, to rząd dysponuje odpo-
wiednimi narzędziami”, mogą nieco dziwić.
Wpisują się one jednak w szerszy kontekst.

Odkąd stanął na czele rządu w 2015 r.,
ten najbardziej liberalno-lewicowy
premier w historii Kanady prowadzi
politykę wyraźnie niechętną Kościołowi,
choć oficjalnie sam jest katolikiem, po-
dobnie jak jego ojciec, który był autorem
legalizacji aborcji w tym kraju.

Według mojego rozmówcy z Quebe-
cu antychrześcijańska polityka Justina
Trudeau wynika z jego chęci tworzenia
społeczeństwa „postnarodowego”, jak sam
je nazwał, gdzie multikulturalizm, a nie
religia chrześcijańska ma być wyznacni-
kiem norm społeczno-kulturowych. Pod
rządami Justina Trudeau granice zostały
jeszcze szerzej otwarte na imigrację
z krajów nieeuropejskich, zalegalizowa-
no eutanazję i uzależniono możliwość
uzyskania przez organizacje pozarządowe
dofinansowania do pensji dla studentów
zatrudnianych sezonowo od podpisania
oświadczenia wyrażającego poparcie
dla prawa do aborcji, która w Kanadzie,
podobnie jak w komunistycznych Chinach
i Korei Północnej, jest dozwolona na żąda-
nie do samego końca ciąży.

Kanadyjski premier stanowczo
reaguje na każdy najmniejszy przejaw
„islamofobii”, a jednocześnie regularnie
uczestniczy w marszach LGBT i właśnie
ogłosił „sezon dumy” (gejowskiej, rzecz
jasna) rozciągający się na całe lato 2021 r.,
gdyż jeden tylko miesiąc dumy LGBT to
w jego mniemaniu stanowczo za mało.
Kanadyjski rząd federalny posiada nawet
specjalny „sekretnariat LGBTQ2”, w któ-
rym cyfra 2 odnosi się do „2-Spirit”, co
miałoby oznaczać Indian posiadających
jednocześnie duszę męską i duszę kobiecą
(jest to definicja, którą można znaleźć na
kanadyjskiej stronie rządowej).

Podczas pandemii COVID-19 Kanada
Justina Trudeau wyróżniła się nietuzin-
kowym zamordyzmem wobec kościołów
chrześcijańskich. Niektórzy pastory
ewangelicy zostali nawet zatrzymani za
brak respektowania obostrzeń sanitar-
nych. Jeden z amerykańskich senatorów
republikańskich wystosował nawet pi-
smo do Amerykańskiej Komisji do spraw
Międzynarodowej Wolności Religijnej,
domagając się, aby dodano Kanadę do
listy krajów, w których wolność religijna
jest zagrożona. „Spodziewałbym się tego
rodzaju religijnych prześladowań w ko-
munistycznych Chinach, ale nie w pro-
minentnym zachodnim kraju, jakim jest
Kanada” – napisał senator Josh Hawley
ze stanu Missouri.

DZIENNIKARSKI POKER



Zapraszają:

Adrian Stankowski
Marcin Bąk
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku**
do **środy**
19:05

oglądaj również na www.tvrepublika.pl



Dyktat Timmermansa

Opotrzebie ograniczenia emisji szkodliwych związków do atmosfery mówią dziś zgodnym głosem rządzący na całym świecie. Nikt jednak nie przekłada tego na czyny w sposób tak zapamiętały i nie liczący się ze zdrowym rozsądkiem jak unijni przywódcy. Unijny komisarz ds. klimatu Frans Timmermans na każdym kroku szczyści się tym, że Unia jest światowym pionierem w sprawie klimatu. Ogłoszona właśnie strategia Fit for 55 to jedynie wstęp do kolejnej zielonej ofensywy, gdyż zgodnie z niedawną uchwałą Parlamentu Europejskiego za jakiś czas opracowane mają zostać jeszcze bardziej radykalne cele do osiągnięcia do 2040 r. Czy w tym szaleństwie jest jakaś metoda?



Jakub Wozinski

Nowa unijna strategia – Fit for 55 – zakłada jeszcze większe przyspieszenie zielonej transformacji, choć już dziś generuje ona najwyższe na świecie koszty. Polska stała się niewolnikiem unijnej polityki zabijania wzrostu gospodarczego

Odpowiedź jest niestety twierdząca, gdyż narzucając ekspresowe tempo zielonej transformacji, Unia chce jednocześnie wymusić, aby podobne standardy obowiązywały także w krajach, których zwyczajnie na to nie stać. Europejski Zielony Ład tworzy pozory odpowie-

dzialnej walki z klimatycznymi przemianami, lecz jego ostrze wymierzone jest w kraje rozwijające się.

CAŁA ZIELONA NAPRZÓD

Teoretycznie obecny czas sprzyja wprowadzaniu w życie regulacji,



FOT. EMILIE GOMEZ/EUEP

lecz ostatecznie jego propozycja została odrzucona.

Aby zrealizować postawiony sobie cel, Komisja Europejska ma do dyspozycji wiele narzędzi. Najważniejsze z nich to unijny system handlu uprawnieniami do emisji (ETS), dyrektywa w sprawie opodatkowania energii oraz mechanizm granicznego podatku węglowego. Dodatkowo planuje się wprowadzić także wiele nowych przepisów, m.in. w zakresie motoryzacji oraz budownictwa. W ramach pakietu Fit for 55 przewiduje się, że systemem handlu uprawnieniami do emisji mają zostać objęte kolejne branże, m.in. transportu morskiego oraz ciepłownicza. Oprócz tego planuje się stworzenie osobnego systemu handlu uprawnieniami dla budownictwa i transportu.

Włączenie kolejnych branż do ETS skończy się w łatwy do przewidzenia sposób, gdyż już dziś handel uprawnieniami stał się przedmiotem daleko idących spekulacji. Jeszcze w 2014 r. średnia cena emisji tony CO₂ kosztowała średnio 5,88 euro. Obecnie jest już nawet 10 razy wyższa, co oznacza, że przy obecnym poziomie emisji polskich elektrowni polskie państwo musi rocznie płacić za uprawnienia kwotę ok. 25 mld zł. Jak nietrudno się domyślić, koszty tych zmian zostaną ostatecznie przesunięte na polskiego podatnika.

Z włączenia nowych branż do systemu ETS i utworzenia nowego systemu handlu uprawnieniami dla innych branż najbardziej ucieszą się wielkie fundusze inwestycyjne, które od wielu miesięcy zarabiają na unijnym „rynku uprawnień” ogromne pieniądze. Zachęca je do tego sama postawa Unii Europejskiej, która swoimi nieokiełznanymi zielonymi ambicjami wysyła jasny sygnał, że handel uprawnieniami będzie coraz bardziej intratny. Dodatkowo wzrost cen uprawnień nasilił się szczególnie w ciągu ostatniego roku, co pozwala sądzić, że wykreowana przez banki centralne „finansowa płynność” powędrowała m.in. właśnie do systemu ETS.

WALKA Z WYSOKOEMISYJNĄ KONKURENCJĄ

Znaczne koszty będą także generowane w związku z planowanymi zmianami w mechanizmie granicznego podatku węglowego (CBAM). Unia Europejska chce za jego pomocą nałożyć wyższe cła na importowane spoza jej

terytorium stal, aluminium, cement, nawozy rolnicze oraz prąd. Nie wiadomo jeszcze, jak wysokie miałyby być stawki, lecz wedle wstępnych założeń musiałyby odpowiadać poziomowi cen wywindowanych przez system ETS. To zaś oznacza, że począwszy od 2023 r., Unia Europejska pozbawiłaby się dostępu do tanich materiałów, surowców i energii dostarczanych m.in. z Turcji, Białorusi i Ukrainy.

Mechanizm CBAM jest przedstawiany jako szczytna idea, rzekomo wyrównująca szanse, a jednocześnie chroniąca europejski rynek przed konkurencją spoza wspólnoty. Tak właśnie przekonują m.in. przedstawiciele polskiej branży cementowej, którzy ostrzegają przed lawinowym wzrostem importu z wschodniej granicy. W gruncie rzeczy jednak lawinowego wzrostu importu

Wstępne plany zakładają, że od 2023 r. UE pozbawiłaby się dostępu do tanich surowców i energii m.in. z Turcji, Białorusi czy Ukrainy

nigdy by nie było, gdyby nie system ETS i inne przepisy, które znacząco podniosły ceny w całej Unii. System handlu uprawnieniami, którego wartość przekracza już ponad 200 mld euro rocznie, uruchomił swego rodzaju tsunami kosztów, które rozchodzi się obecnie po całej unijnej gospodarce i czyni ją coraz mniej konkurencyjną względem gospodarek innych państw.

Pakiet Fit for 55 ma wreszcie za zadanie jeszcze bardziej zwiększyć poziom inwestycji w odnawialne źródła energii (OZE). W 2018 r. Unia wyznaczyła cel zakładający, że do 2030 r. udział OZE w miksie energetycznym ma osiągnąć poziom 32 proc. Zaledwie po trzech latach plany te okazały się już nieaktualne, gdyż obecnie mowa jest już o nawet 40 proc. Oznacza to, że w ciągu najbliższych lat poziom inwestycji w tym obszarze będzie musiał wzrosnąć w bezprecedensowy sposób. Determinacja eurokratów jest tak wielka, że zamierzają nawet zlikwidować rozmaite biurokratyczne procedury, aby tylko powstało jak najwięcej farm wiatrowych. To, co w innych obszarach gospodarki

które narzucają dodatkowe obciążenia finansowe. Wciąż nie wiadomo, kiedy zakończą się gospodarcze zawirowania związane z koronawirusem, które do tej pory spowodowały zauważalny wzrost inflacji, bezrobocie, deficytów budżetowych, długu publicznego oraz liczby bankructw na całym kontynencie. Z perspektywy Komisji Europejskiej to jednak idealny moment na to, aby jeszcze bardziej podkreślić tempo zielonej transformacji. Wyrazem tego jest ogłoszony właśnie pakiet Fit for 55, który przewiduje ograniczenie emisji gazów cieplarnianych o co najmniej 55 proc. do 2030 r. Do tej pory zakładano redukcję o 40 proc., co samo w sobie stanowiło niezwykle wyśrubowany cel. Parlament Europejski domagał się nawet 60 proc.,

■ jest praktycznie niemożliwe, w obszarze zielonej polityki nagle staje się wykonalne.

Ogromnym inwestycjom w OZE towarzyszy niestety coraz bardziej zauważalny wzrost cen energii. W Niemczech w latach 2006–2019 wydano na ten cel ponad 150 mld euro, a ceny prądu dla gospodarstw domowych wzrosły w tym samym czasie o 57 proc. Cele zawarte w pakiecie Fit for 55 sprawiają, że ceny energii będą rosły jeszcze bardziej, ponieważ dalszemu wzrostowi ulegną opłaty na rzecz OZE.

Niezwykle niepokojące w pakiecie Fit for 55 jest przy tym to, że unijne władze zaczęły po raz pierwszy tak kompleksowo narzucać obywatelom nowy styl życia. Europejski Zielony Ład przestaje być programem mającym bezpośredni wpływ głównie na przemysł i przechodzi do fazy, w której obywatelom zaczyna się dyktować, jak często mają podróżować czy jakie mają posiadać auta. Zastanawiając się koniecznością ocalenia planety, eurokraci chcą przejąć jeszcze większą kontrolę nad naszym życiem.

GLOBALNY PODATEK OD EMISJI

O tym, że unijne elity są w pełni świadome tego, jak wielkim balastem dla gospodarki całego kontynentu są przyjęte zielone rozwiązania, świadczy najlepiej fakt, iż niedawno na spotkaniu państw grupy G20 minister finansów Francji Bruno Le Maire zgłosił propozycję ustanowienia obowiązującego globalnie minimalnego zakresu cen emisji dwutlenku węgla. Podczas gdy w Unii Europejskiej wynosi ona obecnie ok. 58 euro, średnia cena dla całego świata to zaledwie 3 dol. Eurokraci chcą więc – przy współpracy ze Stanami Zjednoczonymi i z innymi najbardziej rozwiniętymi państwami świata – zmusić resztę państw do tego, aby również związały swoje gospodarki zielonymi pętami.

Francuska propozycja cieszy się sporym poparciem, gdyż z punktu widzenia najbogatszych państw na świecie to wręcz idealny sposób na to, aby pozbyć się konkurencji ze strony krajów rozwijających się. Jeśli dodatkowo w różnych miejscach świata będą ewentualnie powstawały lokalne rynki handlu uprawnieniami do emisji, to beneficjentami takiego rozwiązania będą oczywiście podmioty finansowe z krajów zachodnich.

Jednym z krajów najbardziej poszkodowanych przez Europejski Zielony Ład będzie Polska – czwarta na liście największych emitorów CO₂

Z dzisiejszej perspektywy widać także dokładnie, dlaczego biznesowe i lewicowe elity tak bardzo uwierała prezydentura Donalda Trumpa. Wycofując Stany Zjednoczone z porozumienia paryskiego, wstrzymał na cztery lata bardzo zaawansowane prace na rzecz wprowadzenia obowiązujących globalnie rozwiązań podatkowych oraz z zakresu zielonej transformacji. Dzisiaj, gdy wyprowadził się już z Białego Domu, ruszyła prawdziwa lawina projektów, które uderzają najmocniej w całą aspirującą do dołączenia do grona najbogatszych grup państw, w tym oczywiście Polskę.

CIOŚ ZADANY POLSCE

Nie od dziś wiadomo, że jednym z krajów najbardziej poszkodowanych przez Europejski Zielony Ład będzie Polska. Na unijnej liście największych emitorów CO₂ zajmujemy wysokie, czwarte miejsce, które czyni nas krajem szczególnie podatnym na wszystkie zielone regulacje. Unia Europejska stawia co roku coraz dalej idące cele do realizacji, a te zaproponowane w ramach pakietu Fit for 55 uderzają bezpośrednio w polskie interesy, m.in. poprzez plany ograniczenia emisji gazów cieplarnianych w zakresie transportu. Dodatkowo polska gospodarka ucierpi mocno także w następstwie planowanych zmian w branży motoryzacyjnej. W naszym kraju znacząca część produkcji nastawiona jest na produkcję części i komponentów potrzebnych do samochodów z tradycyjnymi, spalinowymi silnikami. Po wprowadzeniu nowych standardów część zakładów może zostać zwyczajnie zamknięta lub ograniczyć swoje moce przerobowe.

Unijna obsesja może zresztą przynieść ogromne zawirowania nie tylko dla biznesu, lecz także dla zwykłych obywateli. Według niektórych źródeł coraz poważniej rozważany jest całkowity zakaz sprzedaży aut z silnikami spalinowymi do 2035 r. W dłuższej

perspektywie pociągałoby to także za sobą wprowadzenie całkowitego zakazu korzystania z aut spalinowych. Skutki takich przepisów miałyby wręcz fatalny skutek dla wszystkich konsumentów, gdyż znacząco obniżyłaby się wówczas dostępność środków transportu. Jednocześnie taki krok oznaczałby wielką korzyść dla najbogatszych państw Unii, które od wielu lat dotują własne koncerny samochodowe i narzucają całej wspólnocie regulacje zabezpieczające ich interesy. Niemiec czy też Francuzi producenci aut, którzy w ostatnich latach zostali w zakresie nowych technologii mocno w tyle w porównaniu ze swoimi azjatyckimi konkurentami, uzyskują dzięki Europejskiemu Zielonemu Ładowi nowy impuls do rozwoju. Plany wysokich dopłat do zakupu elektrycznych aut zawarte są zresztą nawet w Polskim Ładzie, który finansowałby w ten sposób rozwój zachodnich koncernów motoryzacyjnych.

Przedstawiony przez Komisję Europejską pakiet Fit for 55 ma teraz przejść etap długich konsultacji z państwami członkowskimi. Jak jednak pokazuje dotychczasowe doświadczenie w obszarze zielonej agendy, Unia Europejska nie dopuszcza żadnego większego głosu sprzeciwu. Na większe ustępstwa nie ma zresztą co liczyć, ponieważ unijnym komisarzem ds. klimatu jest obecnie Holender Frans Timmermans, który wcześniej mocno dawał się Polsce we znaki, kwestionując rzekome łamanie przez nią zasad praworządności.

Polski rząd stara się bagatelizować zaistniałe zagrożenie, przekonując, że zostanie ono zrekomensowane wielkim zastrzykiem finansowym w postaci unijnych dotacji oraz środków ze specjalnych mechanizmów wsparcia. Gdyby jednak Polska miała otrzymać nawet najwięcej pieniędzy ze wszystkich państw członkowskich, to i tak głównym beneficjentem całego Europejskiego Zielonego Ładu będą kraje dostarczające zielonych technologii, które zapewniają sobie w ten sposób ogromny rynek zbytu. Już wkrótce nasza gospodarka zacznie płacić za pasywność wobec ekoradykalizmu coraz wyższą cenę w postaci rosnących cen, upadku całych branż czy też rosnącego dystansu dzielącego nas od najbogatszych państw. Zielona transformacja to wielki biznes, w którym Polska dopłaca niestety do sukcesu innych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Polska, czyli pół Orbána

Nie mało polskich polityków – głównie z PiS – od lat z lubością wzoruje się na Luboście Orbánie, a raczej – bo to bliższe prawdy – deklaruje, że się na nim wzoruje, obiecując zrobienie w Warszawie „drugiego Budapesztu”.

Tymczasem mijają lata, a „Budapesztu w Warszawie” jak nie było, tak nie ma i nie zanoszą się na to, żeby w najbliższym czasie „miał być”. A jeśli już – to najwyżej „pół Budapesztu”, bo jeśli polscy politycy naśladują Orbána, to trafić chce – zawsze najwyżej w połowie albo jeszcze gorzej – w jednej trzeciej.

Gdy Orbán prowadzi wielowektorową politykę zagraniczną (czyli po prostu prowadzi politykę zagraniczną), nasi wolą jedno- lub co najwyżej dwuwektorową. Podobnie w polityce wewnętrznej – nie licząc podzielanego w całości przekonania o potrzebie przeciwdziałania swobodnemu napływowi imigrantów i nowinek LGBT. Poza tym, jeśli już rządzący Polską politycy naśladują Orbána, to przeważnie jedynie w części – w tej, w której prowadzi on hojną politykę socjalną, np. obliczoną na powstrzymanie katastrofy demograficznej. Gdy jednak przychodzi do sposobu budowania klasy średniej – niezależnej od rządu (a inna przecież nie istnieje), mocno zachęcanej przez Orbána do bogacenia się, której ustawicznie dostarczane są przez niego potrzebne do tego dzieła narzędzia – to ochota do naśladowania Orbána przez rządzących Polską polityków radykalnie maleje.

Ot choćby, gdy nowo wybrany premier Orbán – i to jedną z pierwszych decyzji – w 2011 r. zastąpił progresywny podatek dochodowy liniowym na poziomie 16 proc., a potem – w 2016 r. – obniżył jego stawkę do 15 proc., to politycy PiS od chwili objęcia władzy uporczywie szukają rozwiązań prowadzących do zwiększenia podatkowej progresji. A istniejący u nas, niestety – tylko w jednej z nisz, podatek liniowy właśnie chcą de facto zlikwidować, zamiast starać się uczynić z niego jedynego powszechnie obowiązującego podatku PIT. A jeśli już obniżają podatki, to tylko niektórym, zwykle przy tym komplikując i tak już ponad miarę zagniatwany system podatkowy. Jeśli obniżają wymiar podatku CIT – to tylko od małych firm, jeśli wprowadzają estoński CIT – to nikt z Estonii nie może go poznać, jeśli obniżają (i to tylko symbolicznie) wymiar PIT – to tylko jego niższą stawkę, a jeśli wyłączają z PIT – to tylko ludzi młodych, i tylko do 26. roku życia. I tak dalej – wyjątek po wyjątku, komplikacja po komplikacji.

Podobnie jak z inflacją: potrafią – niestety! – doprowadzić do jej wzrostu do aż 5 proc., lecz mają też odwagę wziąć się za jej zduszenie w zarodku, o tyle władze Polski poprzestają na tym pierwszym, zapewniając, że – ich zdaniem – „inflacja spadnie sama”.

Innymi słowy – prawdziwy węgierski Orbán jest dla wszystkich Węgrów, a pół Orbána po polsku – tylko dla niektórych Polaków. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Brawo Hubert Hurkacz!

Nie mało już lat temu, w roku 2012, gdy Agnieszka Radwańska zaczynała się zadowalać w gronie najlepszych tenisistów świata, a tym samym zaczęła zarabiać bardzo porządne pieniądze, jej tata oświadczył, że córka nie zamierza skorzystać z możliwości rezydentury podatkowej w Monako. Napisałem wówczas w „Fakcie” felieton, w którym stwierdziłem: „Wielu uznało taką postawę za chwalebna i przeciwstawiło ją postawie choćby Roberta Kubicy. Ja powiedziałbym, że jest to postawa nie tyle chwa-

lubna, ile heroiczna. Heroizm zaś to ten rodzaj bohaterstwa, na który nie każdego stać i o którego brak nie sposób do nikogo mieć pretensji. Ba – bywa nawet, że heroizm ociera się o brawurę, a tej już nie sposób chwalić”.

W mojej ocenie sprzed dziewięciu lat nic się nie zmieniło – podpisuję się pod nią nawet jeszcze bardziej, a decyzję Hurkacza uważam za ze wszech miar rozsądną. Od tamtego bowiem czasu obciążenia najlepiej zarabiających wzrosły (weszła m.in. danina solidarnościowa), a władza nie pozostawia złudzeń, że dowlali „bogaczom” jeszcze bardziej. Jeżeli zaś „bogaczem” jest według niej już ktoś, kto netto zarabia 7 tys., to coś dopiero Hurkacz ze swoimi milionami!

Decyzja Hurkacza jest bardzo symboliczna, bo ma miejsce dokładnie w momencie, gdy dwóch polityków objeżdża Polskę i zachwala Polski Ład, na jednym oddechu mówiąc, że dzięki niemu Polacy mają wracać do kraju oraz że „bogacze” dostaną po głowie. Z socjalistami tak już jest, że gdy ludzie od nich uciekają, oni nigdy nie widzą winy w sobie i tworzonym przez siebie systemie. Winni są zawsze uciekający, którzy nie chcieli się „patriotycznie” podzielić znaczną częścią swoich zarobków z politykami, którzy przecież chcieli je tak doskonale wydać. Najczęściej na zasilanie własnego elektoratu. ©©

Z socjalistami tak już jest, że gdy ludzie od nich uciekają, oni nigdy nie widzą winy w sobie i tworzonym przez siebie systemie. Winni są zawsze uciekający

leba, ile heroiczna. Heroizm zaś to ten rodzaj bohaterstwa, na który nie każdego stać i o którego brak nie sposób do nikogo mieć pretensji. Ba – bywa nawet, że heroizm ociera się o brawurę, a tej już nie sposób chwalić”.

Nie mogłem, rzecz jasna, przypuszczać, że wiele lat później sprawa wróci w postaci rezydentury w tymże Monako Huberta Hurkacza, także znakomitego tenisisty.



Łukasz Majchrzyk

Biało-Czerwoni wezmą udział w 138 z 339 konkurencji w 28 dyscyplinach rozgrywanych w Tokio. Kadra będzie więc liczyła 25 osób mniej niż przed pięcioma laty w Rio de Janeiro, ale to nie znaczy, że przywiezie mniej medali. W jakich dyscyplinach jesteście faworytami?

Igrzyska olimpijskie w Tokio wreszcie się odbędą. Sportowe emocje kibice mieli przeżywać już rok temu, ale wtedy sport, podobnie jak wszystko inne, pogrążył się w lockdownie. Przez te 12 miesięcy wiele się mogło zmienić w sportowej hierarchii. Jedni zdążyli się wyleczyć, inni doznać kontuzji. Jedni uzyskali świetną formę, a drudzy mogli nie zdołać jej utrzymać. Wszyscy uczestnicy są o rok starsi, co w niektórych konkurencjach, jak choćby w biegach średniodystansowych, może mieć niebagatelne znaczenie.

Igrzyska będą rozgrywane w innej strefie czasowej, więc polscy kibice znów będą musieli zarywać noce, żeby oglądać występy rodaków. Znów zasiądą przed telewizorami z nadzieją na wielkie uniesienia i medale. Skoro ciężko będzie godzić pasję z chodzeniem do pracy, to pewnie trzeba będzie transmisje wybierać. Na co warto postawić i gdzie Biało-Czerwoni mogą mieć największe szanse medalowe?

NOWA GWIAZDA POD SIATKĄ

Przewidywanie jest zawsze obciążone sporym ryzykiem pomyłki, zdarzają się niespodzianki, a sport niechętnie poddaje się sztywnym wyliczeniom. – Turniej może się różnie potoczyć, a w sporcie dwa plus dwa rzadko daje cztery – mówi „Do Rzeczy” Jakub Bednaruk, trener klubów PlusLigi i były asystent Vitala Heynena w reprezentacji Polski. – Polaków można nazwać kandydatami do finału na podstawie tego, jak się prezentowali w ostatnich kilku latach. Jesteśmy podwójnymi mistrzami świata, a w każdej imprezie jesteśmy faworytami do zwycięstwa. Ponadto w naszej drużynie są wielkie nazwiska. Kadre mamy



Tokio biało-czerwone

przepotężną, najmocniejszą w historii – ocenia.

Siatkarze powinni polskim kibicom dostarczyć wielu pozytywnych wrażeń, bo w ostatnich latach grają świetnie. Należy jednak pamiętać, że Polacy często

w turniejach olimpijskich zawodzili. Złote medale zdobyli tylko raz, podczas igrzysk olimpijskich w Montrealu w 1976 r. Na podium stanęli także cztery lata później w Moskwie. Przed turniejami w Londynie i Rio de Janeiro też wszyscy



Polscy siatkarze po złożeniu ślubowania olimpijskiego w Polskim Komitecie Olimpijskim. FOT. POLSKI ZWIĄZEK PIŁKI SIATKOWEJ

mieli nadzieję na sukces, a potem przychodziło rozczarowanie.

Skąd brać optymizm? W drużynie prowadzonej przez Vitala Heynena jest wielu utalentowanych zawodników, którzy przez lata dojrżeli i stali się odporni psychicznie. Na każdej pozycji jest do wyboru kilku światowej klasy siatkarzy, więc jeśli któryś będzie miał słabszy dzień, to zastąpi go kolega. Kapitan Michał Kubiak jest przedłużeniem myśli trenera na boisku. To wojownik, który nikogo się nie boi, potrafi scalić drużynę i dba o dobrą atmosferę. W dodatku od kilku lat występuje w lidze japońskiej, zna tamtejsze hale. Jeśli sytuacja będzie tego wymagać, to powie kilka mocniejszych słów albo odwrotnie – zażartuje, żeby rozładować napięcie.

Kubiak, podobnie jak Heynen, dba o to, by drużyna była jednością i każdy nowy zawodnik czuł się w niej dobrze,

zwłaszcza jeśli jest najlepszym siatkarzem świata. Tak było w przypadku Wilfreda Leóna, dla którego Polska stała się nową ojczyzną. Urodzony na Kubie siatkarz pokochał nasz kraj, ale najpierw zakochał się w dziennikarce Małgorzacie Gronkowskiej, która przeprowadzała z nim wywiad (przez Internet). Przeniósł się do Polski i podpisał kontrakt z miejscową agencją menedżerską. Para wzięła ślub w 2015 r., a niedługo potem Wilfredo dostał polskie obywatelstwo. Od początku chciał występować w białoczerwonej koszulce, ale najpierw trzeba było uzyskać zgodę macierzystej, kubańskiej federacji, a potem odczekać jeszcze okres karencji.

Leon chciał być częścią drużyny i chociaż musiał czekać jeszcze rok na możliwość zagrania dla Polski, to w wakacje przyjechał na zgrupowanie do Zakopanego, żeby lepiej poznać kolegów.

Nic dziwnego, że kiedy już zagrał, to z miejsca stał się gwiazdą i potrafił pociągnąć drużynę do zwycięstwa. – Uczulam, żeby nie liczyć na to, że Wilfredo León zaszerwuje 13 asów jak z Serbią w Lidze Narodów. Nie możemy też liczyć, że Bartek Kurek zawsze będzie grał tak dobrze, jak w pierwszym secie z Brazylią, gdy miał stuprocentową skuteczność w ataku. Mamy taką ekipę, że nie musimy liczyć na jednego zawodnika. Nawet jeśli Leon będzie miał słabszy dzień, to wejdą inni i pomogą – mówi „Do Rzeczy” trener Bednaruk.

„KOMPANIA BRACI” POD KOSZEM

W Tokio kibice sportów drużynowych mogą mieć jeszcze więcej powodów do radości. Dawno nie było sytuacji, w której dwie polskie drużyny jechały na igrzyska olimpijskie z nadziejami na zdobycie medalu. Kandydatami do podium są nie tylko siatkarze. W Tokio w programie igrzysk olimpijskich zadebiutuje koszykówka 3 x 3, a w tej odmianie dyscypliny Polacy są trzecią drużyną ostatnich mistrzostw świata. Niedawno w znakomitym stylu wywalczyli bilety do Japonii i otwierając zapowiadają, że ich celem jest złoto.

Jeśli tylko zdrowie im dopisze, to mogą się stać nowymi ulubieńcami polskich kibiców. Tworzą jedną wielką rodzinę i śmiało można ich nazwać „kompanią braci”, gdzie jeden wskoczy w ogień za drugiego. Jak mówi trener Piotr Renkiel, inaczej nie da się funkcjonować w koszykówce 3 x 3, która narodziła się na ulicach amerykańskich miast. Trzeba po prostu lubić luz, dobrą zabawę i ciężką pracę, a kiedy przeciwnik spróbuje cię sponiewierać czy ośmieszyć, to po prostu odpowiedzieć mu tym samym.

Nie wyszło? Trudno, w następnej akcji znów próbując rzucić, a kiedy piłka wpadnie do kosza, to cieszyć się z kolegami. Tak gra Michael Hicks, chyba największa gwiazda polskiej reprezentacji. Jego historia jest trochę podobna do losów Wilfreda Leóna, z tą różnicą, że Amerykanin nigdy wielkiej międzynarodowej kariery nie zrobił.

Przyjechał do Polski w 2008 r., żeby grać w klasyczną (pięcioosobową) odmianę basketu. Występował w klubach Polskiej Ligi Koszykówki, był ulubieńcem kibiców w Starogardzie Gdańskim, chociaż nie zawsze potrafił znaleźć nić porozumienia z trenerami. Początki miał bardzo trudne – jeszcze nie zdążył się

■ zadowolić nad Wisłą, a już musiał wracać do USA, bo okazało się, że zmarła matka jego synka. Opiekę nad dzieckiem powierzył swojej matce i wrócił, żeby grać w koszykówkę. Po jakimś czasie sprowadził Michaela juniora i stworzył mu rodzinę. W Polsce znalazł żonę, urodziła mu się też córka. Polubił polską kuchnię i bardzo dobrze się tutaj czuje.

Hicks już kilka lat temu uzyskał obywatelstwo i może grać w koszulce z orzełkiem. To właśnie jego niebawomy rzut w końcówce meczu z Serbią dał Polakom trzecie miejsce i prawo walki o udział w igrzyskach. Hicks mógł wtedy pomyśleć, że spełnia marzenia swojej mamy, która zginęła w 2017 r. w wypadku samochodowym, a jej ostatnią wiadomością do syna było: „Do zobaczenia na igrzyskach”.

W koszykówce trzyosobowej luz jest ważny, ale nie wystarczy do odniesienia sukcesu. Nie ma dróg na skróty, więc Polacy pod okiem trenera Renkiela przygotowują się bardzo solidnie. Za nimi kilka zgrupowań w 2021 r., niedawno pojechali do hiszpańskiej Sierra Nevady. Żaden aspekt przygotowań nie zostanie zaniedbany.

ZŁOCI LEKKOATLECI

Tego samego można być pewnym w przypadku lekkoatletów. Polska ma wśród przedstawicieli królowej sportu gwiazdy światowego formatu. Można liczyć, że ci zawodnicy przywiozą z Tokio kilka medali. Ile dokładnie? – Mamy kilka szans. A ile krązków możemy realnie wywalczyć? Dwa, trzy, cztery, taki wynik jest prawdopodobny. Jeśli nasi reprezentanci staną na podium trzy razy, to będzie bardzo dobrze, a jeśli cztery – to wspaniale. Nieważne, jakiego koloru będą te medale, bo w każdym przypadku jest to wielkie osiągnięcie. Lekkoatletyka jest teraz na bardzo wysokim poziomie. Sport to nie jest matematyka, ale pewne rzeczy można przewidzieć, patrząc na wyniki. Takich „superrealnych” szans mamy kilka – mówi „Do Rzeczy” Tomasz Majewski, dwukrotny mistrz olimpijski w pchnięciu kulą i wiceprezes PZLA.

O kim mowa? Na pewno o przedstawicielach rzutu młotem. Paweł Fajdek i Wojciech Nowicki należą od wielu lat do światowej czołówki i wydaje się, że powinni walczyć nawet o zwycięstwo. Ten pierwszy cztery razy zostawał mistrzem świata i zdobywał złoty medal mistrzostw Europy, ale o dotychczasowych

występach na igrzyskach olimpijskich wolałby zapomnieć. W 2012 r. w Londynie spalił wszystkie próby, a cztery lata później w Rio de Janeiro zajął ledwie 17. pozycję, chociaż też jechał jako faworyt. Kibice zapamiętali obrazki, jak wielki mistrz najpierw leżał, a potem klęczał na rozgrzanym tartanie. Zawsze uśmiechnięty i pozytywnie nastawiony do życia Fajdek zaraz po konkursie był załamany, przeproszał kibiców i przyznawał, że sam nie wie, co się stało na stadionie w Rio de Janeiro.

Może część presji i oczekiwań zdejmie z niego obecność w Tokio Nowickiego, który też powinien włączyć się do walki o podium. W jednej z ostatnich prób przedolimpijskich, na Festiwalu Rzutów im. Kamili Skolimowskiej, Nowicki pokonał Fajdka i był ze swojej formy zadowolony.

W zawodach w Cetniewie nie wystąpiła z kolei Anita Włodarczyk. Mistrzyni świata i mistrzyni olimpijska ma za sobą trudny okres. Zmagająca się z kontuzją kolana, a rok temu rozstała się z trenerem Krzysztofem Kaliszewskim, z którym wspólnie świętowała wielkie sukcesy. Szkoleniowiec po zgrupowaniu w USA z powodów rodzinnych nie przyjechał do Polski. Wpływ na to miała też pandemia koronawirusa. Był gotów trenować zawodniczkę zdalnie przez kilka miesięcy, ale Włodarczyk się na to nie zgodziła. Na niewiele ponad rok przed igrzyskami olimpijskimi musiała poszukać nowego trenera. Wybór padł na Chorwata Ivice Jakielicia. Taka sytuacja nigdy nie jest łatwa dla sportowca.

Tomasz Majewski jest jednak dobrej myśli. – Mimo kłopotów, jeśli się ma trzeci wynik na świecie i jest się taką dominatorką jak Anita, to jest się kandydatką do medalu – mówi „Do Rzeczy” wiceprezes PZLA. Majewski ma też nadzieję na dobre występy oszczepników. Maria Andrejczyk cztery lata temu debiutowała w igrzyskach olimpijskich i zszokowała wszystkich, posyłając w eliminacjach oszczep poza granicę 67 m. Sama była tym wynikiem zaskoczona. Planowała, że jeśli nie przebrnie kwalifikacji, to wybierze się na Copacabanę, ale musiała zmienić plany. W serii finałowej też rzuciła świetnie, a miejsce na podium przegrała z Barbarą Špotákovą jedynie o dwa centymetry.

Przez ostatnie lata jej rozwój hamowała kontuzja, ale teraz Andrejczyk wydaje się wracać do wysokiej formy.

– Ma dwie wygrane w Diamentowych Ligach i to z rywalkami, z którymi się będzie biła na igrzyskach o medale. Pokonała Christin Hussong, Špotákovą, Kelsey-Lee Barber. Maria boi się o bark, ale tak to jest, kiedy kontuzje nie są na 100 proc. wyleczone. Rzut oszczepem to nie jest konkurencja zdrowa dla barku. Na szczęście jeszcze trochę czasu zostało i trzeba pamiętać, że ona wygrywała pomimo kontuzji i obaw – ocenia Majewski. W rywalizacji mężczyzn spore szanse na walkę o medale ma Marcin Krukowski.

Dużo radości mogą też dostarczyć biegacze, zwłaszcza kobieca sztafeta 4 x 400 m, czyli „Aniołki Matusińskiego”. Tych pań nie można lekceważyć, bo już wiele razy pokazały, że są groźne dla najlepszych.

INNE NADZIEJE

Gdzie jeszcze polscy kibice mogą wypatrywać medalowych szans? W pływaniu na pewno warto czekać na występy Katarzyny Wasick. Ta zawodniczka jeszcze kilka lat temu chciała porzucić sport, skończyła w USA studia, wyszła za mąż, znalazła pracę. Postanowiła jednak spróbować jeszcze raz. Zaczęła od treningów w Las Vegas z amatorami, startującymi w kategorii „masters”, bo nawet nie wiedziała, że w jej mieście jest profesjonalna grupa pływacka. Na zawodach jednak wypatrzył ją trener Ben Loorz i zaproponował współpracę. Sama zawodniczka opowiada, że mocno wspiera ją mąż, który ma typowo amerykańską wiarę w siebie i tym zaraża polską pływaczkę. Wasick utrzymuje wysoką formę. W tym roku pobiła rekord Polski na 50 m stylem dowolnym, co dało jej srebrny medal mistrzostw Europy w Budapeszcie.

To tylko niewielka część nazwisk z liczącej ponad 200 sportowców reprezentacji Polski. Biało-Czerwoni wezmą udział w 138 z 339 konkurencji w 28 dyscyplinach rozgrywanych w Tokio. Kadra będzie więc liczyła 25 osób mniej niż przed pięcioma laty w Rio de Janeiro, ale to nie znaczy, że przywiezie mniej medali (wtedy krązków było 11, w tym dwa złote).

Ile razy na podium w stolicy Japonii staną Polacy? Na igrzyska olimpijskie czeka każdy sportowiec, przygotowuje się do nich, marzy o triumfie. Zawsze może się zdarzyć ktoś, kto pozytywnie zaskoczy, wystrzeli z formą i zgarnie sukces sprzed nosa faworytom. Oby to jak najczęściej byli polscy sportowcy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI JABRA EVOLVE2 30

Przystępna cena, niewielka waga i komfort użytkowania, bardzo dobry mikrofon oraz dobra jakość dźwięku – to najważniejsze zalety nowego zestawu słuchawkowego duńskiej firmy Jabra.

Lekkie słuchawki to świetny model dla osób, które chcą lepiej funkcjonować w postpandemicznym świecie zdalnych wideokonferencji, ale nie zamierzają wydawać fortuny, by lepiej słyszeć zarząd. Urządzenie zostało zoptymalizowane pod kątem popularnych komunikatorów biznesowych. Dzięki nim można więc polepszyć jakość dźwięku podczas zdalnych spotkań odbywanych zarówno za pośrednictwem Microsoft Teams, jak i Zooma.

Słuchawki są na tyle wygodne, że można ich komfortowo używać przez wiele godzin, również w okularach.

Największą wadą testowanego modelu jest brak łączności z Bluetooth. I choć wiadomo, że sygnał na kablu jest przeważnie lepszej jakości, to brak możliwości bezprzewodowego połączenia w roku 2021 może jednak zaskakiwać.

Co gorsza, słuchawki są wyposażone jedynie w USB-A bez przejściówki w zestawie, co dla wielu użytkowników komputerów wyłącznie z portami USB-C może być powodem do rezygnacji z zakupu tego modelu. Również z większością nowoczesnych smartfonów tego modelu połączyć nie ma jak. Ci jednak, którzy mają wciąż w laptopach lub komputerach stacjonarnych wbudowany port USB-A lub tak czy owak noszą ze sobą własne przejściówki, mogą być z tego zakupu zadowoleni.



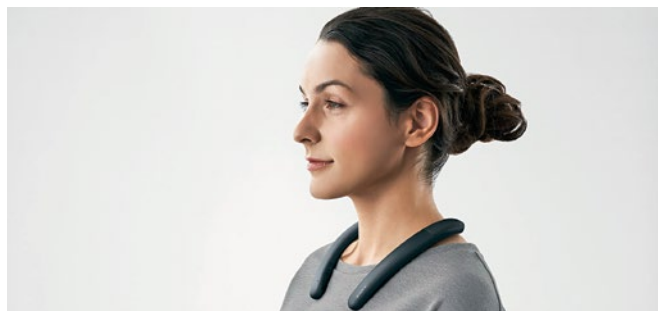
Jabra Evolve2 30 jest wyposażona w dwa wbudowane mikrofony. Dzięki systemowi redukcji szumów rozmówcy powinni stosunkowo dobrze słyszeć nasz głos, nawet jeśli rozmawiamy w głośnym otoczeniu. A gdy chwilowo milczymy, słuchając długiego monologu mądrygo szefa, nasi współpracownicy lub domownicy widzą, że nie wolno nam przeszkadzać, bo podczas

połączenia automatycznie włącza się czerwona „dioda zajętości”. Na środku prawej muszli znajduje się z kolei przycisk, który umożliwia szybkie rozpoczynanie i kończenie połączeń w Microsoft Teams. Aby nasz głos przestał być rejestrowany podczas spotkania, wystarczy po prostu podnieść do góry wysięgnik z mikrofonem lub obniżyć go, aby znów było nas słychać. Z kolei w aplikacji można ustawić dyskretne powiadomienia o wyciszeniu mikrofonu lub zrezygnować z tego typu przypomnień.

Testowany model dobrze sprawdził się też po prostu jako słuchawki do odtwarzania muzyki. Do sterowania muzyką i kontrolą głośności służą trzy niewielkie przyciski na pałąku. Jakość odtwarzanego dźwięku jest zaś więcej niż poprawna. I chociaż w fabrycznym ustawieniu największy nacisk położono na tony średnie i sopran, to w aplikacji można dodać wystarczająco dużo basów, by móc słuchać w pracy nie tylko telekonferencji, lecz także czegoś przyjemniejszego.

Za obecną cenę, niższą już o kilkadziesiąt złotych niż w dniu premiery, testowane słuchawki są godne polecenia osobom, które szukają budżetowej propozycji. Oczywiście zmniejszanie hałasu w droższych modelach działa lepiej, ale za przyzwoite słuchawki z solidną aktywną redukcją szumów i łącznością bezprzewodową trzeba już zapłacić sporo więcej. Cena testowanego modelu to 349 zł. ©©

Jacek Przybylski



GŁOŚNIK NA KARKU

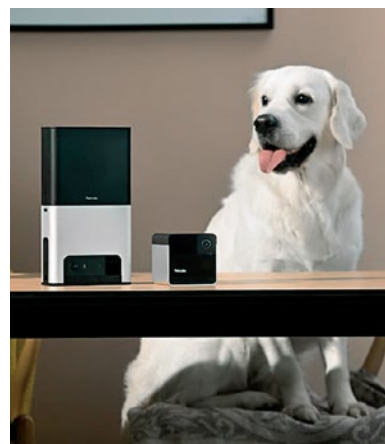
Sony wprowadziło na rynek kolejny nietypowy produkt. Tym razem do sprzedaży trafił tzw. głośnik naramienny. Dla jednych innowacyjny, dla innych po prostu dziwny głośnik z mikrofonem SRS-NB10 ma – według deklaracji producenta – umożliwiać lepszą pracę z domu, w tym wygodny udział w telekonferencjach. Oczywiście przez lekki bezprzewodowy głośnik można posłuchać nie tylko szefa, lecz także muzyki, co ma przydawać się np. podczas domowych porządków. Gadżet jest odporny na zachlapanie (stopień ochrony wynosi IPX4) i oferuje zasięg ok. 30 m. Premiera zapowiedziana jest na wrzesień. Cena: ok. 575 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„INTELIGENTNA” MISKA Z KAMERKĄ

Petcube Bites 2 Lite – tak nazywa się budżetowa odmiana urządzenia, które łączy w sobie „inteligentną” miskę dla psa oraz kamerkę IP do monitoringu w dzień i w nocy. Aby obniżyć cenę tańszej wersji gadżetu, który pozwala nie tylko podglądać psy i koty z dowolnego miejsca na Ziemi, lecz także w dowolnej chwili nagradzać je przysmakami, producent pozbawił obudowę aluminiowych części. Jest też mikrofon oraz głośniczek: psu, który akurat zjada kanapę, można więc próbować wydać jakąś komendę (właścicielom kotów przypominam, że amerykańscy naukowcy udowodnili już, iż choć kot doskonale rozpoznaje swoje imię, to reaguje na nie tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę). Cena: 478 zł. ©©

Jacek Przybylski



KATARZYNA PINKOSZ: Jeszcze do niedawna rdzeniowy zanik mięśni (SMA) był opisywany jako bardzo ciężka, postępująca choroba, która w typie 1, najczęściej występującym, prowadziła już w pierwszym roku życia dziecka do ciężkiej niepełnosprawności, konieczności podłączenia pod respirator lub nawet do zgonu. Dziś dzieci z SMA, którym wcześniej podano leczenie, rozwijają się tak jak zdrowe, a leczenie SMA w Polsce jest wręcz pokazywane za wzór. To prawda, że jesteśmy wzorem dla innych krajów?

PROF. ANNA KOSTERA-PRUSZCZYK: Oczywiście, Polska jest jednym z liderów w Europie i na świecie pod względem diagnostyki i leczenia SMA. Jeśli chodzi o leczenie, to wszystko zaczęło się od decyzji o refundacji pierwszego leku, który został zarejestrowany w tym wskazaniu (nusinersenu), co stało się ponad dwa lata temu. W programie, który jest realizowany z ogromnym zaangażowaniem przez prawie 30 ośrodków, leczących zarówno dzieci, jak i dorosłych, jest obecnie leczonych ok. 700 chorych, w różnym wieku. Najmłodsze dziecko w Polsce zaczęło otrzymywać lek w pierwszej dobie życia, a mamy również pod opieką osoby w wieku 50–60 lat. Widzimy skuteczność leczenia, to jest najważniejsze.

W tym roku wprowadzono też badania przesiewowe noworodków. Dlaczego to było tak ważne?

SMA stało się 30. chorobą, którą można zdiagnozować w Polsce dzięki badaniom przesiewowym noworodków. Program badań przesiewowych jest jednym z najlepiej funkcjonujących tego typu programów w Europie. Ze wszystkich badań klinicznych, które zostały opublikowane, wynika, że terapia rdzeniowego zaniku mięśni jest najbardziej skuteczna, jeśli rozpoczyna się ją przed wystąpieniem pierwszych objawów. To jest możliwe tylko w dwóch sytuacjach. Pierwsza jest wtedy, gdy w rodzinie starsze dziecko chorowało na SMA; można wówczas sprawdzić, czy młodsze rodzeństwo ma również mutację powodującą chorobę, przed wystąpieniem objawów. Druga to właśnie skrining noworodkowy, czyli badanie dzieci kilka dni po urodzeniu, z kropli krwi pobieranej na bibułę. W ten sposób można już zdiagnozować 30 ciężkich chorób, w tym SMA. Wspaniale, że w Polsce będziemy mogli diagnozować dzieci, zanim pojawią się objawy choroby. W tym roku zostanie objętych badaniami przesiewowymi 140 tys. dzieci,



Z prof. Anną Kosterą-Pruszczyk,
kierownikiem Katedry i Kliniki Neurologii WUM
rozmawia Katarzyna Pinkosz



FOT. ADRIAN STOK

Przewrót kopernikański

a od początku 2022 r. przesiew obejmie wszystkie noworodki w Polsce. „Złotym standardem” jest rozpoznawanie SMA i rozpoczynanie leczenia, zanim pojawią się objawy. Dzięki temu leczone dzieci będą rozwijać się prawidłowo lub prawie prawidłowo.

Nusinersen musi być stosowany w szpitalu, to podanie do rdzenia kręgowego. Pojawiają się kolejne terapie w leczeniu SMA; ostatnio została zarejestrowana terapia doustna (rysdyplam).

Czy to szansa m.in. dla pacjentów, którzy np. nie mogli być leczeni z powodu trudności podania nusinersenu do rdzenia kręgowego?

SMA jest chorobą o przewlekłym przebiegu, może powodować bardzo znaczne skrzywienie kręgosłupa, dlatego możliwość zastosowania leczenia doustnego jest bardzo ważna dla wielu pacjentów. W tym roku pojawiły się wyniki badań klinicznych terapii doustnej, a w marcu została ona zarejestrowana w Europie. Lek nie jest jeszcze objęty



Mamy niezwykłą sytuację: w chorobie, w której do 2017 r. mieliśmy do dyspozycji wyłącznie leczenie objawowe, dziś, czyli zaledwie cztery lata później, mamy zarejestrowane trzy skuteczne terapie.

Terapia doustna wydaje się marzeniem pacjenta: nie musi iść do szpitala na podanie leczenia, można je przyjąć w domu.

Jestem przekonana, że będą się różnicować populacje chorych sięgających po różne opcje leczenia. Najistotniejsze jest jednak to, że w Polsce już leczymy wielu chorych, a będzie możliwość włączenia do terapii kolejnych grup pacjentów. Być może w pewnym momencie będą oni mieć możliwość wyboru leczenia, my będziemy mogli je dostosowywać do aktualnego stanu pacjenta.

Jeśli chodzi o podawanie terapii do kanału kręgowego, to w naszym ośrodku mamy ponad 70 pacjentów, którym podajemy takie leczenie ze 100-procentową skutecznością. Jest to możliwe nawet u pacjentów z zaawansowaną skoliozą. Na pewno jednak zdarzają się sytuacje, gdy stan kręgosłupa stanowi przeszkodę w podaniu leku dokanałowo. Będzie też pewnie grupa pacjentów, u której podanie leku inną drogą będzie metodą preferowaną.

Jest szansa, że terapie będzie można dopasowywać do pacjenta w zależności od jego potrzeb i stanu zdrowia?

Tak. Niespełna dwa lata temu europejska organizacja zrzeszająca pacjentów z SMA i ich rodziny przeprowadziła badanie, które miało ocenić oczekiwania chorych. Wówczas większość chorych, zwłaszcza dorosłych, z SMA typu 2, 3 (kiedy objawy zaczynają być widoczne później, a niepełnosprawność postępuje wolniej) nie miała dostępu do żadnej farmakoterapii. Obecnie w Polsce jest leczonych ok. 80–85 proc. chorych na SMA. To bardzo dużo. Cieszy nas to, że dziś wyzwaniem jest dla nas zastanawianie się nad kolejnymi ważnymi krokami, które jeszcze bardziej poprawią standard opieki w SMA.

W przypadku terapii doustnej lek przyjmuje się codziennie? Jak on działa?

Działanie leku podawanego dokanałowo i leku podawanego doustnie jest nieco zbliżone, to znaczy obydwie te terapie mają wpływ na gen SMN2, bliźniaczy do genu SMN1, którego mutacja powoduje objawy rdzeniowego zaniku mięśni.

Lek sprawia, że gen SMN1 umożliwia produkcję większej ilości białka potrzebnego motoneuronom, by funkcjonowały prawidłowo, a pacjent nie tracił siły mięśni.

SMA nie jest jedyną chorobą, która powoduje zanik mięśni. Jak to się stało, że to właśnie w SMA udało się w tak krótkim czasie stworzyć aż trzy nowe terapie? Jeszcze kilka lat temu rokowanie chorych z typem pierwszym SMA było niemal beznadziejne.

W ubiegłym roku ukazała się publikacja naukowa: „25 lat od odkrycia genu SMN: przewrót kopernikański”. To rzeczywiście jest przewrót kopernikański, że w chorobie prowadzącej do niepełnosprawności, a dla wielu dzieci do śmierci, pojawiły się skuteczne terapie, i to już trzy. To nie była łatwa droga, zdarzały się porażki, nie wszystkie badania kliniczne kończyły się powodzeniem.

Były jednak pewne sprzyjające okoliczności: w przypadku tej choroby są dwa podobne geny (SMN1, SMN2), zadziałanie na gen SMN2 okazało się bardzo dobrym sposobem na zwiększenie ilości białka potrzebnego do funkcjonowania motoneuronów. Z drugiej strony pojawiła się terapia genowa, jej powstanie było możliwe dzięki temu, że gen SMN1 jest relatywnie nieduży. Wektory wirusowe, stosowane w poszczególnych terapiach, są jak „rumaki” wnoszące na swoim grzbiecie brakujący gen. Nie są jednak w stanie unieść każdego ciężaru, dlatego np. tak trudnym wyzwaniem jest próba opracowania terapii genowej w dystrofii Duchenne’a, ponieważ gen powodujący tę dystrofię jest największym genem genomu człowieka.

Bardzo ważnym czynnikiem sprzyjającym pojawieniu się terapii była determinacja organizacji pacjentów, zwłaszcza rodziców chorych dzieci, którzy od lat bardzo aktywnie uczestniczą we wszystkich działaniach służących opracowaniu nowych leków. Była też wielka determinacja środowiska naukowców, klinicystów. To sukces, który pokazuje kierunek, w którym warto iść w leczeniu innych chorób.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

w Polsce refundacją, jednak spora grupa pacjentów uczestniczyła w naszym kraju w badaniach klinicznych, dlatego możemy nie tylko śledzić publikacje, lecz także mieć własne obserwacje pacjentów. Są one bardzo pozytywne.

Co widać w polskich doświadczeniach? Terapia jest bezpieczna i efektywna, tak samo jak u nienierazumnych?

Badania kliniczne wskazują na bezpieczeństwo terapii, rejestracja każdego leku jest poprzedzona bardzo wnikliwą analizą, zarówno danych na temat skuteczności, jak i bezpieczeństwa. Obecnie nie mamy i zapewne długo nie będziemy mieć badań porównujących skuteczność różnych terapii. Wszystkie terapie, które są rejestrowane w SMA, mają udowodnioną skuteczność i dobry profil bezpieczeństwa. U pacjentów, którzy rozpoczęli leczenie, będąc już w bardziej zaawansowanym stanie choroby, dochodzi do jej stabilizacji. Uda się więc uchronić chorego przed stałym pogarszaniem jego stanu. U dużej części pacjentów widzimy też poprawę.



PROF. ANNA KOSTERA-PRUSZCZYK

jest kierownikiem Katedry i Kliniki Neurologii WUM.



Jacek Komuda

Zamek w Lipowcu, który powstawać zaczął pod koniec XIII w., to największa pamiątka po złowrogim i wojowniczym krakowskim biskupie

Jednymi z najstarszych zamków na ziemiach dawnej Polski, nie licząc Śląska i Pomorza, są wzniesione w Lipowcu i Chęcinach. Oba powstawały z fundacji biskupa krakowskiego Jana Muskaty, który w naszej historiografii kojarzy się złowrogo. Jako stronnik Wacława II i zaciekły wróg Władysława Łokietka, a jednocześnie przywódca kompanii najemnych rozbójników, pustoszący na jej czele Małopolskę, niedbały pasterz chrześcijańskiej trzody, żyjący w grzesznym związku z ładacznicą Gerussą.

Dość powiedzieć, że czeka cierpliwie w kolejce na swoje miejsce w felietonach o rycerzach i warchołach. Muskata przegrał ostatecznie starcie z Łokietkiem i wspierającym go polskim duchowieństwem; pochowany został nie w Krakowie, ale w opactwie cystersów w Mogile; dziś po jego grobie nie pozostał żaden ślad. Największą pamiątką po złowrogim i wojowniczym biskupie jest zatem zamek w Lipowcu, który powstawać zaczął pod koniec XIII w., przy czym zapewne wieża była początkowo osobnym elementem tej budowli obronnej.

Wieś Lipowiec została w 1242 r. nadana biskupom krakowskim; najprawdopodobniej pierwszy gród, drewniano-ziemny, wznosił tutaj Jan Prandota, biskup krakowski. Po 1295 r., kiedy twierdza stała się własnością wspomnianego Muskaty, nastąpiła budowa właściwego, kamiennego zamku, przy czym nie można wykluczyć, że wieża powstała wcześniej – już ok. połowy XIII w. W XIV w. wielokrotnie przebudowywany Lipowiec stał się jednym z zamków biskupich w Polsce, obok Iłży, Siewierza, Kielc i Bodzentyna. Pozostawał wówczas pod zarządem osobnego burgrabiego, z przywileju Jana Grota znamy imię jednego z nich – Mieczysława, wymienionego w 1337 r. Lipowiec wkrótce stał się znany z jeszcze jednej, bardzo ważnej w średniowieczu funkcji – został więzie-



Lipowiec

– turma heretyków

niem dla występnych duchownych (ludzi w rodzaju Sanderusa z „Krzyżaków” czy Szarleja z „Narrenturmu”), czarownic i najgroźniejszych po dziś dzień wrogów Kościoła – heretyków.

WIĘZIENIE DLA ODSTĘPCÓW

Z XV w. mamy pierwsze wzmianki o użyciu Lipowca jako więzienia. Dotyczą one biskupa Oleśnickiego, którego można równocześnie nienawidzić i podziwiać. Prowadził brutalną politykę i przez pewien czas dzierżył samodzielne rządy w Królestwie. W przeciwieństwie do Muskaty dbał o porządek w Kościele, zwalczając heretyków i husytów, a także karząc występnych księży. W 1437 r. więził na Lipowcu Mikołaja z Buska, opata norbertanów z Hebdowa, który przegrywał proces o posłuszeństwo przed papieskim audytorem i osadzony zostaje w więzi zamku na ponad rok. Potem kolejno od-

siadują tutaj: w roku 1516 mnisi zamieszani w zabójstwo Wojciecha Fontyna, franciszkanina, zakonnika, którego bracia zamordowali w celi w klasztorze. Jednak osadzeni na Lipowcu więźniowie uciekają z zamku, wymykając się karzącej ręce sprawiedliwości. Z kolei w 1526 r. w więzi osadzony jest Maciej z Ropczyc.

Następnym, chyba najsławniejszym więźniem Lipowca stał się Franciszek Stankar, profesor krakowskiego uniwersytetu, oskarżony przez bp. Bernarda Maciejewskiego o szerzenie herezji. Stankar był bowiem zwolennikiem kalwinizmu i unitarianizmu. Dziś w jednej z komnat Lipowca znajduje się zrekonstruowana cela, w której przebywał więzień w 1550 r. I znów Lipowiec nie okazał się wystarczająco ciężki, a strażnicy uważni. Dzięki pomocy kilku szlachciców – zwolenników reformacji: Stanisława Lasockiego, Andrzeja Trzecie-



Jednym z najciekawszych miejsc na zamku jest samotna wieża, będąca w dawnych czasach więzieniem dla występnych duchownych i heretyków FOT. ADOBE STOCK

skiego, Krzysztofa Głińskiego i jego sługi Piotra Czarnego – uciekł, spuszczając się z okna wieży, w której był osadzony, wedle legendy – po sznurze uplecionym z chustek. Inne z kolei podanie głosi, że pomogła mu zakochana córka dozorczy. Opuściwszy Lipowiec, Stankar udał się do Prus Książęcych, a potem do Dubiecka – pod opiekę Stanisława Mateusza Stadnickiego, wielkiego protektora reformacji, ojca niesławnego Stanisława, Diabła Łańcuckiego.

Ucieczka Stankara nie zmieniła przeznaczenia zamku, który nadal traktowany był jako biskupie więzienie dla księży i zakonników. W czasie potopu szwedzkiego został zajęty przez wojska najeźdźcy, urządził bowiem sobie tutaj kwaterę gen. Paul Würtz, gubernator Krakowa. Na odchodnym Szwedzi spalili budowlę, która została jednak odbudowana, gdyż w 1683 r. przebywał tutaj król Jan III Sobieski.

W latach 30. XVIII w. podupadający Lipowiec został przez kolejnego biskupa krakowskiego Konstantego Felicjana Szaniawskiego przebudowany na dom poprawy dla księży. W 1789 r. zamek został przejęty przez władze austriackie, w 1800 r. wybuchł na nim ogromny pożar. Od tego czasu był już tylko częściowo zamieszkały. Opuuszczony po 1840 r., pozostawał w ruinie, z której podniesiono go tylko częściowo, po przeprowadzeniu prac konserwatorskich w latach 1961–1969.

LIPOWIECKA TURMA

Jednym z najciekawszych miejsc na zamku jest samotna wieża, będąca w dawnych czasach więzieniem dla występnych duchownych i heretyków. Władysław Łuszczkiewicz, który oglądał zamek pod koniec XIX w., pozostawił jej dokładny opis, dostępna jest zresztą i dzisiaj, a z jej

szczytu rozciąga się niesamowita panorama okolicy. Jest to wieża mająca ok. 28 m wysokości i 9 m średnicy, o bardzo grubych murach. Na samym dole znajduje się loch, zwany kiedyś wieżą dolną, do której skazańców spuszczano na linach lub drabinach, przeznaczony dla najcięższych przestępców; wątpliwe jednak, aby siedzieli w nim Stankar czy opat Mikołaj. Według inwentarza zamku z 1643 r. spuszczano tutaj skazańców na linie z kołowrotem.

W XVII w. w wieży były cztery „siedzenia” – jak nazywano cele dla więźniów. Pierwsze to wspomniany już loch. Drugie – zwane „nad kratą” – znajdowało się wyżej i było półkolistą celą z wielkim oknem. Na kolejnym piętrze zbudowano trzecie, które miało cieńsze ściany, a więc więcej miejsca w środku. Jednak już w XVII w. wejście do niego było niebezpieczne – zapewne z powodu złego stanu ukrytych w wieży kręconych, kamiennych schodów. Było też „siedzenie” czwarte, na szczycie pod samym dachem, na poddaszu; tam, gdzie dziś znajduje się platforma widokowa.

Na wieżę wchodziło się z murów, na wysokości drugiego piętra zamku. Łuszczkiewicz, który odwiedzał to miejsce, musiał przystawić tutaj drabinę, bo nie było schodów. Zwiedzając cele, dziwił się podłużnym otworom okiennym i sądził, że znajdowały się tam po prostu drewniane, wywieszane na zewnątrz latryny dla więźniów. Z tego powodu cele nad lochem, dziś w miarę jasne, kiedyś były zapewne ponurym miejscem odsiadki i pokuty.

W 1643 r. na zamku znajdowała się studnia, istniejąca i dzisiaj, z kołowrotem, ale zrujnowana i nieczynna. Były też podziemne komnaty – sklepy, które w dawnych czasach pełniły być może funkcję biskupiego skarbcza. „Po lewej zaś stronie od wejścia w zamek jest sklep albo piwnica, z tego sklepu drugi mały, drzwi w nim nie masz [...]. Pobok tych sklepów jest sklep, do którego drzwi żelazne z zamkiem, okienko małe”. W XVII w. jednak izby te służyły wyłącznie do przechowywania warzyw, m.in. kapusty. Zamek sprawiał wrażenie raczej budynku gospodarczego i magazynu zapasów dla biskupiej posiadłości niż twierdzy. Obronność Lipowca już wówczas... leżała w gruzach. Były tu tylko dwa moździerze i trzeci, rozerwany; ot i cała armata. Trudno się zatem dziwić, że w październiku 1656 r. Szwedzi zajęli zamek bez walki... © Wszelkie prawa zastrzeżone

PRZEPIS PORTUGALSKICH MNICHÓW ZDRADZA EWA SINIARSKA

Podczas moich podróży szukam ulubionych, tradycyjnych smaków. A kiedy już znajdę ten wyjątkowy, szukam o nim informacji dopóty, dopóki się nie dowiem, jak to się stało, że to powstało. Jednym z moich ulubionych deserów są tradycyjne portugalskie babeczki pastéis de nata. Ten przepyszny deser jest dziełem mnichów z klasztoru Hieronimitów w Belém. Zakonnicy zużywali kurze białka do krochmalenia habitów i zostawało im bardzo dużo żółtek. Postanowili więc je wykorzystać i wymyślili wspomniane babeczki, a w dosłownym tłumaczeniu – kremowe tarty. Kiedy klasztor zamknięto w 1834 r., postanowili przepis sprzedać rodzinie cukierników sąsiadującej z klasztorem i do dziś trzeba się uzbroić w cierpliwość i zarezerwować dużo czasu na stanie w kolejce, aby właśnie z tej cukierni skosztować przepysznych babeczek.

Babeczki są proste w przygotowaniu i mogą być jednym z deserów last minute. Najlepsze są jeszcze na ciepło, zresztą moje doświadczenie pokazuje, że nawet nie mają szansy wystygnąć i znikają w mig. Robię je zazwyczaj, podobnie jak mnisi, również w celu wykorzystania żółtek, co prawda nie krochmalę habitów, ale kiedy np. robię bezę.

Do wykonania ekspresowych pastéis de nata możemy zastosować gotowe ciasto francuskie. Latem urozmaicam babeczki świeżymi malinami.

Składniki:

- ciasto francuskie (1 op.)
- 6 żółtek
- 1 szklanka mleka
- 1 szklanka wody
- opakowanie cukru waniliowego
- cynamon w lasce
- 1/2 szklanki cukru
- 4 łyżki mąki

Przygotowanie:

Wodę wlewamy do garnuszka, dodajemy cukier i laskę cynamonu, gotujemy, aż cukier całkowicie się rozpuści.

Mleko wlewamy do miseczki i rozprowadzamy mąkę.

Z zagotowanej wody wyjmujemy laskę cynamonu i wlewamy mąkę z mlekiem, następnie sześć żółtek, i cały czas mieszamy na wolnym ogniu, aż masa będzie miała konsystencję budyniu.

Z ciasta francuskiego wycinamy szklanką koła i placuszki układamy w formie do pieczenia babeczek (uprzednio smarujemy masłem i oprószamy mąką), tak by wyścielane były też boki foremek. Możemy też użyć papilotek do babeczek. Masę nakładamy na ciasto, ale zostawiamy ok. pół centymetra, ponieważ masa urośnie podczas pieczenia.

Wstawiamy na osiem minut do piekarnika rozgrzanego do 220 st. C. Po wyjęciu możemy posypać lekko cynamonem i od razu podać na stół. Bon appetite!

© oprac. raw

Ewa Siniarska
prowadzi program „*Słodkie smaki świata*” w TVP *Kobieta*.



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Letni antyregulamin



W lecie infantyilizacja społeczeństwa gwałtownie się nasila. Każdy staje się bobaskiem, który zrzuci z siebie ubranko, żeby nie przeszkadzało w zabawach w piaskownicy i w baseniku. Zapewne duże bobaski wychodzą z założenia: Komu to przeszkadza? Jak jest gorąco, niech każdy chodzi, jak chce, byleby mu było miło.

To rozumowanie, słuszne z własnego punktu widzenia, przestaje nim być, gdy weźmie się pod uwagę punkt widzenia innych. Dlaczego muszę oglądać spocone owłosione klaty, grube brzuchy, tatuaże, cudze stanniki przyszarzałe od prania? (Nieprzyszarzałych też nie chcę oglądać. Stanik niech każdy zachowa dla własnej prywatności). Oto mój osobisty katalog letnich grzechów ubraniowych.

Panowie. Toples poza plażą. W tej grupie szczególnie starsi, brzuchaci panowie eksponujący tors na parkowych ławkach. Luźne szortogatki w kolorowe wzory noszone do pracy i po mieście (za to na plaży obcisłe majtki z elastiku), koszulki bez rękawów i podkoszulki na ramiączkach mocno wydekoltowane. Czarne skarpetki do białych adidasów i do sandałów. Klapki basenowe poza basenem. Klapki basenowe ze skarpetkami. Spodnie lekko za kolano, do nich adidas i skarpetki.

Koszule męskie z krótkimi rękawami uznają za wykroczenie łagodne.



FOT. ADOLFO STOCK

Wprawdzie koszula z długimi i podwiniętymi rękawami wydaje się elegantsza, ale amerykański styl przyjął się w klimatyzowanych biurach. Zwalczany jest tylko przez radykałów. Podobnie z sandałami do długich spodni. Można się z tym pogodzić, byle nie do spodni od garnituru. Godzę się także z T-shirtem w biurze, bo walczyć z tym to jak z wiatrakami. (Generalnie uważam, że mężczyzna w koszuli ocala resztki inteligenckiej godności).

Panie: generalnie tu jest lepiej. Ale wyżej wspomniany biustonosz widoczny przez duży luźny dekolt z przodu i z tyłu to żenada. Do łżejszych przestępstw zaliczę czarne majtki pod białymi, prześwitującymi spodniami, czarne przezroczyste rajstopy w lecie. Długie spódnice i sukienki zamiatające chodnik wydają się bardziej stworzone do popołudniowych spacerów w kurorcie niż chodzenia po miejskich chodnikach.

Do prohibitów dodam jeszcze skarpetki do sandałów (dla płci obojga), ale zestaw ten, ośmieszony już wielokrotnie, widocznie był już tak okropny, że aż stał się fajny. Gorzej – modny. Dla niektórych, nie dla mnie. ©

DEKAMERONKI



JERZY KARWELIS

Społeczna niewiadoma – pocovidowe pokolenia

Jak tak popatrzeć na covidowy kalendarz, to wyrasta nam pokolenie, o którym się będzie mówić, że wychowało się w pandemii, będzie oceniane jako to, które zapłaciło wielką cenę za lockdown szkół i kwarantannę rodziców. Może będzie stygmatyzowane, może odwrotnie – pokazywane jako pierwsze, jeszcze niewinne pokolenie Nowego Świata. Po którym nastąpią nowe, jeszcze bardziej traumatyczne jego wersje.

dług generacyjny w stosunku do młodzieży. Ekstremiści epatują wzrostem samobójstw wśród młodzieży, ale to ekstremalna postać długu odłożonego. Nikt nie wie, jak i kiedy w osobniczym życiu wrócą traumy do pokolenia COVID-19.

Spójrzmy jednak na sprawy może mniej dramatyczne, ale bardziej przyziemne. Ostatnio skończył się rok szkolny. Ja jestem świadkiem przyspieszonej degrada-

A mowa tu o dość „dorosłym” pokoleniu, młodzieży. Tej, która w Stanach dostarczyła zatrważających danych: co 10. dzieciak był hospitalizowany z powodu choroby umysłowej. Uczniów można jakoś pomierzyć ocenami czy szkolnym monitoringiem, nawet on-line’owym. A kto wskaże trendy wśród przedszkolaków i chodzących do żłobka? A tam to się dopiero w sensie formacyjnym wykuwają bomby z opóźnionym zapłonem. Zaraz wśród całej młodzieży odbędzie się akcja zaszczepienia. Kompletny bezsens z punktu widzenia epidemiologii. Będzie schodziła z góry, od nastolatków, w dół, aż do kilkumiesięcznych dzieci, bo takie szczepionkami testuje się m.in. w Polsce w ośmiu ośrodkach. Jak to zniosą dzieci? Najpierw wyizolowane od swojej watahy, pozostawione ze zestresowanymi rodzicami, pozbawione kontaktu z rówieśnikami w zvirtualizowanym świecie pseudowartości. Teraz poddane presji szczepiennej, na którą system już się szykuje, szantażując otoczenie groźbą czwartej fali.

Trafiłem na filmik dokumentalny w Internecie. Z Izraela, co prawda – mogło to być pewnie skądkolwiek, ale to ważne, bo to kraj najbardziej zaszczepiony. Akcja dzieje się w przedszkolu. W dużej sali biegają dzieci. W maseczkach. Pomiedzy nimi przemyka pani wychowawczyni z atrapą strzykawki wielkości długopisu Wałęsy ze Stocznii. Podbiega do dzieci, udaje, że je nakłuwą, i wtedy dziecko dopiero może zdjąć maskę.

Tak, to będzie rzeczywiście inne pokolenie. Tylko żeby wtedy starsi potem nie mówili, że tak wyszło. © ©

Tak jak dług zdrowotny, który jest odłożoną w czasie spłatą zaniechań medycznych, tak gromadzi się dług generacyjny w stosunku do młodzieży

Najgorzej to chyba było być teraz pierwszoklasistą z rocznika 2019/2020. Bo ten rocznik, w szczególnym wieku, kiedy liczy się realna obecność w szkole i nauka nawiązywania kontaktów poza kłosem rodzicielskim, został zatrzymany w wiosennej fazie tej inicjacji i rzucony na front on-line’owania interakcji rówieśniczych. Ci teraz pójdą do trzeciej klasy na sezon 2021/2022 z kompletnie amputowaną podstawową dominantą doświadczeń relacyjnych. Bo lockdown szkół na czwartą falę się kroi, a co najmniej wyrzucanie na zdalną edukację niezaszczepionych maluchów. Czyli możliwe jest, że sporo młodzieży nie będzie miało innych doświadczeń ze szkoły niż ślęczenie przed ekranem. I ci, którzy mają jeszcze wspomnienia z klas w realu, może jeszcze czegoś pożądują, ale „nowi” już nie będą wiedzieli, za czym można tęsknić.

Tak jak mamy dług zdrowotny, który jest odłożoną w czasie spłatą zaniechań i błędów medycznych, tak gromadzi się w tle

cji „egzaminu dojrzałości”. Już od dawna matura jest traktowana jak katar, który każdy musi przejść, w związku z tym dociska się do dna zasady rytuału przejścia. Teraz kryteria ocen z powodu COVID zostały zaniżone o co najmniej 20 proc., a i tak młodzież nie dowiodła wyników. 25 proc. niedoszłych maturzystów nie zdało polskiego, choć wystarczyło osiągnąć 30 proc. do i tak zaniżonego zaliczenia. W Lubuskiem ponad jedna czwarta nie zdała matury, zaś 10 proc. nie zdało jej z dwóch przedmiotów, co oznacza, że nie będzie miało podejścia do poprawki. Ma to też nieciekawe konsekwencje... polityczne, jak pisze Jarosław Jaras Gwizdak: „Rozszerzona matura z WOS 2021: zdających 15 253. Średni wynik 16–25 proc. (20 proc. zdających tyle, 40 proc. więcej i 40 proc. mniej). Jedynie 4 proc. zdających ma wynik najwyższy, czyli od 76 proc. do 100 proc. 610 maturzystów w całej Polsce »czai bazę«. Politycy się muszą cieszyć, nie ma co”.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Komentarz komentatorski

Hurra! Mamy wreszcie ogólnonarodową dyskusję, w której mam ochotę zabrać głos! A myślałem, że już do końca życia będę się wypowiadał wyłącznie na tematy niszowe, które nie obchodzą nikogo poza mną i moją rodziną.

Otóż społeczeństwo emocjonuje się losem Dariusza Szpakowskiego, który został skrzywdzony przez szefa TVP Sport. Potwór ten odsunął go od prowadzenia finału mistrzostw Europy w piłce nożnej. Jeśli o mnie chodzi, to z całą mocą popieram tę decyzję. Powiem więcej: nareszcie! Albo jeszcze więcej: dlaczego dopiero teraz?!!

To, że Dariusz Szpakowski towarzyszył mi przez większą część dorosłego życia, nie czyni z niego wybitnego komentatora. Przy czym może kiedyś nim był, ale tego to nawet taki dziaders jak ja nie pamięta. Choć to może być efekt tego, że Szpakowski musiał zastąpić Jana Ciszewskiego, a to trochę tak jak zastąpić Ronaldo w Realu Madryt. Niełatwe.

Na Szpakowskiego narzekali wszyscy ludzie, których znam od niepamiętnych czasów. Oczywiście Polacy to narzekali, więc to jeszcze o niczym nie przesądza. Jednak faktem niezbitym jest to, że Szpakowski od ładnych paru lat mylił się niemilościwie. Widział na boisku zawodników, których na nim nie było, nazywał tych samych piłkarzy na różne sposoby (raz przy piłce był Runej, innym razem Runi), ale już szczytem, ba – himalajami – komentatorskiego odlotu było dość konsekwentne

określanie Messiego mianem Maradony. Miało to miejsce podczas ostatniego mundialu w Rosji i mogło delikatnie sugerować, że nasz narodowy spec od futbolu buja w obłokach przeszłości. To trochę tak jakby w „Faktach” nazywano Trumpa Nixonem.

Oczywiście przejęzyczenie w tym fachu każdemu się zdarza, ale komentowanie na żywo meczów sprzed ponad ćwierć wieku to nieco inna para kaloszy. Co gorsza, Szpakowski ostatnimi czasy nie tylko się mylił, lecz także przynudzał. Wręcz usypiał.

Przez te wszystkie lata oczywiście Szpakowskiego polubiliśmy, a do jego słabości się przyzwyczailiśmy, a nawet je polubiliśmy – tak jak i jego samego. Po prostu nie było zatem dobrego momentu, żeby naszego Narodowego Komentatora odesłać na ławkę. To po prostu musiało być bolesne. Cóż – każde zejście ze sceny jest takie.

Jednak czy szef TVP Sport trafił ze zmianą? Tu już tak jednoznacznej opinii nie mam. Mateusz Borek bez wątplenia potrafi budować emocje słowami, ale towarzyszący mu Kazimierz Węgrzyn ekscytuje się z byle powodu. Dostaliśmy więc duet bardzo głośny i podniecony. Lepiej byłoby chyba, by w takiej ekipie był gość od kreowania nastroju i dramaturgii (ktoś taki jak Borek), zderzony z chłodniejszym głosem eksperta znającego statystyki, dane historyczne, liczby, daty (na pewno nie Węgrzyn).

Zatem warto jeszcze pokombinować, żeby znaleźć najsilniejszy skład. ©©

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Guma Donald z historyjką

Małgośka, mówią mi, a jednak wrócił! No wielkie mi mecye, każdy skądś wraca, ja właśnie z Madrytu, Tusk z Brukseli, Kowalski z Rodos. O co tyle hałasu? Może wyjaśnienie tkwi w starym rysunkowym dowcipie Mrożka: „Dlaczego Mrożek wraca do Polski? – Widocznie czegoś zapomniał!”. No więc wrócił Donald do Polski, bo mu przypomniał, że jego partia powinna być przewodnią siłą narodu.

Martwi mnie ten rozbrat rodaków ze zdrowym rozsądkiem

Po rozmowach z Hiszpanami, czytając ich media, wiem dobrze, że nawet oni widzą w nim „przybocznego Angeli”, a coż dopiero komentować nam, którzy widzimy to z bliska i wyraźnie. Pamiętam, jak nagrywałam rozmowę z Santiago Abascallem, liderem Vox, w jego gabinecie w Kongresie, powiedział wtedy: „Trudno uważać waszą KO za opozycję, jest po prostu częścią agendy globalizmu, bo zdołała przykleić się do establishmentu i organizmów międzynarodowych. Poza tym udaje się jej szkodzić interesom własnego państwa, więc powiedziałabym, że to raczej rząd Polski jest opozycją wobec międzynarodówki globalistów, do której należy Donald Tusk”. Pomyślałam wtedy: „No i bystrzak

z Kraju Basków kuma więcej niż połowa mego kraju”.

Bo i owszem, martwi mnie ten rozbrat rodaków ze zdrowym rozsądkiem, którego nie da się przecież wytłumaczyć tzw. mgłą covidową ani żadnym innym schorzeniem. Chociaż przyznam, że ja też cierpiałam w młodości na kompleksy, mnie też mówili, że młodzi, wykształceni i piękni muszą wybierać Tuska. Ale wzięłam i wyrosłam! Zaczęłam czytać i myśleć samodzielnie, zdrowo się odżywiać i mi przeszło. I tak sobie czytam o Tusku w prasie hiszpańskiej: „Jeśli chodzi o Rosję, to Tusk był zawsze »bardziej polski niż europejski« – podkreślają źródła z Rady Europejskiej”. Czyli, jak dobrze rozumiem, tylko w jednej sprawie potrafił reprezentować twarde stanowisko polskie, a w innych już mu miękło, rozcieńczało się na Europę i dla wszystkich było to widoczne? To ciekawe, tym bardziej że gdy rozmawiał z przywódcą separatystów katalońskich, to przedstawiał się jako „członek mniejszości etnicznej w Polsce i regionalista”. Jednym słowem – człowiek o płynnej tożsamości. W Brukseli wstawał, patrzył w grafik spotkań i w zależności od okoliczności przywdziewał odpowiednią twarz i krawat: Kaszuba, Polaka, Europejczyka, germanofila. Można by rzec: człowiek guma, kości brak, a może kręgosłupa?

Kiedyś były gumy Donald, które cieszyły się wielką popularnością ze względu na tzw. historyjkę. Tusk Donald do historii nie przejdzie, ale „historyjki” będą się za nim ciągnąć. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Poza słowem i czynem

W dzisiejszej dobie wydawać się może, że słowa mają znaczenie oraz że o to znaczenie trwa bezlitosna walka. Weźmy pierwsze z brzegu, a jakże popularne rozróżnienie pro-choice i pro-life. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z sugestią, że kobieta ma wybór nieograniczony przez nową sytuację, jaką jest ciąża. Tymczasem w tym momencie wybiera ona nie tylko za siebie, lecz także za swoje dziecko, decydując, czy ma ono żyć, czy nie. Nazywanie tego prawem człowie-

ofiara będzie miała uzasadnione pretensje. Zwrócił na to uwagę już prawodawca z czasów Hamurabiego. Zasada „oko za oko” regulowała bowiem minimum sprawiedliwości, a więc aby reakcja na krzywdę nie przekraczała krzywdy. Nie wolno więc za obelgę wybijać komuś oczu, ale nie znaczy to, żeby ignorować zniewagi. W prawie cywilnym istnieje instytucja ochrony dóbr osobistych. Pytanie, czy określenia „złodziej” i „bydlak” są dostatecznie znieważające. W czasach, gdy autorytety językowe uspra-

Zasada, że mnie wolno więcej niż innym, jest zapewne pokusą w każdej sytuacji. Taka jest ułomna natura ludzka. Pytanie, czy tej ułomności nie należy leczyć i kto ma to zrobić. Otóż normalnie służą do tego sądy.

W tym sęk. We współczesnej liberalnej demokracji sądy nie są od ustalania prawdy materialnej, ale od stosowania przepisów prawa. Zajmują się głównie znalezieniem odpowiedniego paragrafu i dopasowaniem czynu do tego przepisu. Jeśli jednak przepisu nie można znaleźć lub jeśli jest on niejasny, lub jeśli zawiera „widełki” kary, to sąd przystępuje do oceny tego, czy naprawdę wina komuś przeszkadza, a jeśli tak, to komu. Jeśli sąd ma przed sobą postać znaną, np. „naszego” dziennikarza, to włos mu z głowy nie spadnie. „Odwieśnienie” wyroku recydywisty? A co, jeśli poprzednie wyroki się gdzieś zawieruszyły? Kto by to spamiętał? Jest przecież tyle spraw. Oczywiście od czasu do czasu trzeba wykazać sądową czujność i kogoś nieznacznego porządnie ukarać, żeby nie było gadania, ale tak w ogóle nie należy przesadzać ani ze słowem, ani z czynem, chyba że dotyczą kogoś „naszego”.

Na pytanie, co ważniejsze: słowa czy czyny, odpowiedź jest prosta: podobnie jak u Nietzschego należy usytuować się „poza dobrem i złem”, tak wyrok winien wyładować poza słowem i czynem. Ważne są naprawdę nie słowa ani czyny, ale wola polityczna. Można sobie wyobrazić finał mistrzostw świata w boksie i zawodnika o właściwych parametrach mniejszościowych, który przegrywa przez nokaut. Co powstrzyma go od złożenia pozwu przeciw zwycięzcy z artykułu o naruszenie nietykalności osobistej? Obawa, że przegra sprawę, maleje na naszych oczach. ©©

Dziś trudno zrozumieć, co kogo obraża. Jednych obraża billboard z wezwaniem „Mamo i tato – kochajcie się”, a wizerunek płodu obramowany sercem zjadł niszczą kijami, krzyżowanie zaś genitaliów im nie przeszkadza

ka, jak tego chcą europoseł chorwacki Predrag Matić i większość Parlamentu Europejskiego, jest nadużyciem wołającym o pomstę do nieba. Określenie pro-life jest dokładnym odzwierciedleniem jego treści. Chodzi o obronę życia, które zresztą w przypadku psów, kotów czy zwierząt jadalnych jest fundamentem wiary sporej części zwolenników aborcji. Rzeczników pro-life nazywają oni przeciwnikami wyboru kobiety. Jeśli tak, to rzecznicy pro-choice są przeciwnikami życia. Przynajmniej ludzkiego, bo psiego czy kociego raczej nie.

Ludzie często zastanawiają się nad związkiem słów i czynów, także w kontekście odpowiedzialności. Wyobraźmy sobie, że ktoś nazwał kogoś publicznie złodziejem i bydlakiem, tamten zaś w odpowiedzi wybił mu oko. Niedobrze. Nawet dziś, kiedy sprawa odpowiedzialności nie przedstawia się zbyt dobrze,

wiedliwają określenie „wy....ć” jako wyraz słusznych emocji, sprawa zaczyna być trochę śliska. Oj tam, oj tam, złodziej... Znamy gorsze słowa, oczywiście jeśli dotyczą kogoś innego, bo jeśli nas – to nie, to nie przejdzie.

Dziś trudno zrozumieć, co kogo obraża. Jednych obraża billboard z wezwaniem „Mamo i tato – kochajcie się”, a wizerunek płodu obramowany sercem zjadł niszczą kijami, krzyżowanie zaś genitaliów im nie przeszkadza. Podobnie jest z czynami. Jeśli „nasi” po pijanemu i bez prawa jazdy potracą kogoś na pasach, to mogą liczyć na łagodny wyrok, i to z pewnością w zawieszeniu, z kolei jeśli „ich” kolumna rządowa przypadkiem nie ustąpi drogi i uderzy w samochód kogoś, kto popędzi po pomoc do „naszych”, to zaraz zorganizuje się mu zbiórka na remont auta oraz ogłosi wszem wobec, że ochrona rządowa rozbija się po Polsce bezkarnie.

JESTEM W POLSCE



FOT. W. LEJONOWSKI / UTJANDAS.AW.SOCIUSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gorąco jak w Arizonie. Podjadam agrest z własnych krzaków i porzeczek oraz resztki czereśni.

W USA nie rozumieją czereśni ani ich rozróżnienia na białe i ciemne – sprzedają wymieszane i połowa ci zawsze nie smakuje. Kosztują bezsensowne biliardony, bo dla nich to nie są owoce pospolite, lecz jakiś niszowy luksus dla świrów.

Gdy mieszkam w Polsce, jadam, co mam w ogrodzie, i posadziłem wszystko w rzędach patriotycznych. Porzeczek posadziłem w jednym szeregu białe, a trochę niżej na skarpie czerwone. I z daleka ładnie widać pas zrobiony z owoców, który wygląda jak flaga na trawie.

Agresty posadziłem podobnie – wyżej zwykle, czyli „białe”, niżej czerwone. Porzeczek czarne dałem w innym miejscu ogrodu, żeby mi nie psuły flagowego wzoru. (Czarne porzeczeki kojarzą mi się z Bismarckiem i mają ten specyficzny brunatny zapaszek).

Po przylocie do Polski chadzam kompulsywnie do restauracji na chłodnik. Zamawiam zwykle w zestawie:

– Poproszę chłodnik, tatar, śledzie w oleju i ogórki małosolne.

Kelner bywa zdziwiony i pyta, gdzie są pozostałe osoby.

– Sam to zjem.

– Sam? Cały ten dziwny zestaw?

– Tak.

– Ale jak ja mam to panu podać? To się nijak nie komponuje. I prywatnie powiem panu, że się pan porzyga – szepce mi kelner na ucho.

– A co? Nieświeże macie?

– Świeże i pyszne! Ale... tatar wołowy ze śledziami i chłodnikiem? Sam pan chyba rozumie: to się kłóci ze sobą.

– Mam żołądek jak strus.

Dawaj pan.

– A co mam podać najpierw, skoro to są wszystko przystawki?

– Cokolwiek. Wszystko jest na zimno, to powinno być migiem gotowe, nie?

– Ja się w tym gubię, cztery przystawki, nie wiem, jak to uporządkować.

– Kocham pana za to „gubię”.

Dobra, robimy tak: najpierw tatar, potem chłodnik, a śledzie na deser. I małosolne do pogryzania zamiast chlebka.

– Popij pan czymś?

– Tak. Macie barszcz czysty, więc poproszę w kubku, a nie na talerzu z łyżką.

– Pan oszalał czy żartuje ze mnie? To jest ukryta kamera, panie Wojtku, czy co? Proszę mnie nie wpakować w kłopoty, bo ja tu dorabiam latem i nie wiem, jak się teraz zachować.

– Nie zrobię panu krzywdy. Po prostu jestem stęskniony za polskim żarciem, a te rzeczy,

które zamawiam, są niedostępne w USA.

Podał. Zjadłem i wychodzę. Zostawiłem mu 100 proc. napiwku, żeby uznał, że zwariowałem, czyli jestem chory. A ja jestem po prostu SZCZĘŚLIWY, że znów w Polsce.

Byłem w tej knajpie nielegalnie, gdyż kazali mi siedzieć 10 dni na kwarantannie. Kwarantannę mam odrobinę niżej, niż wylądowały śledzie. Areszt domowy bez wyroku? Izolacja? Czy w celu prawidłowej izolacji mam z mojego domu wyrzucić innych domowników? A jeżeli mam ich nie wyrzucać, to przecież nie będę izolowany, lecz oni (mieszkając ze mną) rozniosą moją dżumę po okolicy. To ja już wolę roznosić samodzielną.

Przez pierwsze 10 dni od przylotu do PL dbam o to, by kościół, do którego chodzę sobie codziennie, był zawsze na trasie do szpitala. Bo do szpitala wolno wyjść z kwarantanny, a nawet powinienes, gdybyś się źle poczuł – tak napisali w instrukcji. A ja się na kwarantannie stale czuję źle – z powodu kwarantanny – więc wychodzę często.

I knajpa, do której poszedłem na chłodnik, też była na trasie do szpitala. Zaraz po zjeździe chłodnika poczułem się dużo lepiej, więc zawróciłem do domu – nie będę szpitalowi zawracał głowy, skoro czuję się znówu dobrze. Wracam do domu.

A czemu obywatel w drodze do szpitala zatrzymał się w kościele i w knajpie? No jak to czemu? Ksiądz do szpitala nie wpuszczają z powodu epidemii, a przed pójściem do szpitala warto się wypowiedzieć na wszelki wypadek. Z kolei w knajpie buduję odporność – trzeba porządnie i zdrowo jeść, a surowa wołowina jest bardzo zdrowa, surowe jajo dodawane do tataru podobnie. W szpitalu dają do jedzenia najtańszy i NIEZDROWY syf, bo NFZ

oszczędza, więc najedzenie się zdrową żywnością przed wejściem do szpitala to działanie prozdrowotne.

Czy słowo „syf” ma prawo druku w porządnym tygodniku? Moim zdaniem ma. Pod warunkiem że precyzyjnie oddaje rzeczywistość. Kto był w szpitalu państwowym, ten wie, że to określenie jest w punkcie.

Ojczyzna witała mnie na lotnisku Okęcie po... warszawsku.

Pani Oficer Straży Granicznej była bardzo miła. Wyczuwałem, że uśmiechała się pod kagańcem zrobionym z maski chirurgicznej.

– Gdzie Pan będzie przebywał na kwarantannie?

– Nie będę.

– Proszę mi podać jakiś adres do zapisania.

– W Polsce mam trzy adresy.

– System pozwala zapisać tylko jeden.

– Ale ja mam trzy i mogę pani prywatnie obiecać, że będę się pomiędzy nimi przemieszczał samotnie, samochodem z zamkniętymi oknami i włączoną klimą z filtrem powietrza.

– Proszę podać numer telefonu komórkowego, pod którym możemy się z Panem kontaktować.

– Nie mam komórki, nigdy nie miałem. I nie kłamię. Może Pani to sprawdzić w sieci.

– Stacjonarny?

– Na mojej wiosce nikt mi nie chciał podłączyć, bo za daleko ciągnąć kabel. Nie opłaca im się.

– Zapiszę, że Pan odmawia podania. Mam taką opcję.

– Proszę nie kłamać do systemu. Ja nie odmawiam. Po prostu tam, gdzie mieszkam, nie ma telefonu ani zasięgu.

– System nie daje mi takiej opcji.

– A czy jest opcja, że ja nie pamiętam numeru?

– Nie ma. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~711~~ zł

**W PREZENCJE
KSIĄŻKA**

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

311,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 400 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 09734c138b



JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik

eprasa.pl 09734c138b